

# SŁAWOMIR MROŻEK

## MAŁE PROZY



# SPIS TREŚCI

Wstęp .....3

## I

List do cudzoziemców .....6

Rozmówka polsko-polska .....8

Popiół? Diament? .....9

Albo to, czy albo co? .....15

## II

„Słodki ptak młodości” .....20

Jaworzno .....23

Płońsk .....28

Nos .....31

Leopold .....36

## III

Do dyrekcji Muzeum Łówr,  
zagranicą .....43

Twarz .....44

Mój przyjaciel nieznajomy .....46

Pobór .....49

Pozdrowienia od .....50

Trudne życie .....52

Życie duchowe – umysłowe  
i artystyczne .....54

Wróżba .....57

Sąd Ostateczny .....58

## IV

Wrócić, nie wrócić .....64

Na wieży .....66

Strażnik chińskiej wazy .....68

Krawiec .....70

Hodowla .....71

Śpiąca królewna .....73

W środku transportu .....75

Koegzystencja .....76

Podejrzenie .....78

Kapturek .....79

Colt python .....80

Epidemia .....82

Sekret .....83

Artysta ..... 85

Antropocentryzm ..... 86

Hrabia ..... 88

Praxis ..... 89

Autoportret ..... 91

Baba ..... 92

Nauczyciele ..... 94

Step ..... 97

Rano, rano, raniutko ..... 99

Czuwanie w górach ..... 100

Pamięć ..... 104

Don Juan ..... 106

Pilna sprawa ..... 108

Jezioro ..... 109

Prokurator ..... 110

Pogrzeb eksterminatora ..... 111

Demiurg ..... 114

Trójkąt ..... 116

## V

Ósmy dzień ..... 118

Cierpienia młodego Werthera ..... 119

Nadzieja ..... 120

Muzeum ..... 121

Tajemnica życia ..... 122

Życie i myśli ..... 123

Herbata i kawa ..... 124

Noc w hotelu ..... 125

Emanuel ..... 126

Ze wspomnień kapelana ..... 127

Opowieść starego agenta ..... 129

Przestroga ..... 130

Samotność ..... 131

Hamlet ..... 132

Doświadczenie ..... 133

Drzewo ..... 134

Rozwój ..... 135

Nasze i inne zwierzęta ..... 136

Korespondent specjalny ..... 137

Fotografia ..... 139

Na 1 września 1989 ..... 140

Krótkie słuchowisko ..... 141

## WSTĘP

Teksty Sławomira Mrożka zebrane w tej książeczce pochodzą z lat 1982-1989 i były publikowane, z jednym wyjątkiem, w trzech pismach, z którymi Autor współpracował i nadal współpracuje: w paryskiej „Kulturze”, londyńskim „Pulsie” i krakowskim „Tygodniku Powszechnym”. Wyjątek – to krótkie, fabularyzowane wspomnienie „*Słodki ptak młodości*”, wydrukowane przez „Zeszyty Literackie”.

Nie wszystkie są dosłownymi „małymi prozami”, zwłaszcza jeśli przyjąć, że termin „proza” musi czy powinien odnosić się do literatury zwanej piękną. Myślę jednak, że dobry pisarz zawsze uprawia jakąś prozę, a sprawa przyszerogowania gatunkowego jest zgoła drugorzędna; dlatego nie miałem specjalnych oporów włączając do tej książki niektóre teksty publicystyczne, wspomnieniowe czy nawet krytycznoliterackie.

Całość, jak myślę, tworzy dosyć osobliwą panoramę twórczości Mrożka tak zwanych ostatnich czasów. Przekreśla przy okazji – mam nadzieję, że całkiem wyraźnie – utrwalony w polskiej świadomości potocznej wizerunek Sławomira Mrożka jako wesołego szydery i rześkiego dowcipnisa. Od dawna jest to gęba przylepiana mu za bardzo niegdysiejsze zasługi, o których on sam już być może po trosze zapomniał. Niby wiadomo, że Mrozek z *Emigrantów* to jednak nie ten Mrozek z *Indyka* powiedzmy. Ale etykiety trzymają się mocno i konia z rzędem temu, kto prawidłowo skojarzy autora *Wesela w Atomicach* z autorem słynnego oświadczenia prasowego w sprawie inwazji na Czechosłowację w 1968, po ogłoszeniu którego, na Zachodzie, droga Mrożka do Polski była na długie lata zamknięta. Oraz kto gładko przyjmie do wiadomości, że ów rozdokazywany komediopisarz jest autorem najlepszego i najgłębszego z wszystkich dotąd na ten temat napisanych eseju krytycznego o *Popiele i diamentach*, po którym każdy szanujący się krytyk powinien dokładniej zastanowić się nad swoim losem.

Książka zaczyna się ponuro, ale później jest już lepiej. Po prostu chronologia tekstów – aczkolwiek arbitralnie ułożonych w pewne grupy problemowe – zachowuje chronologię wydarzeń, jakich nie oszczędziło nam minione dziesięciolecie.

Pierwszy tekst jest kolejnym politycznym oświadczeniem Mrożka, tym razem w sprawie stanu wojennego. Następne oscylują wokół prywatnych i zbiorowych doświadczeń mieszkańca ex-PRL-u. Potem ton się nieco zmienia, wchodzi inne tematy, stylistyki, fabuły. Jeśli Czytelnikowi będzie się chciało wejrzeć w siebie z tamtych lat osiemdziesiątych, być może w parabolach i metaforach wielu utworów Mrożka odnajdzie część swoich onegdajszych myśli, odczuć i reakcji. Ostatnie opowiadania, z 1989, nie pozostawiają wątpliwości, że Mrozek postanowił uwiecznić także agonię komunizmu, choć zrobił to na swój własny, tradycyjnie niekonwencjonalny sposób. Tak oto otrzymaliśmy coś w rodzaju literackiej kroniki przedostatniej dekady wieku, ze szczególnym uwzględnieniem terenów Europy środkowowschodniej.

Przydługie wstępy zazwyczaj denerwują czytelnika, więc spieszę ku końcowi. Nie mogę się jednak oprzeć chęci dorzucenia kilku zdań w kwestii tak zwanej wolności pisarza, zaś Mrozek jest tu obiektem wyjątkowo wdzięcznym.

Obserwacja pierwsza, oczywistsza, więc łatwiejsza, dotyczy uporczywie przez bohaterów opowiadań demonstrowanej niezależności w obliczu wszystkiego, co zmierza ku stadności, jednomyślności i koniunkturze, dowolnego skądinąd autoramentu. Czasem bywa to niezależność mimowiedna, aż nie chciana, przypadkowa, bo pochodząca z osobniczej i n n o ś c i; częściej jednak idzie o zwykłą wolność samostanowienia. Bohaterowie Mrożka, czy to całkiem fikcyjni, czy całkiem realni (jak Leopold Tyrmand, Leszek Herdegen) wybierają bądź są wybrani przez swoją wolność jak przez los kładący na nich ostateczną pieczęć; nie ma od niej ucieczki jak od granic własnego ciała. Ta lekcja prywatnej niezależności, demonstrowana w dziesiątkach wariantów, zasługuje na uważniejsze potraktowanie, zwłaszcza że nie jest bynajmniej skutkiem łatwego egoizmu ani pokazowego bohaterstwa.

I myślę też o tej mniej deklaratywnej, za to bardziej organicznej wolności: samego pisania, tworzenia. Pokażcie mi współczesnego pisarza polskiego o większej niż Mrozek skali pisarskiej

odwagi. Który nie obawiałby się, że mu się w jakimś miejscu nieco zamaże twórczy image, że może „nie powinien” czegoś pisać, bo to „nie w jego stylu” albo „nie na czasie”, albo „może być źle zrozumiane”. Który z jednakową satysfakcją i całkowitym brakiem poczucia „niestosowności” pisałby jednocześnie deklaracje polityczne i absurdalne bajki, robił gorzkie porachunki z własnym życiorysem i zajmował się niekaligraficznymi „donosami”, który używając intelektu do czystej zabawy pojęciowo-logicznej miałby jakiegokolwiek poczucie zdrady Wielkich Narodowych Ideałów w Przełomowym Okresie Naszej Egzystencji. Będąc wielu z tych ideałów równie jawnym obrońcą.

Niektóre małe prozy przeglądają się w lustrze dużych próz, tych ze *Słonia*, *Deszczu*, zwłaszcza *Dwóch listów*. Inne odnajdują się raz w jasnym, raz w ciemnym nurcie dramatów, od *Policji* po *Alfę*, ze specjalnym uwzględnieniem jednoaktówek o Lisie i Kogucie.

Nie stanowią zamkniętego etapu. Mrozek pisze je nadal. Ale na użytek niniejszej książki trzeba było w pewnym momencie powiedzieć – sobie i wydawcy – koniec. Niech będzie to realny i symboliczny koniec dekady, który światu kojarzyć się będzie już na zawsze z początkiem końca, *excusez le mot*, komunizmu.

Tadeusz Nyczek



## LIST DO CUDZOZIEMCÓW\*

Wszyscy wiedzą, co zdarzyło się w Polsce w nocy z 12 na 13 grudnia i co dzieje się nadal. Ale żeby zrozumieć to, co się wie, należy najpierw wiedzieć, że:

Wydarzenia w Polsce nie są żadnym „stanem wyjątkowym ogłoszonym w myśl polskiej konstytucji” – oficjalna, rządowa wersja tych wydarzeń. Nie są też „zamachem stanu” ani „puczem wojskowym” – definicja używana przez tych, którzy nie zgadzają się z definicją oficjalną. Inaczej mówiąc, to, co się dzieje w Polsce, nie jest niczym w Polsce nowym ani wyjątkowym.

Pojęcie wyjątkowości teraz zakłada, że dotąd, przedtem wszystko było normalnie. Otóż w Polsce nic nie było normalnie – czyli ani prawomocnie, ani naturalnie – od 1939 roku. Poprzez niemiecką okupację najpierw – do wprowadzenia siłą systemu komunistycznego przez Związek Sowiecki natychmiast potem, za zgodą, a przynajmniej przy niesprzeciwianiu się temu, przez mocarstwa zachodnie. Ani później, przez trzydzieści sześć lat nieprzerwanie, czyli aż do chwili obecnej. To, co się dzieje teraz w Polsce, jest tylko kontynuacją, a nie wyjątkowością. To nie jest wyjątkowe, chociaż jest nienormalne. Nieustająca anormalność. Jedyną nowością, ale nie zmianą, jest tylko i jedynie to, że wszystko, co do tej pory działo się pod przykrywką kłamstw – na przykład kłamstwa o ustroju parlamentarnym w Polsce – teraz dzieje się nadal jako naga prawda, a mianowicie jako działanie nagiej przemocy. A raczej, zamiast powiedzieć: „dzieje się nadal”, należy powiedzieć: wraca do punktu wyjścia, po zatoczeniu pełnego koła w ciągu trzydziestu sześciu lat.

Nie jest prawdą, jakoby wojsko polskie było trzecią, neutralną siłą pomiędzy Partią a Solidarnością, czyli między Partią a społeczeństwem, narodem. Po prostu bez użycia wojska Partia nie jest już w stanie nadal uprawiać dyktatury nad społeczeństwem, zbyt już jest słaba. Uwięzienie byłych przywódców Partii, od dawna już odsuniętych od władzy – a przynajmniej oficjalny komunikat o ich uwięzieniu – równocześnie z uwięzieniem przywódców Solidarności jest doskonałym chwytem propagandowym ze strony tejże Partii. A jednocześnie przykładem, jak można spożytkować swoje własne odpadki. Tylko gdyby generał Jaruzelski aresztował aktualnego pierwszego sekretarza Partii, czyli gdyby aresztował sam siebie, teza o jego bezstronności byłaby wiarygodna.

Nie jest prawdą, że to, co się dzieje w Polsce, co się działo od 1945 roku – jest tylko wewnętrzną sprawą Polski, konfliktem w polskiej rodzinie. Twierdzić, że tak jest, to znaczy zakładać, że Polska jest krajem niepodległym, państwem samorządnym i suwerennym. Podczas kiedy wiadomo, że bez sowieckiej przemocy i mieszania się do naszych spraw Polska wyglądałaby inaczej, niż wygląda, i to od samego początku jej powojennej historii, nie mówiąc już o jej obecnych nieszczęściach. Jeżeli komunistyczna partia rządzi jeszcze w Polsce, to tylko dzięki sowieckiemu poparciu. Zachodni mężowie stanu, kiedy powtarzają frazes o polskich problemach jako o polskich wewnętrznych problemach, które Polacy mają sobie rozwiązać sami między sobą – używają języka wprawdzie odpowiedniego dla ich dyplomatycznych celów, ale pośrednio podpisują się pod kłamstwem. Mianowicie pod kłamstwem o polskiej niepodległości i sowieckiej nieingerencji.

Nie jest prawdą, jakoby Polsce groziła wojna domowa. Zbrojne starcie dwóch części tego samego narodu, wyznających odmienne przekonania – to jest wojna domowa. Tymczasem jeżeli w Polsce w ogóle są jeszcze komuniści, to – z wyjątkiem patologicznych przypadków – nie są już motywowani żadną szczerą i głęboką wiarą w komunistyczny dogmat. Są motywowani okolicznościami, oportunizmem, samooszustwem. A przeważnie są to ludzie, którzy wszystko postawili na system, którzy bez niego nie znaczyliby nic i którzy w służbie systemu poszli już tak daleko, że już nie mają, albo wydaje im się, że nie mają – odwrotu. Przeważająca, a zatem decydująca część ludności jest niekomunistyczna, jeżeli nie antykomunistyczna. Polska jest zagrożona śmiertelnie, ale nie przez wojnę domową, tylko przez zbrojną opresję i represję, która

---

\* Tekst powyższy S. Mrozek wystął do „New York Herald Tribune”, która zamieściła go w skróconej formie.

narodziła się z zewnątrz i dokonuje się wewnątrz kraju, ewentualnie pod fałszywym pretekstem wojny domowej.

Nie jest prawdą, że Solidarność ponosi winę za polski kryzys. Zespół zjawisk opatrzony nazwą Solidarność jest ogólnospołeczną, ogólnonarodową, ludową reakcją przeciwko przyczynom kryzysu, reakcją zwalczaną przez tę przyczynę właśnie, czyli przez zespół zjawisk pod nazwą: Partia, system komunistyczny. Użycie wojska nie jest zwalczaniem kryzysu, ale wprost przeciwnie: jest próbą kontynuowania przyczyn kryzysu, czyli próbą obrony i zachowania monopolu komunistycznej władzy w Polsce. Ten monopol, ta władza – nigdy nie była w Polsce prawomocna, to znaczy – nigdy nie wybrana wolną wolą społeczeństwa i narodu polskiego. A więc nie może być obroniona i zachowana środkami prawnymi, to znaczy demokratycznymi. Teraz, kiedy ta władza usiłuje się utrzymać, otwarcie już używając zbrojnej przemocy – daje tym samym dowód swojej nieprawomocności. Nieprawość, nieprawomocność jest grzechem pierworodnym tej władzy.

„Kultura”, 1-2/1982

## ROZMÓWKA POLSKO-POLSKA

- A. – A więc twierdzi pan, że wybił mi pan zęby i odbił nerki dla mojego dobra?
- B. – Tak. Ktoś musiał pana pobić, gdybym tego nie zrobił ja, zrobiłby to kto inny. Pan wie, kto. Ale on uszkodziłby pana znacznie bardziej. Nie tylko wybiłby panu zęby i odbił nerki, ale również złamałby panu obojczyk, wyrwał paznokcie i wybił oko. A więc zamiast mnie nienawidzić, powinien pan mi dziękować.
- A. – To znaczy, nie dlatego mnie pan okaleczył, że pan mnie nie lubi?
- B. – Ja pana chciałem uchronić przed jeszcze większym złem.
- A. – I nie miał pan w tym żadnego własnego interesu?
- B. – Oczywiście, że nie, o co mnie pan posądza...
- A. – Żadnej osobistej korzyści?
- B. – Nie znoszę osobistych korzyści. Po prostu brzydzę się nimi. Mnie tylko dobro ogólne, a więc i pańskie, leży na sercu.
- A. – Czyli poświęca się pan dla mnie.
- B. – Oczywiście, że się poświęcam. Pan myśli, że wybijanie panu zębów i odbijanie nerek sprawiło mi przyjemność?
- A. – Nie sprawiło?
- B. – Skądże znowu. Co za ohydne podejrzenie. Przeciwnie, mnie było bardzo, bardzo przykro. Ja płakał, ale bił.
- A. – Rzeczywiście, prawdziwe to poświęcenie. Tyle przykrości, tyle trudu, bo i przecież zmęczył się pan przy tym, prawda?
- B. – Uff, to była ciężka robota.
- A. – Właśnie. Tyle przykrości, tyle wysiłku, a wszystko dla mnie, żeby mnie nie gorzej było, ale lepiej.
- B. – Tak, tak.
- A. – Ze względu na mnie, z troski o mnie, dla mojego dobra.
- B. – Wyłącznie.
- A. – Nic dla siebie, wszystko dla mnie. Czy nie tak?
- B. – Dokładnie tak!
- A. – A więc, jeżeli nie ma pan z tego, co pan zrobił, żadnej osobistej przyjemności ani korzyści, a wręcz przeciwnie, gotów pan jest na każdą przykrość, byle tylko mnie było lżej, a nie ciężej, to wobec tego ośmielałem się, ponieważ czuję się do tego przez pana upoważniony...
- B. – No, o co chodzi?
- A. – ... Ośmielałem się mieć do pana pewną prośbę. Bo skoro pan już aż tak siebie poświęca...
- B. – Ależ chętnie wysłucham.
- A. – To niech pan pozwoli, że będę pana nienawidził w dalszym ciągu.



# POPIÓŁ? DIAMENT?

## 1.

Jestem wychowankiem Polski Ludowej. Nie od dziecka, ale prawie. Ukończyłem szkołę średnią (matura) w 1949. Rok przedtem czytałem ówczesną nowość i największe wówczas wydarzenie literackie, które zresztą nie przeminęło, lecz okazało się nieśmiertelnym dziełem polskiej literatury. To znaczy – nieśmiertelnym do dzisiaj, ponieważ do dzisiaj jest wydawane w ogromnych nakładach jako lektura szkolna, czyli obowiązkowa, i jednocześnie jako lektura nieobowiązkowa, lecz spontanicznie poszukiwana przez każdego czytającego Polaka w każdym kolejnym pokoleniu. Rzadki wypadek, może jedyny, kiedy powieść napisana po wojnie i opublikowana przez władzę ludową weszła do wspólnej skarbnicy: do skarbnicy państwowego nauczania i autentycznej świadomości narodowej.

Miałem więc osiemnaście lat, kiedy przeczytałem powieść Jerzego Andrzejewskiego *Popiół i diament*. Jeszcze nieufny wobec propagandy Przemian i Nowego, zostałem postawiony wobec niespodzianki. Mianowicie wobec faktu artystycznego, który jednak wyrastał z faktów politycznych. Oto konfrontując Stare z Nowym autor podnosi polskie konflikty do poziomu polskiego losu, ten zaś syntetyzuje i nadaje mu wymiar tragedii. Czyli od poziomu aktualności do poziomu rzeczywistości, tę zaś z kolei wyżej – do poziomu historii, a stamtąd – do poziomu sztuki.

To było przekonujące i zrobiło na mnie duże wrażenie.

Po raz pierwszy Nowe ukazało mi się nie jako propaganda, ale jako element sztuki, zaś sztuka bardzo wiele dla mnie wtedy znaczyła. Więcej niż życie, ponieważ życia bardzo pragnąłem wszystkimi siłami mojej młodości, ale życie nie bardzo mnie chciało. Sfrustrowany społecznie (pochodzę z bardzo drobnego mieszczaństwa w pierwszym pokoleniu, z drobnego chłopstwa w poprzednich), seksualnie (źle mi się wiodło pod tym względem jako dorastającemu chłopcu), światopoglądowo (bo już narastał we mnie bunt przeciwko wszystkiemu, co mnie zrodziło i wychowało, bunt na razie bez kierunku, a więc nihilistyczny), gdzież ja biedny miałem szukać schronienia, jak nie w sztuce. Ona przyjmie każdego, każdy może czytać książki, nawet kiedy nie może nic innego.

Wkrótce jednak trafiło mi się lepsze schronienie. Lepsze, bo pozornie będące życiem samym, w dodatku wcale nie wykluczające sztuki. Na wiosnę 1950 roku doznałem olśnienia: Nowe ukazało mi się jako wyjście z mojej wszechstronnej pułapki ku życiu, którego tak pragnąłem, a od którego czułem się tak pod każdym względem odsunięty. Dano mi pierścień magiczny, różdżkę czarodziejską, zaklęcie, które rozwiązało mój kryzys i zastąpiło go poczuciem wszechmocy i wszechwiedzy. Jest rzeczywiście coś magicznego w tym, jak totalitaryzm zmienia nieszczęsnego, niedouczonego, sfrustrowanego, zabiedzonego gówniarza w mędrca i giganta. Oczywiście tylko w jego własnym samopoczuciu, ale czy własne samopoczucie nie jest wtedy dla niego – na razie – jedyną rzeczywistością? Jest coś niesamowitego w szczęściu, jakiego doznaje każdy, kto zażyje owego narkotyku, przynajmniej w pierwszej fazie po zażyciu. Byłem samotny, a oto jestem bratem całej postępowej ludzkości. Czułem się głupi, a oto mam klucz (oreź marksistowski, uniwersalny, a dziecinnie prosty w użyciu) do całego gmachu myśli ludzkiej i wszystkich jej zakamarków. Z nieskończonych wyżyn prawdy absolutnej patrzę na cały świat, zarówno na kulę ziemską jak i na najdrobniejszą mrówkę. Byłem słaby i upokorzony, a oto moja siła jest bez granic. Co się zaś problemów seksualnych tyczy, to wprawdzie marksizm-leninizm nie rozwiązuje ich od razu, ale *primo*: pozwala je umieścić we właściwej perspektywie, to znaczy daleko za priorytetem walki o lepsze jutro ludzkości i rozruchem wielkich pieców, *secundo*: panująca propozycja ideologiczna, jeśli przyjęta, jest automatycznie obietnicą kariery, zaś samczyk, który idzie w górę, ma więcej szans (znaczenie, pieniądze, rozgłos) niż samczyk, który siedzi w dole.

Prawie z dnia na dzień pokochałem Józefa Stalina. Z siłą dokładnie równą tej, z jaką przedtem nienawidziłem siebie. W praktyce wyraziło się to objęciem posady najpierw reportera, a później

publicyści w „Dzienniku Polskim” w Krakowie, z zasięgiem aż po Rzeszów. Tam to dawałem wyraz mojej miłości na piśmie, najpierw gwałtownie, potem stopniowo zwalniając. Miłość trwała około trzech lat, z grubsza biorąc, bo łatwo jest zapamiętać datę, kiedy się pokochało, ale trudno, kiedy się przestało. Zakończenie rozwleka się w czasie. W każdym razie pamiętam prześliczny, słoneczny i błękitny dzień, kiedy ogłoszono, że w ślad za Józefem Stalinem umarł Bolesław Bierut, jego namiestnik i odbitka na Polskę. Piliśmy wtedy „Pod Gruszką”, zaczęliśmy w południe, nikt tego nie wyznał, ale była w nas, w powietrzu, w tej niebieskości i słoneczności radość, radość... nie tylko i nie przede wszystkim z powodu pięknej pogody. A może się mylę, że w nas? Wolę i mogę właściwie mówić tylko za siebie, we mnie była. Piłem, żegnając bez żalu siebie, jakim byłem i witając z radością siebie, jakim będę. Jakim – tego oczywiście jeszcze nie wiedziałem, ale była to rozkoszna niewiedza, bo w każdym razie już nie takim, jak przedtem. Wciąż byłem przecież młody, bardzo młody i... – jak teraz już wiem, a wtedy przeczuwałem – wiele jeszcze miałem przyszłości przed sobą. Więc piłem po prostu za życie, które mnie jednak jakoś odnalazło i które otwierało się przede mną szeroko.

Parę lat później *Popiół i diament* znowu odegrał rolę w mojej umysłowej i duchowej biografii. Tym razem w postaci filmu pod tym samym tytułem, co powieść. Zresztą film jest znany, i już nie tylko w Polsce, bo z klasycznego dzieła polskiej kinematografii stał się tymczasem klasycznym dziełem kinematografii światowej. Pamiętam mój stan po wyjściu z kina, nie tylko mój, ale wszystkich, którzy ten film widzieli. Poczucie, że wzięło się udział w czymś wyjątkowym, co zdarza się tylko raz na wiele lat. Byłem przejęty i wstrząśnięty. I rozglądałem się dokoła, jakby rzeczywistość była przemieniona.

Tym razem to nie tylko sztuka. Był okres „odwilży” po polskim październiku 1956 i świat nie był już dla nas tak szczelnie zamknięty jak przedtem. Zakotłowały się w nas Kafki, Hemingwaye, Camusy, Faulknerzy, Becketty, Sartry i Ioneski w oszałamiającym, pośpiesznym pomieszaniu i poplątaniu, z którego tak naprawdę mało kto co rozumiał, czy choćby pojmował (to było niemożliwe, zważywszy okoliczności), ale które wszyscy potężnie odczuwali i przeżywali. Świat, czyli Zachód, nie był już baśnią i zaczynał nam dawać widome znaki, że jest. Witaliśmy je, jak może powitamy kiedyś na ziemi pierwsze pojazdy kosmiczne z innych planet, świadczące namacalnie i naocznie, że inne cywilizacje istnieją naprawdę, a nie tylko w mitach. (Tego absolutnego zamknięcia przedtem i tego nagiego otwarcia potem, skutków jednego z drugim – nie mogą już sobie wyobrazić następne pokolenia). Tak, ale to wszystko od nich ku nam, ale my – co mieliśmy do zaoferowania? Tylko jedno: nasze wschodnie doświadczenie, którego – i tylko tego jednego w nas – oni byli ciekawi. Tak, ale w jakiej formie mieliśmy im to dać? Filmu *Przygoda na Mariensztacie* albo *Piątka z ulicy Barskiej*? I nagle ten film Wajdy sprawił, że poczułem się równym tym na Zachodzie. Głęboki i pełen tragicznej urody, pojedynczo ludzki, a jednocześnie ogólnie historyczny, nie gorszy, nie mniej atrakcyjny za pośrednictwem Zbigniewa Cybulskiego niż James Dean czy Humphrey Bogart, a w dodatku swój własny, ja, Polak. Tak więc *Popiół i diament*, najpierw jako książka, potem jako film wszedł w mój organizm psycho-umysłowy, zjednoczył się z nim, zapadł w moją podświadomość. Tak samo, jak u milionów już chyba Polaków, bo już przez trzydzieści pięć lat – czytelników tej książki i przez dwadzieścia pięć – widzów tego filmu. I nie myślałbym już o nim, jak się nie myśli o swoim własnym krwiobiegu, gdyby nie nadszedł rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty pierwszy i drugi.

## 2.

Od trzynastego grudnia ubiegłego roku nie można uciec od obrazu, w którym jeden człowiek ucieka, a drugi go goni. Ten pierwszy jest bez broni, w cywilnym ubraniu, ten drugi uzbrojony i w mundurze. Czasem ten drugi strzela do pierwszego, zabija go albo rani, zaś zawsze bije go pałką, nawet wtedy, kiedy ten pierwszy już leży i nie może się poruszać. Obraz powtarzający się ciągle, z monotonią tym bardziej dotkliwą, że obraz tego rodzaju zazwyczaj kojarzy się z wyjątkowością i sporadycznością, a nie z regułą, jednostajnością i powtarzalnością. Może ta powtarzalność,

sprzeczna z naturą obrazu, sprawiła, że w mojej podświadomości zaczęło się coś poruszać i mnie męczyć. Parę jednak dni musiało minąć, zanim to coś wynurzyło się z mojej podświadomości i krzyknęło swoje imię, ale za to, wtedy, przedstawiło się i dało rozpoznać od razu, w ciągu sekundy. Ależ tak! Ja to przecież już skądś znam, ja przecież już to gdzieś widziałem! Skąd? Gdzie? Z książki, z filmu, z *Popiołu i diamentu*.

Tak przecież kończy się i książka, i film. Człowiek ucieka, drugi go goni, strzela, zabija. Pochyla się nad zabitym. I teraz nawet pamiętam, co mówi (w książce). Mówi: „Człowieku, po coś uciekał?”

Szczególne pytanie. Szczególna pamięć, która po trzydziestu pięciu latach, jakie minęły od lektury, zachowała z całej książki tylko to jedno zdanie. Jedno, ale za to najważniejsze, bo ostatecznie, zamykające dzieło, a więc klucz do całości. Zdanie-przesłanie, konkluzja i wniosek.

Istotnie, dlaczego uciekał? Sięgnąłem więc po książkę i przeczytałem ją po raz drugi. Oto, czego się dowiedziałem, a raczej co sobie przypomniałem, bo przecież czytałem już tę książkę, kiedy miałem osiemnaście lat.

Rok 1945, koniec wojny. Polska jest zniszczona i wypalona. Także ideologicznie i moralnie. Powszechne ludzkie bankructwo. Brak nowych idei, projektów, chęci do życia nawet. Pustynia. Dlaczego tak jest? (w książce). Ano, żeby na tle aż takiej pustyni tym jaśniej, tym piękniej ukazał się jedyny kwiat, zapowiedź bujnej i ożywczej roślinności, życia nie tylko nowego, ale też innego niż to, które uległo zniszczeniu, a w ogóle to jedynego prawdziwego życia, a mianowicie: komunizmu.

W Polsce nastaje więc władza ludowa. Nastaje nie dlatego, że chce nastać, nie dlatego, że to lubi, tylko dlatego, że pragnie jej lud. Lud polski, nawet jego nieświadoma klasowo, ideologicznie część – instynktownie łaknie władzy ludowej, bo wie, co dla niego dobre. Więc władza odpowiada tej potrzebie ludu i nastaje, dlatego też nazywa się ludową. Dowód, że robi to bezinteresownie, a nawet wbrew własnym interesom osobistym: nastając, naraża się nie tylko na trudy, ale także na niebezpieczeństwa, bo klasowy wróg ludu strzela do władzy ludowej. W dodatku podle i tchórzliwie, bo zza węgła. Ginią liczni jej przedstawiciele. Ginią stary komunista, Szczuka, najszlachetniejszy, najbardziej rozumny, ten, który dla ludu, dla narodu, dla sprawy – poświęcił wszystko jeszcze za żywota.

Kto strzela? Maciek Chełmicki, młodzieniec, też szlachetny, ale oszukany. On też chce dla Polski dobrze, jak Szczuka, ale niestety, chce dobrze w niedobry sposób. Bo oszukał go ideologicznie klasowy wróg ludu, omamił i użył jako morderczego narzędzia. Na tym polega tragedia. Bo zarówno morderca jak i jego ofiara chcą tak samo dobrze, tyle że ofiara chce dobrze dobrze, a morderca chce dobrze źle. Zabiwszy ucieka. Zostaje więc zastrzelony przez ludowego żołnierza, obrońcę uciśnionej władzy. Gdyby nie uciekał, a poczekał, czy nic złego by mu się nie stało? W zasadzie nie, bo zasłużona kara nie jest krzywdą, ale pokutą, odkupieniem winy, czyli odkupieniem zła, czyli dobrem. Stąd zapewne pytanie: „Człowieku, po coś uciekał?” Ale to pytanie należy rozumieć w jeszcze szerszym znaczeniu. „Człowieku, po coś uciekał” nie tylko przed lufą, ale po coś uciekał przed Dobrem i Prawdą, jakie niesie Nowe? Dlaczegoś nie otworzył oczu przed tą Prawdą, a serca przed tym Dobrem? Dlaczegoś pozwolił, żeby nadal władało twoim sercem i umysłem zło i kłamliwe Stare?

Odłożyłem książkę i zacząłem myśleć. Oto, co pomyślałem.

Po pierwsze: ta sama władza ludowa, co wtedy nastąpiła, trwa w Polsce do dzisiaj w nieprzerwanej ciągłości. Tę ciągłość podkreśla, co chwila obchodzi ją uroczyście i chlubi się swoimi początkami. Trwa w tej samej swojej, niezmiennej i niezachwianej istocie, czym również się szczyci i co każe innym czcić i podziwiać. W konsekwencji ten sam żołnierz ludowy, który gonił Maćka Chełmickiego, zastrzelił go i zadał mu potem filuterne pytanie, goni teraz i strzela, jeżeli nie bije tylko pałą – swojego rówieśnika w cywilu. Czyli *Popiół i diament dwa*, który – gdyby autor chciał uwspółcześnić swoją powieść – powinien mieć następujące zakończenie: *Zomo goni człowieka. Dogania go i bije pałą. Kiedy człowiek przestaje się już ruszać, Zomo pochyla się nad nim i... (tutaj cytuję ostatecznie zdanie tej książki, ostatnią linijkę – dosłownie)... Człowieku! – zawołał z żalem. – Człowieku, po coś uciekał?*

Dlaczego więc to pytanie brzmiałoby w tak współczesnej, ale w swej istocie nie zmienionej książce – jak szyderstwo, a w tej wersji, jaką czytaliśmy i czytamy – tak nie brzmi? Dlaczego, jeśli obraz, sytuacja i okoliczności są takie same? Coś tu się nie zgadza. Bo jeżeli dzisiaj jest coś tak samo jak wtedy, to dlaczego zakończenie książki o tym wtedy nie razi nas jako cynizm, obelga i szyderstwo, jak raziłoby nas w tej samej książce o dzisiaj tym samym co wtedy, ale przeciwnie – wydaje się podniosłym zakończeniem literackiego dzieła? Dlaczego tak słusznie i naturalnie wynika z całej kompozycji i treści utworu?

Nasuwa się tylko jedna logiczna odpowiedź, a mianowicie, że książka jest kłamliwa. To znaczy – kłamie na temat Polski sprzed trzydziestu ośmiu lat.

Wobec tego, żeby dowiedzieć się prawdy, należy tej książce, jej tezom, założeniom i pewnikom postawić kilka pytań.

Czy rzeczywiście władza ludowa powstała, bo chciał jej lud – czy też została nam przyniesiona i narzucona przez Armię Czerwoną?

W tej książce Armia Czerwona przesuwa się przez ziemie polskie dyskretnie, krokiem elfów, czyli leśnych duszków. Nie tylko nam żadnej władzy nie przynosi i do niczego się nie wtrąca, ale sama ledwo istnieje, i to wyłącznie w formie ilustracji muzycznej. Bo kiedy toczy się akcja i kiedy tylko Polak z Polakiem mają swoje sprawy, ją tylko słychać w tle jako dźwięki najpierw harmonijki ustnej, potem harmonii ręcznej, później bałabajki i wreszcie, żeby realizmowi historycznemu stało się zadość, słychać także z domu, gdzie kwaterują jej żołnierze, nieuniknioną „tęskną pieśń stepową”. Tylko w scenie, kiedy opalają się nad rzeką, również zresztą należąc do krajobrazu, a nie do akcji, siedzą, a raczej leżą cicho, to znaczy nie śpiewają i nie grają. To wszystko, i ma się wrażenie, że ową tęskną pieśń śpiewają niewinne chłopięta, które, gdyby na ten temat przy nich rozmawiano, otworzyłyby szeroko oczęta i zapytały: „Cio to jest NKWD?”

No dobrze. Czy więc władza ludowa najpierw powstała, a dopiero potem wyrosło jej zbrojne ramię, czyli Urząd Bezpieczeństwa (bezpieczeństwa dla ludu, mówiąc językiem oficjalnym, a mówiąc po prostu – Tajna Policja Państwowa) i wojsko, czy też odwrotnie: najpierw było zbrojne ramię, a reszta ciała dorosła mu potem?

Czy rzeczywiście władza ludowa ograniczyła się tylko do tego, że oddała to zbrojne ramię do dyspozycji ludu, który spontanicznie powstawszy przeciwko wyzyskiwaczom nie miałby bez tego ramienia żadnych szans, bo był bezbronny, a wyzyskiwacze mieli do swojej dyspozycji AK, czyli podziemną Armię Krajową wywodzącą się w prostej linii z organów ucisku i represji kapitalistycznej Polski przedwojennej?

Co to było, to polskie podziemie podczas wojny i po wojnie? Czy oprócz oddziałów rzeczywiście prawicowych i antykomunistycznych, które rzeczywiście mordowały komunistów, czy oprócz zdegenerowanych watażków jak osławiony Ogień na Podhalu, którzy mordowali kogo popadło – z jednej strony, a komunistyczną grupką AL – z drugiej strony, nie było w Polsce nikogo, kto walczył z Niemcami nie będąc ani faszystą i bandytą, ani marksistą-leninistą-stalinistą? Czy w milionowej Armii Krajowej, głównej sile polskiego ruchu oporu, byli wyłącznie ludzie, którzy marzyli o powrocie do Polski dokładnie takiej, jaka była przed wojną? Czy nie było w Polsce tradycji i ugrupowań demokratycznych, socjaldemokratycznych i socjalistycznych (co wtedy nie znaczyło wcale: komunistycznych)?

Owszem, autor wspomina o jednym takim. Z tradycji PPS (Polska Partia Socjalistyczna). Nazywa się Kalicki. *Świat, w który tamten człowiek wierzył należał do przeszłości. Dawno minęły czasy, gdy ów świat służył był wolności. Historia poszła dalej, lecz tego Kalicki zdawał się nie dostrzegać. Czas się dla niego zatrzymał, a historia powtarzała niezmiennie jedno doświadczenie. Więc cóż mu miał mówić? Tłumaczyć, że kraj, który dla rewolucji poświęcił całe pokolenie, teraz, gdy przyszło mu płacić za wolność krwią najlepszych synów, walczył o coś więcej jednak niż o własne granice? Siła, w której ludzie zagubieni jak Kalicki dostrzegali tylko zaborczy i brutalny imperializm, dla niego była wzniosłym symbolem światowej walki o lepszy i sprawiedliwszy porządek. Jak na najdalej podczas wojny wysuniętym przyczółku mostowym żądano w tym kraju od ludzi bezwzględного wypełniania najtrudniejszych zadań. Żądano heroizmu, pokory i postuszeństwa. Jeśli więc słabi i wątpiacy odpadali, inaczej być nie mogło. Na przyczółku*

*mostowym nie ma miejsca dla słabych i wątpiących. Gdy toczy się walka, trzeba nieraz poświęcać życie wielu ludzi, aby uratować życie milionom. Na przedpolach Moskwy i Leningradu, wśród ruin Stalingradu uczyniono to. Uratowano miliony żyjących. Czy o tym miał mówić Kalickiemu? Wśród gwałtownych i krwawych przemian wstrząsających światem od wielu lat, Związkowi Radzieckiemu przypadła w udziale służba najcięższa i domagająca się największych ofiar. Ten kolos, oskarżony o imperializm i zaborczość, służył w istocie wszystkim uciemiężonym i skrzywdzonym, służył ludziom i narodom. Czy tę swoją i swoich towarzyszy prawdę miał powiedzieć Kalickiemu, który także kiedyś służył był uciemiężonym i skrzywdzonym? (Z monologu wewnętrznego towarzysza Szczuki).*

Tak więc nawet ten jeden do niczego się nie nadaje, został skreślony przez Historię. A poza tym jednym nie ma nikogo, bo tylko sami sługusi londyńskiego Andersa. Czyli według książki – po odejściu Niemców, a gdyby nie przyszli Rosjanie, nie byłoby w Polsce ludzi, którzy by mogli i umieli stworzyć nową państwowość nie będącą ani kopią Polski przedwojennej, ani aneksem ZSRR. Według tej książki – Polska po 1945 składała się tylko z durniów, oszustów, morderców, błaznów, zdegenerowanych inteligentów (przedwojenny sędzia, a podczas wojny kapo w obozie koncentracyjnym, doktor – nihilistyczny samolub, adwokat – kretyn katolik „o byczym karku” bełkocący coś o „zachodniej, prawdziwej demokracji”) i głupkowatych hrabiów – czyli przedstawiciele i obrońców Starego (ów polonez tańczony przez kreatury i karykatury – piękna scena, zwłaszcza w filmie), oraz ze szlachetnych i mądrych komunistów, czyli przedstawiciele i nosiciele Nowego. W tle zdrowy lud i otumaniona młodzież.

Ach, ten lud Pana Andrzejewskiego... *Las sztandarów. Pod ich czerwienią milczący, skupiony tłum. Twarde, spracowane twarze (twarzami pracowali, czy co?). Starzy, Młodzi... Ciężcy, kancjaści... Ich prostacze, szare mimo opalenizny, utrudzone twarze wydawały się w masie tak do siebie podobne, jak gdyby samo życie, niosące wspólność pracy i wspólność trudów, żłobiło je w ciągu lat tymi samymi rysami siły i uporu.*

*Stojąc jeden przy drugim, ciasno stłoczeni ramię przy ramieniu, skupieni i milczący, nie różnili się od siebie wiekiem, wzrostem, ubraniem. Byli jedną, zwartą i ogromną masą.*

Ja jednak daję słowo honoru, że mój stryj Andrzej, monter od telefonów, różnił się od stryja Kazka, parobka we wsi Porąbka Uszewska, ten zaś był różny od stryja Jana, „fizycznego”, czyli od noszenia paczek na kolei. Nigdy ich jakoś nie pomyliłem, może dlatego, że nie wydawali mi się „masą”.

Więc jak to było z tą Polską. Ta przedwojenna – czy skończyła się dopiero w 1945, dzięki władzy ludowej, czy już w 1939, na skutek swej własnej klęski, upadku i kompromitacji. Bo ja pamiętam, że po klęsce wrześniowej wszyscy wiedzieliśmy jedno, przynajmniej u mnie, to znaczy u zwyczajnych ludzi. Myśmy wiedzieli, że Polska znów będzie, ale nie taka sama jak przed wojną. I tylko jedno nam nie przyszło do głowy, a mianowicie, że będzie to Polska komunistyczna.

Więc co się działo w tej Polsce po wojnie. Czy naprawdę następna wojna, domowa, którą zaczęli polscy faszyci napadając na polskich komunistów? Czy też rozpaczliwa, beznadziejna, konwulsyjna samoobrona narodu przed nową okupacją i dalszą utratą niepodległości, tym razem na rzecz wschodniego, nie zachodniego mocarstwa. Kto zaczął, kto kogo gonił i kto przed kim uciekał i dlaczego. Czy naprawdę każdy, kto się ukrywał i uciekał przed władzą ludową miał na sumieniu komunistę, którego napadł i zastrzelił, czy tylko Niemca, któremu nie pozwolił się zabić. Ilu było ściganych tylko za to, że przez pięć lat walczyli z Niemcami nie jako komuniści, ale jako Polacy bez żadnych ideologicznych motywacji. Ilu zaszczuto, uwięziono, zamordowano – tylko dlatego, że byli objęci szerokim planem likwidacji wszystkiego, co było i mogło być Polską niezależną. Ilu było takich, którzy musieli uciekać, bo już z góry byli za to i dlatego właśnie skazani. Którzy, gdyby ich wtedy zapytano – w rzeczywistości, a nie w książce – „Człowieku, po coś uciekał?” – odczuliby to pytanie jako cynizm, obelgę i szyderstwo.

### 3.

Nie jestem ani historykiem, ani krytykiem literackim. Jestem starzejącym się panem, który już odczuwa potrzebę, żeby porachować się ze swoim życiem. Nie mogę tego zrobić, jeżeli nie porachuję się z tym, co mnie kształtowało i omal nie ukształtowało. Niektóre moje sprawy nie należą tylko do mnie, ale do narodu, z którego pochodzę. Dotyczą więc nie tylko mnie, ale wielu takich jak ja. Dlatego nie zachowuję ich tylko dla siebie. Dlatego i tylko dlatego to napisałem.

„Kultura”, 1-2/1983

## ALBO TO, CZY ALBO CO?

Jedną z naszych polskich słabości, a może nawet ukrytą przyczyną wielu naszych słabości jest funkcjonowanie (raczej dysfunkcjonowanie) w parze przeciwieństw ustanowionej w XIX wieku słowami poety: „Czucie i wiara” a „mędrca szkiełko i oko”.

Jak każdy, kto otrzymał na drogę w świat polskie wyposażenie, męczyłem się w tym potrzasku. To było jak zadanie szkolne, którego nie umiałem rozwiązać. Za moją bezsilność mściłem się na wieszczu, który nam tę parę przeciwieństw zadekretował, szargałem jego świętość. Ulżyło mi, ale tylko na chwilę i nie naprawdę. Wieszczowi oczywiście nie zaszkodziłem, bo jak, zresztą on niewinny. Miał swoje powody i okoliczności, jego prawo pisać, co pisał. Wcale nam nie kazał tego dekretu trzymać się niewolniczo, to myśmy sami chcieli. Stroiłem miny i grymasy jak chłopczyk, który źle się wprawdzie czuje w ubranku sprawionym przez rodziców, ale go nie zdejmuje, bo na inne i własne ubranko go nie stać.

Owa para przeciwieństw ma wszystkie cechy dylematu, jeżeli nie logicznego, to w sferze naszego ludzkiego, tak zwanego życiowego doświadczenia. Dylemat – to znaczy zadanie, którego nie da się rozwiązać, ponieważ każde rozwiązanie jest równie niewłaściwe. Wieszcz wprawdzie dylematu tu nie dostrzegł, to jednak nie oznacza, że go tu nie ma. Stawiając nam ultimatum: albo „czucie i wiara”, albo „mędrca szkiełko i oko”, nie tylko zdawał się nie wiedzieć, że funduje nam rzecz nie do rozwiązania, ale przeciwnie, był jakby przekonany, że daje nam samo rozwiązanie. Jakby tu chodziło tylko o wybór, i to wybór tak prosty, że nawet już nie wybór, tylko stwierdzenie. Założył z góry, że „mędrca szkiełko i oko” jest nędzną uzurpacją, a cała prawda jest w „czuciu i wierze”. Co założywszy, opowiedzenie się po stronie „czucia i wiary” nie sprawiło mu już najmniejszego kłopotu. Wybrał, jeżeli tu można mówić o wyborze, „czucie i wiarę” entuzjastycznie, a „mędrca szkiełko i oko” wygnał precz, obłożywszy je na drogę ciężkimi piorunami. Być może zadowoliło go takie rozstrzygnięcie, nas jednak zostawił z dylematem, który ma to do siebie, że sobie kpi z takiego rozstrzygnięcia, jak również z każdego innego rozstrzygnięcia.

Ale czy rzeczywiście jest to dylemat, a nawet – czy rzeczywiście to jest para przeciwieństw? A nawet jeżeli jest to para przeciwieństw, czy rzeczywiście musimy jedno z nich wybierać? Czy cała ta sprawa, tak kłopotliwa, nie jest tylko najpierw nieporozumieniem, a później mistyfikacją i tak naprawdę – jak się to mówi – nie ma sprawy?

Bo dlaczego właściwie człowiek ma tylko odczuwać, a nie myśleć, lub odwrotnie, dlaczego zdolność odczuwania ma oznaczać zanik zdolności rozumowania i odwrotnie, dlaczego człowiek ma być albo wzruszonym debilem, albo kalkulującą kłoda? Dlaczego ma, kiedy – po pierwsze – nie może?

Nieustający galop uczuć nie jest możliwy – nieustający, czyli bez przerwy na choćby tę skromną refleksję, że oto galopujemy. Równie niemożliwa jest nieustająca refleksja, choćby dlatego, że wtedy nie byłoby czego reflektować.

Powyższe wydaje się tak oczywiste, że musi wyniknąć pytanie: dlaczego takim może się nie wydać. Znajduję jedną możliwą odpowiedź. Ta oczywistość nie okazuje się tylko wtedy, kiedy postulujemy człowieka jako jakiegoś człowieka nigdy i nigdzie, czyli Człowieka W ogóle (duże „C” i duże „W”), a nie człowieka w czasie i przestrzeni i jego własnym ciele. Kiedy oddzielimy umysł od mózgu drogą niewzięcia pod uwagę, że istnienie umysłu bez istnienia mózgu nie zostało jeszcze udowodnione, zaś mózg dostępny jest obserwacji.

Zawsze mnie zadziwia, że choć na ogół oceniamy życie jako funkcję czasu, albo czas jako funkcję życia, życie w czasie, a czas w życiu – na przykład gdy chodzi o kolejnictwo lub gotowanie jajka na miękko lub twardo – zdajemy się zupełnie nie dostrzegać, że nasze psycho-umysłowe procesy też dokonują się w czasie. Czy dlatego, że trudno nam rozróżnić następstwa w odcinkach tak krótkich, że wymykają się, lub prawie wymykają samo-obszacji? Zgoda, ale następstwa w dłuższych seriach nie nastroczają już tej trudności. Każdy z nas zwykł mawiać: „Pomyślę o tym jutro”, albo „Przed chwilą myślałem, że...”, „Rok temu byłem przekonany...”, „Kiedy cię

spotkałem, poczułem...”. Sprzeczność między zdolnością odczuwania a zdolnością rozumowania mogłaby – ewentualnie, bo to pozostaje jeszcze do rozpatrzenia – zachodzić tylko wtedy, gdyby się one objawiały jednocześnie. W rzeczywistości działają one kolejno, ich jednoczesność możemy tylko postulować w myśli, która z kolei jest osobną fazą i też wymaga swojego czasu. W ogóle sprzeczności są raczej możliwe tylko dzięki tej zdolności umysłu do zestawiania w jednym i tym samym akcie myśli dwóch rzeczy, które w naturze są rozdzielone czasem i przestrzenią. Starszym ludziom znane jest zdziwienie: „Jak to, byłem młody, a jestem stary”. Zdziwienie, wywołane sprzecznością nie do pogodzenia z poczuciem własnego, pozaczasowego ja. Ale starzec może się dziwić, że nie jest już dzieckiem tylko dlatego, że zdolny jest w umyśle do jednoczesnego zestawienia swojej starości, która jest, ze swoim dzieciństwem, którego już nie ma. W jego umyśle jest sprzeczność, ale gdzie jest ona w rzeczywistości?

Gdy będziemy pamiętać o czasie, do czego nas chyba zobowiązuje proste poczucie przyzwoitości wobec własnego doświadczenia, wobec czegoś, co działa w zauważalny sposób, choć wymyka się ostatecznej i zadowalającej definicji – okaże się, że sprzeczności między zdolnością odczuwania a zdolnością refleksji nie ma, mogą być tylko sprzeczności między wnioskami, jakich dostarcza jedna i druga w danej sprawie. Zamiast sprzeczności jest *alternance*, co najtrafniej umiem w tym wypadku przetłumaczyć tylko jako: płodozmian. („Rotacja upraw rolniczych kolejno następujących po sobie” – Leksykon PWN) – albo wzajemne się uzupełnianie.

Bo nawet jeżeli założymy, że uczucie i refleksja dzieją się jednocześnie – to również i wtedy nie będą one stanowiły sprzeczności, po prostu dlatego, że każde z nich ma co innego do roboty, a ich oddzielne zadania nie kłócą się ze sobą, ale wspólnie dają człowiekowi szansę przetrwania w tym świecie. Uczucie jest albo sygnałem (czucie), który refleksja ma odczytać i zakwalifikować, albo – na wyższym piętrze (intuicja) – projektem, postulatem, że jest „tak a tak”, lub „ma być tak a tak” – które to apodyktyczne stwierdzenie lub żądanie powinno być zweryfikowane przez refleksję. Uczucie mówi: „To, tutaj!” A refleksja: „Czy naprawdę to?” Uczucie mówi: „Idźmy tam, zróbmy tamto!” A refleksja: „Tam? A dlaczego i po co? Tamto? A czy naprawdę trzeba?” Nie są to pytania sceptyczne, z góry wątpliwe w słusność wszystkich odpowiedzi, ale uczciwie szukające właściwej lub najlepszej odpowiedzi. Czasem uczucie się myli, czasem nie. Czasem coś się zgadza lub nie zgadza, czasem wszystko, czasem nic. Uczucie może być wrogiem refleksji tylko wtedy, kiedy za wszelką cenę chce mieć zawsze rację w rozpoznaniu prawdy, nawet za cenę zagłady człowieka, a refleksja w ogóle nie może być wrogiem uczucia, bo bez niego by jej nie było i w ogóle bez niego niczego by nie było. Niezdolność odczuwania jest chorobą psychiczną, a niezdolność myślenia kretynizmem.

Z powyższej pary pozornych przeciwieństw wywodzą się drogą degeneracji pary przeciwieństw niestety już mniej pozornych, które od półtora wieku (około) wiodą nasz polonez. Niestety, bo choć pozorne tylko one być mogą w dyskursywnej analizie, w praktyce wcielają się one w najróżniejsze życiowe dosłowności naszej historii i tam się rzeczywiście gryzą.

Romantyk – pozytywista.

Idealista – pragmatyk.

Szalony bohater – rozsądny tchórz.

Męczennik za wiarę – świnia z rozumu.

Od razu widać, że – ponieważ rzecz dzieje się w Polsce (czyli gdzieś, i to bardzo gdzieś, a nie „nigdzie” według niby-dowcipu A. Jarry, powtarzanego z głupkowatą lubością przez chcących się wydać też dowcipnymi, albo odczytanymi, albo sarkastycznymi, albo wszystkim naraz) – sprawa z jednostkowej zamienia się w społeczną i polityczną. Z teorii poznania przechodzi w zagadnienia moralności stosowanej, a mianowicie stosowanej do sytuacji i wariantów zagrożenia, w jakich prawie nieustannie znajduje się polska społeczność. Czyli grubieje, nabiera egzystencjalnego i społecznego ciężaru i zaczyna podlegać zniekształceniom. Najgrubiej przedstawia się tak: wierzę, że naród przetrwa, ale to jest tylko wiara, bo rozsądek tego nie potwierdza, albo wręcz każe w to wątpić. Okoliczności materialne pracują, żeby naród zginął, więc jeżeli ma przetrwać, trzeba postępować wbrew tym okolicznościom. Ale wtedy ja się narażam jako jednostka, a gdybym machnął ręką na naród, mnie jako jednostce nic nie zagraża, jako jednostka mam tym większe



szanse przetrwania, im mniej będę się sprzeciwiał okolicznościom materialnym, czyli im bardziej będę powiększał szanse, że zginie naród. Zatem wiara jest szlachetna, a rozsądek świństwem.

Wszystko jednak zależy od uściślenia: wiara w co? – bo przecież nie wiara jako taka i w ogóle. Rozsądek, ale jaki – czy pojęty tylko jako instynkt samozachowawczy jednostki, quasi-biologiczny? Ale to jest pomieszanie pojęć, a nie definicja rozsądku. Zbyt często zapominamy uściślać, z czego wynikają nieporozumienia i mętność.

Że nie każda wiara musi być od razu szlachetna tylko dlatego, że wiara – przykładów nie brakuje. Byli niedawno tacy, co wierzyli gorąco, którzy wszystko postawili na „czucie i wiarę”. Wierzyli w Nibelungi, w mistykę Ziemi i Krwi (*Blut und Boden*) i czuli wyraźnie, że są rasą panów. Wcale im to zresztą nie przeszkadzało posługiwać się „szkiełkiem i okiem” w postaci techniki wojennej i policyjnej, organizacji transportów i naukowo opracowanej metody gazowania i palenia ludzi. A w ogóle, to ostrożnie z oddawaniem wyłącznej władzy nie tylko „czuciu i wierze”, lecz także, z drugiego końca – rozumowi. Bo inni znowu wszystko postawili na „mędrca szkiełko i oko” (ten mędrzec dosyć znany jest w świecie). Zaczęli od naukowej analizy, od naukowego poglądu na społeczeństwo i historię, a przy okazji (po drodze im było) na człowieka. A kiedy już zanalizowali, to się zabrali – kierowani naukowymi wnioskami – do naukowej budowy bardzo naukowego czegoś. I co powiecie? Rezultaty są całkiem podobne do rezultatów osiągniętych przez tamtych od „czucia i wiary”. Choć trzeba przyznać, że im się też mieszało. Chociaż tak naukowci – używali tak nienaukowych rzeczy jak „sprawiedliwość społeczna”, „wiara w postęp”, „poświęcenie”, „zapał”, „romantyzm rewolucyjny”. Techniki wojennej i policyjnej, organizacji transportów i planowego osiedlania ludności w miejscach odosobnienia – owszem, dziękuję, też, ale to akurat w porządku, to ideologicznie się zgadza, bo to należy do świata nauki i wynalazków rozumu.

Nikt nie jest jednostką tylko biologiczną. Wszyscy jesteśmy – chcąc nie chcąc – jednostkami, na których jednostkowość składają się dane także kulturowe, a więc społeczne też, etniczne i narodowe. Choć tu występuje ogromna rozpiętość – jedynie zwierzo-człek żyjący w puszczy samotnie i od urodzenia mógłby być taką jednostką. Zniekształcenie, umniejszenie czy utrata kulturowej tożsamości jest podobnie dotkliwa, co szkody biologiczne. Dla wielu – równie dotkliwa. Dla niektórych – gorsza od śmierci.

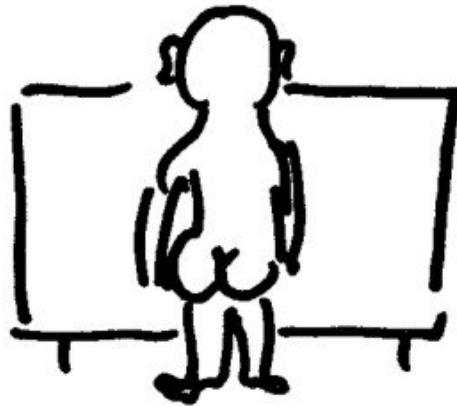
W tych warunkach zamiast się pytać: „czuciem i wiarą” będę wszystko odtąd załatwiał, czy też „rozumem”, należy się raczej pytać: „co ja mam właściwie załatwić”. Wiara i rozum ułożą się między sobą same, nie jako programy, ale jako dwa uzupełniające się nawzajem instrumenty. Emocja wcale nie musi powodować bohaterstwa, równie dobrze może prowadzić do tchórzostwa, a tchórzostwo nie zawsze musi być rozsądne. W pewnych sytuacjach jest oczywistym idiotyzmem. Emocje mamy i będziemy mieli zawsze, czy chcemy, czy nie chcemy, i nie ma potrzeby ich egzaltować. Emocji nie można się ani nauczyć, ani oduczyć, najwyżej można ich nie okazywać przez chwilę, co – niezupełnie właściwie – nazywa się kontrolą. Nie można też ich sobie zaprogramować. (Innym – tak, przez manipulację). Natomiast myślenie – można do pewnego stopnia. Można się go poduczyć, jeżeli nie nauczyć, tu są pewne prawidłowości, których przestrzeganie czy nieprzestrzeganie decyduje o jakości myślenia. Nikomu nie można wykazać, tym mniej zarzucić, że jego emocje są słuszne czy niesłuszne, natomiast można komuś wykazać, że myśli głupio.

Nie ma żadnej konieczności, żeby zajmować stanowisko po stronie wiary czy rozumu. Na pewnych piętrach, w pewnych kategoriach stronniczość jest nieunikniona. Kiedy idę ulicą w towarzystwie mojej siostry i nagle ktoś zaczyna ją kopać, stanę po stronie siostry. Głupio bym wyglądał, gdybym chciał udawać neutralnego, gdybym zaczął analizować pobudki napastnika, zrozumiał je, a zrozumiawszy, nie interweniował, tylko przyglądał się scenie ze zrozumieniem. Ale gdybym, przysłuchując się dwóm dyskutantom, z których jeden podtrzymuje tezę, że oddychając należy uprawiać tylko wdech bez wydechu, a drugi, że wydech bez wdechu – przyłączył się do rękoczynów, biorąc stronę jednego z dyskutujących akademików, wyglądałbym niemniej głupio. Stronniczość zawsze i wszędzie jest równie absurdalna, co bezstronność w każdym wypadku.

Więc nie zaprzatajmy sobie głowy dylematem: „czuć czy rozumować”, bo to jest niepotrzebny dylemat i tylko nas osłabia. Słabości niezawinionych i nieuniknionych mamy dosyć, po co nam jeszcze jedna, dobrowolna.

„Kultura”, 7-8/1983

II



WIDZIANE OD  
STRONY PUBLICZNEJ

## „SŁODKI PTAK MŁODOŚCI”

(Tennessee Williams)

– Skacz!

Skoczyłem. I leżałem na bruku niewiarygodnie, trzy żdźbła słomki w końskim nawozie tuż przy moich oczach, ból w biodrze. Następnie: czy mam jeszcze nogi? Że miałem ręce, już wiedziałem, wspierałem się na nich. Tramwaj oddalał się, wyszedł już z zakrętu i przestał pisać, ale przeciągły wizg tkwił mi jeszcze w uszach. Czy teraz dopiero go słyszałem? Teraz tramwaj nabierał szybkości na prostym torze. Podniosłem się. Święteczna marynarka, moja pierwsza w życiu, przetarta na łokciu od uderzenia, łokieć boli. Co powiem rodzicom? Ale już Lelek i Bodzio podchodzą.

– Oferma – wydaje mi się, że mówi Lelek, choć nic nie mówi.

– Ofiara – wydaje mi się, że mówi Bodzio, choć nic nie mówi.

– Co ci jest? – pyta Lelek.

– Nic – mówię ja.

– No to lećmy, zaraz się zaczniesz.

Lecimy. Coraz więcej ludzi, wyłącznie mężczyzn i niedorostków. Na parceli już tłum. Zawodnicy jeszcze nie weszli. Oczekiwanie nie tylko na zawodników, lada chwila mógł ktoś zawołać: „Łapanka”. Podniecenie więc, tym lepiej. Lelek i Bodzio przestali się mną zajmować, teraz bez przeszkód mogę się oddać mojemu nieskończonemu poniżeniu.

Wojna, a ja nawet nie umiem wyskoczyć z tramwaju.

To był mój pierwszy w życiu skok i moja pierwsza w życiu marynarka. Tak strasznie się bałem, wiedziałem na pewno, że się zabiję, ale skoczyłem. Bo Lelek i Bodzio, a także mecz. Nie po to zabrali mnie na mecz, żebym nie skakał razem z nimi.

Niedziela. Na łysej trawie już piją. Takie same łyse litrówki przynosił ojciec do domu na pierwszego, część pensji wypłacano pocztowcom w wódce. To się nazywało „deputat”.

Mecz miał się odbyć w konspiracji, jak wszystko. Kluby i zrzeszenia sportowe były zakazane, jak wszystko. Więc niby mecz, ale i coś innego jeszcze, czyn narodowy przeciw okupantowi. Gęsto od podniecającego ryzyka i strachu, ale może tylko mojego? Lelek i Bodzio jakby się nie bali.

\*

Do szkoły szło się koło rzeźni i koło Kałmuka. Jedno i drugie było dwuznaczne.

Rzeźnia – bo tam w środku działało się coś, czego nie było widać z wierzchu. Czasem tylko między tymi, co się kręcili, ukazywali się ci w zakrwawionych fartuchach. Poza tym tylko przetaczanie wagonów, ruch ciężarówek i wozów, porykiwanie niewidocznego bydła i okropny, już z daleka i długo jeszcze potem, kiedy już minęło się rzeźnię, smród świńskiego gnoju, bydłęcy wcale tak nie śmierdzi.

Kałmuk – bo choć Kałmuk, stał w niemieckim mundurze, na warcie, tuż za mostem, przy koszarach. Stał zupełnie nieruchomo, zawsze. Karabin miał zawieszony na pasie, na ramieniu. Twarz miał gładką i nieruchomą, zawsze. Zapewne zmieniali się, ale on był zawsze ten sam. Niemieckie twarze były podobne do siebie, ale jednak do rozróżnienia. Kałmuckie – nie.

Nie wiadomo, co myślał, kiedy się przechodziło koło niego, czy w ogóle coś myślał. Jak przechodzić koło niego, żeby jednak czegoś nie pomyślał.

W szkole było zawsze ciemnawo. Brudnawo-żółtawo-ciemnawo. Słabe żarówki brudziły żółtawo, brudziła ciemnawość, brud ciemniawiał. Szkołę przesiedlono na to przedmieście, do tego budynku. Przesiedlono – jak wszystko, jak wszystkich. Z przesiedlonej szkoły wracałem – znów koło rzeźni – do przesiedlonego domu. Tylko rodzice byli ci sami. Chociaż co do ojca – nie byłem całkiem pewien. Przepadł w trzydziestym dziewiątym, a kiedy wrócił pewnego popołudnia już w listopadzie, nie ogolony, wychudły, w ubraniu, którego nie znałem – wydał mi się nie ten sam i nigdy już nie był taki, jak przed wojną.

\*

Przyszedł do mnie Lelek, do domu.

– Ty – powiada – my z Bodziem mamy taką sprawę.

Lelek z Bodziem zawsze mieli sprawy. W większości tych spraw nie potrzebowali mojej rady, potrzebowali świadka. Nie powiem: widza, widzów mieli pod dostatkiem; cała klasa, a nawet więcej, cała szkoła. A także ulica, Lelek i Bodzio znani byli na ich ulicy, na sąsiednich ulicach, jako na widzu tylko, na mnie im nie musiało zależeć.

Świadek to co innego niż widz, uważniejszy, więc może też widz, tylko w lepszym gatunku? Ale tym razem o świadka też nie chodziło, tylko o radę.

Sprawa była taka: zaczepił ich jeden na ulicy. „Wy, chłopcy, jesteście swoja wiara, od razu widać. Jest coś dla was, ale teraz nie mogę wam powiedzieć. Przyjdźcie we wtorek o szóstej na Kazimierzowską sześć, parter, to zobaczycie. Cześć”.

Iść czy nie iść? Nie iść, to się nie liczyło. Lelek i Bodzio nie byli z tych, co gdzieś nie szli. Tylko nie byli tacy, żeby iść byle jak. Tacy, co szli byle jak, nazywali się wtedy „frajerzy”, to wtedy było żywe słowo, nie z muzeum. Folklor lwowski był żywy w Polsce, a Bodzio był prosto ze Lwowa.

– Konspiracja pewnie, ale nie wiadomo. Może być na kiełbasy.

Akurat wykryto aferę: jacyś pomysłowi robili kiełbasę z ludzi. Pomysł był dobry, bo rynek potrzebował kiełbasy, a trudno o wieprzowinę. Świnie były „kolczykowane” przez niemiecką administrację, kolczyk z numerkiem w ucho każdej świni, rejestracja na przymusowe dostawy, czyli „kontyngenty”. Potajemny ubój owszem, ale drogo, bo ścigany przez żandarmerię, dworce obsadzone, w pociągach łapanki. Z ludzi kalkulowało się taniej i administracja tego nie przewidziała, więc póki co, można było spokojnie. Tyle ludzi ginęło zawsze, codziennie, jak przepadł jakiś młodszy – młode mięso lepiej się nadawało – no to przepadł niby normalnie, w akcji, w łapance, na roboty, do obozu, albo sam zniknął, ukrywa się. Chodziły słuchy, że z Żydów robią mydło. Dlaczego więc nie z ludzi kiełbasę? Jeżeli Niemcy rzeczywiście nakryli jakichś kiełbasiarzy, to zrobili to ze względów higienicznych i dla porządku.

Więc Lelek z Bodziem też myśleli o tej kiełbasie, to znaczy brali pod uwagę. Z drugiej strony – to mógł być dobry kontakt. Z kim, z czym? O to właśnie chodziło, że miało się okazać, jak pójdą, to się okaże, ale jak nie pójdą, to się nie okaże. Dlatego właśnie muszą iść. Ale nie jak frajerzy.

– Ty – radził się Lelek – jak ty myślisz, jak by to zrobić?

Dlaczego mnie się radził? Lelek, Bodzio, każdy z osobna wiedział o życiu znacznie więcej niż ja, a razem wiedzieli więcej niż ktokolwiek mi znany. Wszyscy mieliśmy po trzynaście lat, ale ja byłem przy nich niemowlęciem. Pochlebiali mi, że takie mają do mnie zaufanie, jakbym ja miał w głowie coś, czego oni nie mają, ale zarazem przestraszało. Jak ukryć, że się mylą? Udawałem, że się namyślam, ale w rzeczywistości namyślałem się tylko nad tym. Robiłem mądrą minę i wreszcie nic takiego nie powiedziałem, co by im się przydało. Lelek jednak nie wydawał się rozczarowany. Może oni potrzebowali tylko rezonansu, jak zwykle? Wreszcie poszedł sobie.

Już w poniedziałek coś się zmieniło. Lelek i Bodzio wymieniali porozumiewawcze znaki i wybuchali hałaśliwymi śmiechami. Podnieceni, ale nie bojowo-patriotycznie, tylko klozetowo jakoś. Na razie nie mówili mi, o co chodzi, widocznie lubowali się w tym, że tylko oni dwaj coś wiedzą. Dopiero kiedy im się to zlubowało, zaczęli opowiadać i lubowali się teraz opowiadaniem. Śmichy-chichy nie opuszczały ich, byli zadowoleni z siebie i życia, jak bohaterowie, którzy śmiało poszli na niebezpieczną wyprawę, ale zamiast niebezpieczeństwa odkryli tylko niegroźną, a nawet hecną i godną męskiej pogardy błahostkę.

Oczywiście zabrali się do rzeczy w sposób najprostszy, a zarazem najskuteczniejszy, czyli taki, który akurat nie przyszedł mi do głowy, kiedy Lelek pytał mnie o radę. Oczywiście poradzili sobie sami, i to jak! Zamiast iść jak frajerzy we wtorek o szóstej, poszli na Kazimierzowską już w sobotę po południu. Ale też nie jak frajerzy. We dwóch, ale z osobna, żeby nie podpaść i dla większej sprawności, obstawiali dom na Kazimierzowskiej przez resztę soboty i całą niedzielę.

Dyskretnie, od podwórka, z ogrodów, z ulicy, z daleka, z bliska, z ukrycia, z chodu, zależnie od sytuacji. Okna były parterowe, co ułatwiało im zadanie, tylko zaciemnienie, czyli płachta czarnego papieru, która zakrywała każde okno od zmierzchu do świtania, utrudniało, ale w zaciemnieniu są szpary. W niedzielę wieczór przed godziną policyjną wiedzieli już wszystko. No i tyle, hy-hy.

– Ale co to było? – zapytałem, bo mimo wszystko, to znaczy mimo szczegółów, nadal nie rozumiałem całości. Lelek spojrział na mnie tak, że z góry postanowiłem: nawet jeżeli odpowiedzi też nie zrozumie, nie dam tego poznać po sobie. Postanowienie, które zaraz potem rzeczywiście mi się przydało.

– Pedaly – powiedział Lelek.

Zaś Oberkommando der Wehrmacht donosiło o bitwie armii pancernych pod Kurskiem.

„Zeszyty Literackie”, 10/1985

## JAWORZNO

Po raz pierwszy znalazłem się w pędzącym samochodzie jako dziecko, a kierowcą był ksiądz. Jeżeli nie proboszcz, u którego usługiwała moja ciotka, to może jakiś inny duchowny, który owego plebana właśnie odwiedził. Dokładnie nie pamiętam, to było pół wieku temu. Pamiętam tylko, że ksiądz był młody, a więc młody był na pewno, kiedy dziecku wydawał się niestary, a samochód także był czarny jak ksiądz – wtedy księża zawsze nosili sutanny – i kwadratowy, takie były wtedy samochody. Pędził od Porąbki Uszewskiej do Dębna, a może nawet za Dębno ku linii kolejowej Kraków-Tarnów. Bowiem pamiętam las wysokich sosen, a za Dębniem był taki las, może jeszcze jest. Po raz pierwszy widziałem pędzące sosny. Kiedy szło się pieszo albo siedziało na furmance, sosny stały w miejscu. Nowość – sosny pędzące – była oszałamiająca.

Po raz drugi zasiadłem w samochodzie znacznie, znacznie później, dopiero po wojnie i po rozpoczęciu budowy socjalizmu. Samochód był marki Skoda, a kierowcą pan Mozer.

Pewnego razu jechaliśmy sobie od Śląska do Krakowa z powrotem. Bardzo lubiłem powroty, a wyjazdy były męką. Nie żebym nie chciał wyjeżdżać „w teren”, jeszcze traktowałem moją posadę i rolę dziennikarza poważnie, bardzo poważnie. Ale w miarę zbliżania się do każdego celu podróży, do jakiejś fabryki, do jakiejś Powiatowej Rady Narodowej, do jakiegoś Państwowego Gospodarstwa Rolnego, moja nieśmiałość zamieniała się w przerażenie. Czy wydam się napotkanym Przewodniczącym, Sekretarzom i Dyrektorom dosyć dorosły i pewny siebie, swobodny, lecz i stanowczy zarazem, towarzysko przyjemny, lecz i przedstawiciel Wyższej Świadomości, którą, jako pracownik RSW Prasa – powinienem reprezentować? Czy wydam im się dostatecznie obyty i światowy, ale jednocześnie nasz, robotniczo-chłopski? Co zrobię z rękami, twarzą, głosem? Miałem dwadzieścia jeden lat i co dopiero stał się cud: z biednego maturzysty, z nieudanego studenta – żegnaj, wyższe wykształcenie, z bezdomnego buntownika – żegnaj, parafiańska rodzino, jam raczej Lord Byron, wyniosło mnie na Pana Redaktora z samochodem, tak, z samochodem, z zieloną Skodą – gdym był delegowany w teren – do dyspozycji.

I komu teraz pędzą sosny? Mnie. Ten samochód bardzo był ważny, strzały z „Aurory” swoją drogą i Lenin w Smolnym, także budowa Dnieprostroju całkowicie przekonywujące intelektualnie plus moralnie, genialny Marks – „słodki” – jakby powiedziała pewna późniejsza moja znajoma, ale samochód też nie włókł się w ogonie historii. Tej mojej ówczesnej.

Tym bardziej że w Polsce nie było wtedy samochodów. To znaczy, ludzie nie mieli samochodów, nawet literaci nie, jeszcze nie, to znaczy krakowscy nie, bo chodziły słuchy, że w Warszawie już poniekąd... Na pustych szosach pojawiały się tylko czarne Citroeny, nieomylny znak dla ludności, że jedzie UB, Kraj Rad właśnie zaczynał produkcję limuzyny marki Pobieda, czyli „Zwycięstwo”, jeżeli tak można nazwać mozolną kopię amerykańskiego, przestarzałego modelu, z którego później z kolei powstała żerańska Warszawa. Marszałek Polski, Konstanty Rokossowski, też pewnie czymś jeździł, ale ludzie – nie. A tu proszę – ja sobie w teren samochodem marki Skoda.

Więc wracamy, ja i pan Mozer, z tego terenu. Nigdy nie wiedziałem, które miejsce wybrać: koło pana Mozera czy tylne. Z przodu lepiej widać pędzące sosny, ale i niezręcznie, bo trzeba przecież z panem Mozerelem zamienić jakieś słowo, przynajmniej od czasu do czasu, a o czym tu, a jak tu mówić z ludźmi. Natomiast na tylnym siedzeniu już w ogóle nic nie muszę. Wiadomości o dalszych zwycięstwach na froncie walki z kułakiem w oparciu o biedotę wiejską w sojuszu ze średniakiem spoczywają w zeszytiku. Albo o sukcesach walcówki na zimno. Albo o rekordowym wyrębie na przodku metodą Pstrowskiego. Posłużą do rozwinięcia w artykuł, ale dopiero jutro, dziś wpiszę się tylko do Książki Dyscypliny Pracy, że wróciłem z terenu, godzina taka a taka, i jestem wolny. Piwko w „Żywcu” albo u „Hawełki”, może do kina...

Za szybami samochodu okolice Jaworzna, każdy, kto je zna, wie, że one nieapetyczne. Krajobraz, dumnie mówiąc – przemysłowy, a po ludzku – parszywy. Przekłeta spuścizna kapitalizmu. Ale z drugiej strony – to dymią kominy naszych przecież fabryk. Tutaj dialektyczne myślenie przychodzi z pomocą i łatwo ustalamy: te domki, te pokraczności, ta bieda – to kapitalizm

(spuścizna), ale fabryki już nasze, więc słusznie, że dymią, bo w nich wykuwa się zręby. Nowe domy się zbuduje, a co krzywe, wyprostuje. Pozbawiony się w ten sposób sprzeczności między moją wrażliwością a moim światopoglądem, już bez dalszych przeszkód moralno-politycznych oddaję się spostrzeżeniom: autobus PKS, tak wypchany i obwieszony ludźmi, że brzuchem szoruje po jezdni, puszcza z rury czarne faje. Wyprzedzamy go z łatwością. Nie daj Boże – (jaki Boże, przecież Boga nie ma) – podróżować Pekaesem w taką listopadową mżawkę. Co innego, gdy się siedzi w limuzynie, tylko ja i pan Mozer. Ach, gdyby i pana Mozera nie było... Co prawda wybrałem tylne siedzenie i jego obecność zredukowana jest do niezbędnego minimum. Mżawka na samochodowych szybach, gdy siedzi się wewnątrz, nawet przyjemna, powiększa uczucie prywatności, bezpieczeństwa, wygody. Zacisznie tu, sucho i ciepło, prawie samotnie, a przede wszystkim całkiem inaczej niż za szybą, niż w codzienności. Świat jest, ale na zewnątrz, wszystko, czego ode mnie wymaga, to żeby na niego patrzeć, wcale nie wymaga nawet, tylko proponuje. Przesuwa się, ale nie narzuca, co sprzyja refleksji. A więc powstają marzenia o przyszłej sławie i chwale i chyba kupię ten amerykański płaszcz w komisie na Grodzkiej. Jakies dalekie egzotyczne podróże, kto wie, może nawet do Sopotu następnego lata? Wprawdzie pociągiem, ale na pewno pierwszą klasą. Tajemniczy nieznajomy – ja, będzie patrzył na horyzont, tylko w jakiej marynarce, najlepiej sztruksowej, kupić sztruks i uszyć u pana Dyczka, tylko teraz sztruksu nigdzie nie można dostać – a obok znajdzie się piękna nieznajoma. Gdy nawiąże ze mną rozmowę, zapyta: „Czym pan się zajmuje?” – „Dziennikarstwem”, rzucę niedbale. A wtedy ona, aktorka...

Pan Mozer zwolnił. Wyprzedzaliśmy kolumnę maszerującą czwórkami, estetycznie bardzo interesującą. Bowiem utrzymaną w gamie szarości, białawości, pleśni i razowej mąki. Szare czapki bez daszków, szare drelichy, szare drewniaki, twarze również w tej samej tonacji. Normalnie twarze są zaczerwienione, lub brązowe, gdy opalone, ewentualnie białe, czyli blade, te jednak wszystkie były szaro-białawe jak razowa mąka. Między czapką a kołnierzem nie było przerwy na twarz, tylko ta ciągłość szarości. Normalnie twarze są chude albo tęgie, a te wszystkie były jednakowo obłe, to znaczy nie tęgie, bo nie z odżywienia, tylko z opuchliny. Więc jakby to nie ludzie szli, ale worki czymś byle jak wypchane, bez żadnego ludzkiego wyrazu, poruszające się jednakowo i mechanicznie. W żywym kontraście do manekinów szło po bokach kolumny kilka ludzkich postaci. Mundury zielone, twarze czerwone, a w rękach karabiny trzymane w gotowości.

– To ci z Jaworzna – powiedział pan Mozer.

Otóż wiedziałem, jakoś przecież wiedziałem, że w Jaworznie znajduje się Obóz Pracy, jeden z Obozów Pracy, choć nie wiedziałem, skąd ja to właściwie wiedziałem, miejsce, w którym wrogowie ustroju, męty i pasożyty poddawane są reedukacji przez pożyteczną pracę. Ale o tym, choć rzecz była słuszna, więc chwalebna, nie pisało się, a zatem nie mówiło. Wiedzieć w zasadzie nie było wzbronione, ze względu na wychowawczy charakter takiej wiedzy, ale powinna to być wiedza ogólna, a więc bez żadnych szczegółów. Oraz, jeżeli nie przede wszystkim, wiedza nie wyznawana, nie dzielona z nikim, ściśle na użytek prywatny obywatela, nie do rozmów między obywatelami. Zazwyczaj, kiedy siedziałem na tylnym siedzeniu, pan Mozer nie odzywał się wcale, za co mu byłem wdzięczny. Teraz nie tylko złamał ten zwyczaj, ale złamał go w sposób szokujący. To, co powiedział, powiedział niby obojętnie, ale sam fakt, że to właśnie powiedział, nie mógł być obojętny. Dlaczego to powiedział? Co mu się stało?

Pan Mozer był dużo starszy ode mnie, to znaczy między trzydziestką a czterdziestką najwyżej. Zawsze staranny i powściągliwy, samochód prowadził dokładnie i ostrożnie, bez śladu fantazji, co miałem mu czasami za złe, kiedy pragnąłem, aby szybciej pędziły mi sosny. Jako kierowca redakcyjny zachowywał się nienagannie, to znaczy absolutnie nijako. Wiedział, kto jest kto i co jest co i w ogóle jak jest i wyciągał z tego jedynie słuszny wniosek, żeby samemu być jak najmniej. To, co powiedział, to, że właśnie to powiedział, nie przystawało do jego osobowości, takiej, jaką dotąd znałem.

No, ale powiedział i nie mogłem nie odpowiedzieć. W innych okolicznościach mogłbym odpowiedzieć cokolwiek, byle zaznaczyć, że usłyszałem, jak człowiek odezwał się do człowieka, aby mu ten drugi człowiek potwierdził jego obecność na świecie. Na tym przecież polega większość rozmów i pogaduszek. Ale teraz to nie mogło być cokolwiek, to nie był temat na



cokolwiek. Więc, żeby nie przesadzić w ideologicznej gorliwości – „Wrogowie ustroju, męty i pasożyty” byłoby za silne – a jednak ustosunkować się do zjawiska, powiedziałem krótko, ale dość surowo:

– Kryminalni.

Kolej na niego. To on postawił sprawę, ja wobec tego nadałem jej właściwy kierunek, teraz on powinien dopełnić jakimś wnioskiem. Czekam, ale on nic nie mówi. Moje oczekiwanie, jego milczenie przedłuża się. Czy się ze mną zgadza? Zaczynam się denerwować, każde milczenie może oznaczać dezaprobatę. Choć trudno przypuścić, a nawet wyobrazić sobie, że pan Mozer mógłby się ze mną w tym wypadku nie zgadzać. Więc to chyba tylko moja wyobraźnia jest zbyt pochopna. Nie widzę jego twarzy, kark nie wyraża nic, ale wiem, że on widzi moją twarz w lusterku. Kark nic, ale ręka... Ręka spoczywa na lewarku od zmiany biegów, nie, nie spoczywa, zaciśnięta jest na gałce lewarka tak mocno, że zbielała na kostkach białawością podobną do tych plam-twarzy, co przesuwają się powoli w prawej szybie, jedziemy na pierwszym biegu. Aż nareszcie powiedział:

– Różni.

Co to, zostawił sprawę otwartą? A nawet ją rozszerzył, gdy ja dążyłem do uściślenia. „Różni” – to mogło różnie znaczyć. Ale w takim razie tym bardziej wypada mi ujednoznaczyć, i to przeciwko jego już wyrażonej, pośrednio wprowadzonej, ale jednak wyrażonej niezgodzie na traktowanie omawianego zjawiska w sposób jedynie słuszny, czyli jednoznaczny. Wypada, powinieniem, muszę, tak, tak, coś przecież trzeba powiedzieć, tylko co, tylko jak, panicznie zastanawiam się, co by tu, jak by tu, gdy słyszę:

– Dają w dupę.

Kto daje? Ci „różni”? Nie, gdyby ich miał na myśli, powiedziałyby: „Biorą w dupę”. Wtedy mógłbym to przyjąć nawet jako wyraz obywatelskiej, państwowotwórczej satysfakcji, że oto „wrogowie ustroju, męty i pasożyty” otrzymują zasłużoną karę. Ale on najwyraźniej powiedział: „Dają”. Więc kto? Kto daje? Czyżby on miał na myśli... Nie, to niemożliwe, nie mogę w to uwierzyć, to niemożliwe po prostu, żeby on... i to w mojej obecności, przy mnie, a nawet wprost do mnie... A jednak powiedział, najwyraźniej słyszałem: „Dają w dupę”. I ta jego ręka, zaciśnięta na lewarku, aż zbielała... Tak, pan Mozer okazał się wrogiem klasowym.

Kolumna pozostała już za nami, a ja ciągle jeszcze nic nie powiedziałem. Ach, gdyby na moim miejscu był Pawka Korczagin albo ktoś z *Młodej Gwardii* Fadiejewa, ten by sobie poradził. Oni umieli zdeptać ohydny łeb kontrrewolucyjnej hydry. Ale to byli prawdziwi mężczyźni, z żelaza, z granitu, z magnitogorskiej stali. Charaktery. A ja, mięczak w okularach. I dlaczego on sobie tak ze mną pozwala, ten Mozer, ten ukrywający się dotąd pod płaszczkiem uczciwego człowieka pracy pogrobowiec burżuazyjnej, obszarniczo-kapitalistycznej Polski. Czyżby mu się wydawało, że ze mną można? Czyżby sobie pomyślał, że ja taki słaby? I powstała we mnie wielka, prawdziwa, bo nie tylko klasowo uzasadniona, ale teraz i całkiem osobista nienawiść do pana Mozera.

Ten jednak jakby się jej nie domyślił, czy też przeciwnie – perfidię swoją posunął jeszcze dalej, bo wiózł mnie teraz – przypadek to czy umyślnie – wzdłuż wysokiego, bardzo wysokiego muru, nad którym pasma kolczastego drutu, nad którym wieżyczki strażnicze na cienkich nóżkach, a na tych wieżyczkach, całkiem już wysoko, zielone figurki. Pan Mozer powiedział:

– Nowiutkie, kurrwa.

To by mi wystarczyło, gdybym miał jeszcze wątpliwości co do ideologicznej postawy pana Mozera. Kto zna język polski, nie w piśmie, lecz w mowie, ten wie, że słowo „kurwa” może wyrażać wszystko, zależnie od intonacji. Często wyrażamy przy jego pomocy zachwyt i podziw. Ale to „rrr” przez zaciśnięte zęby żadnych wątpliwości nie pozostawiało, to nie był zachwyt ani podziw, lecz nienawiść, większa od tamtej mojej do wroga klasowego, bo bezsilna.

Wróciwszy do Krakowa, zamiast na piwko lub do kina poszedłem do domu. Za dużo przeżyć. Konwój na drodze, mury więzienia zrobiły na mnie takie wrażenie, że tylko odpowiednie uporządkowanie tego wrażenia mogło mnie uspokoić. Jakie uporządkowanie było odpowiednie? Oczywiście dialektyczne. My nie twierdzimy, że ludzkie cierpienie jest przyjemne. Przeciwnie, jesteśmy za ludzkością bez cierpień, Dobrą i Szczęśliwą. O to przecież walczymy. I wiemy, jak to

ludzkości załatwić raz na zawsze. Dlatego musimy zadawać cierpienia, choć niechętnie, wrogom ludzkości, tej przyszłej, Szczęśliwej, czyli naszym wrogom. Dla nich jesteśmy bezlitośni. Tak jest, twardzi, bezwzględni, nieustępliwi – rozpędzałem się w zaciszu mojego pokoiku. – Nie ma rewolucji bez ofiar, rewolucja to nie wycieczka majowa, jak powiedział Lenin. A Lenin to autorytet większy niż pan Mozer, wróg zresztą.

Jednak Lenin na portretach, a pan Mozer w życiu. Nie, nie będzie mi pan Mozer kłał mojej miłości. Byłem jak zakochany mąż, któremu ktoś szepnął brzydkie rzeczy o żonie. Mąż nie chce takich rzeczy słyszeć i cały jego gniew zwraca się przeciw oszczercy. Ja Otello, Idea jako Desdemona, a pan Mozer wystąpił w roli Jagona. Z tą zasadniczą różnicą, że ja nie dam się zwieść podszeptom i nie uduszę mojej Desdemony, raczej pana Mozera. Ścisłej, nie tyle kochałem Ideę, ile raczej siebie zakochanego w Idei. Dzięki niej, dzięki Idei – jakże się sobie spodobałem. Nareszcie mi się udało pokochać siebie, moją pierwszą i wielką miłością, byłem sobą zachwycony, ja, który dotąd tak siebie nienawidziłem. I teraz miałbym pozwolić, aby mi tę miłość odebrano? Nigdy. Biada panu Mozerowi.

Oczywiście o więzieniach, obozach, a nawet pewnych piwnicach pewnych urzędów państwowych wiedziałem i przedtem. Wszyscy wiedzieli, nie można było nie wiedzieć. Ale można było nie wiedzieć, że się wie. Gdyby to była wiedza publiczna – nie wiedzieć, że się wie, byłoby trudno. Publiczna, to znaczy taka, o której się pisze, rozmawia i dyskutuje. Ale ta wiedza, choć powszechna, nie była publiczna, tylko ściśle prywatna. Każdy wiedział, ale pozostawał z tą wiedzą sam na sam, czy też, zgodnie z nigdy nie ogłoszonym, a jednak znanym jako oczywistość życzeniem Władzy – zaś z życzeniami teje nie było żartów – powinien sam na sam z nią pozostać. A kiedy człowiek jest sam na sam z tym, co ma w głowie, może z tym wyczyniać dowolne i dziwne rzeczy, rozmaity z tego robić użytek, ten przede wszystkim, żeby nie robić żadnego, jeśli mu tak wygodniej. O więzieniach, torturach i zabijaniu strzałem w tył głowy nie wolno było pisać, rozmawiać i dyskutować, ale każdy mógł o tym myśleć, co uważał za stosowne, każdy miał wybór, czy o tym w ogóle myśleć, czy też nie myśleć. Nie myśleć, jeśli ktoś potrafił, było oczywiście o wiele wygodniej. Zwłaszcza gdy ktoś chciał kochać Władzę Ludową.

W normalnie pracującym umyśle doświadczenie, informacje i fakty ulegają nieustannej obróbce, umysł konfrontuje je nawzajem w najrozmaitszych kombinacjach, porządkuje w hierarchiczne układy, wyprowadza wnioski. Żaden materiał nie pozostaje martwy i niewykorzystany i nic nie jest statyczne ani ostateczne. W umyśle porażonym – inaczej. Całe obszary świadomości pozostają bez ruchu i bez połączenia z innymi, nic się na nich nie dzieje. Odgródzone są szczelnie od innych obszarów murem takim, jak ten, który pokazał mi pan Mozer, szczelniej jeszcze, bo murem bez bramy, tu nawet przepustek się nie wydaje. Człowiek wie, ale tak, jakby nie wiedział, płaszcz, którego się nigdy nie nosi, trzymany w skrzyni, a skrzynia na strychu, niby się go ma, ale tylko ma, więc czy się go ma naprawdę, jeśli się go nigdy nie używa, a nawet się o nim zapomniało? W umyśle porażonym pełno jest informacji „otorbionych”, jak bywają „otorbione”, nieczynne, izolowane od reszty organizmu bakterie w płucach. Zaś porażony bywa umysł zarówno miłością jak i strachem, wystarczy tylko jedno albo tylko drugie, żeby umysł porazić. Co dopiero, kiedy jedno zejdzie się z drugim. Niewielu kochało Władzę Ludową, nieco tylko liczniejsi byli ci, którzy chcieli ją kochać, znacznie liczniejsi, którzy chcąc nie chcąc kochać ją postanowili, ale bali się jej wszyscy. Więc ci nieliczni, co i kochali, i się bali, mieli podwójnie porażone umysły i wyszli na najwybitniejszych durni, dzięki czemu zrobili największe kariery. Do tych ja należałem.

Nigdy nie będę sztychował z Niemców, którzy tłumaczyli się po wojnie: „Ja przecież nie wiedziałem”. Oczywiście, że wiedział, ale czy kłamie? Tylko w pewnym sensie, bo wiedział, ale nie chciał wiedzieć, że wie. Paradoks? Tak, ale ja wiem, jak się to robi, ponieważ sam to robiłem. Ale przed sądem nie można się bronić paradoksami. Sądzi się wolę, a zarówno Niemiec jak i ja obaj mieliśmy szczerą wolę, aby nie wiedzieć, że wiedzieliśmy. On miał walkę ras, a ja walkę klas do kochania i obaj żeśmy się bali.

Dialektyczne uporządkowanie moich wrażeń nie przyniosło mi ulgi. Coś należało jeszcze zrobić, aby uratować – nie tyle Władzę Ludową, bo ta, silna i zwycięska, poradziłaby sobie w

dalszym ciągu i bez mojej odsieczy – ile moją własną twarz przed moim własnym lustrem, zarówno ideologicznym jak i psychologicznym. Najlepszym sposobem było donieść na pana Mozera.

To jednak nie przyszło mi w ogóle do głowy. Prawdopodobnie nie ze względów moralnych, nie ręczę za moralność, gdy się kocha Władzę Ludową, ale po prostu dlatego, że nigdy nie byłem człowiekiem czynu, czyli mówiąc ówczesnym i nie tylko ówczesnym językiem – działaczem. Zużywałem się wyłącznie w wyobraźni, ta zaś w pisaniu artykułów o dalszych zwycięstwach na froncie walki z kułakiem w oparciu o biedotę wiejską w sojuszu ze średniakiem, o sukcesach walcówki na zimno lub o rekordowym wyrębie na przodku metodą Pstrowskiego. Postanowiłem więc napisać utwór literacki, w którym bym rozgromił pana Mozera, ukazał jego nikczemność we wskazywaniu na rzekome represje jakoby stosowane przez Władzę Ludową (ci z Jaworzna to nie były represje, tylko klasowa sprawiedliwość), by przeciwstawić tej reakcyjnej kreaturze męstwo i heroizm Partii, która, choć zwycięska, zмага się bohatersko z odradzającą się wciąż na nowo kontrrewolucją (np. pan Mozer), tym niebezpieczniejszą, im bardziej pokonaną. Jako model tej logiki służyła mi teza Stalina o zaostrzającej się walce klasowej w miarę jak krzepnie i umacnia się Dyktatura Proletariatu. Podkreślałem – nie miał to być artykuł publicystyczny, ale dzieło literackie. Pan Mozer miał być nie wymieniony z nazwiska, lecz wystąpiłby jako postać, z autentycznej uogólniona, okoliczności przemienione, choć wydarzenia takie, jakich doświadczyłem naprawdę. Chciałem rzeczywistość wyrazić przez sztukę, zgodnie z zaleceniami, jakie czytywałem pilnie w „Nowej Kulturze”, Organie Związku Literatów Polskich. Byłem już tego Związku członkiem, wpuszczony tam nie dlatego, że wydałem jakąkolwiek książkę, ale jako świeża i ożywcza krew Nowego w walce ze Starym, które to Stare uwiło sobie gniazdko reakcyjnych zmij w pewnych kołach niektórych szeregów określonych członków ZLP, aby – zamaskowane tak tchórzliwie, że dobrze trzeba było się naszukać, żeby je znaleźć – bronić się jeszcze przed Nowym.

Pisałem, pisałem, a pisałem, ale jakoś mi dziwnie nie szło. Obracałem tak i owak, ustawiałem pana Mozera, siebie i tych z Jaworzna w rozmaitych konfiguracjach sytuacyjnych, choć zawsze w tej samej ideologicznej – nie wychodziło. Charakteryzowałem postacie, to znaczy pana Mozera i siebie, na rozmaite sposoby, choć zawsze w tym samym sensie – wynik mnie nie zadowalał. Wymyślałem nowe i dodawałem je – nie pomagało. Skreślałem – było mi ich brak. Próbowałem opisu, dialogu, monologu wewnętrznego – wszystko brzmiało jakoś nie tak. Oskarżałem się o brak talentu, wpadałem w depresje. Co prawda dzieło było ambitne jak na moją miarę. Dotąd byłem autorem tylko chłoszczącej satyry na opiesziałych kelnerów, na Churchilla i Trumana, teraz chciałem napisać prawdziwe, głębokie opowiadanie, jak Tomasz Mann, z którego dziełem już byłem nieco zapoznany. Możliwe, że gdybym wtedy był starszym i bardziej doświadczonym literatem, udało by mi się napisać tę nowelę tak, żeby mnie zadowalała, wydrukować ją w „Nowej Kulturze” i jednym skokiem znaleźć się w gronie sławnych kolegów, których podziwiałem, którym zazdrościłem i których teraz starałem się naśladować. Niezmiernie mi na tym zależało. Chciałem, ale nie umiałem, to wystarczy, żeby popaść w neurastenię.

Zwłaszcza zimą. Bo zima już nastąpiła, a ja ciągle nie umiałem tego napisać. Zima w Krakowie szczególnie jest ponura. Kolejnymi wersjami mojego opowiadania paliłem w moim kaflowym piecu. Na szczęście przyszła wiosna, a wiosna w Krakowie jest szczególnie interesująca, zwłaszcza gdy się ma dwadzieścia dwa lata, już dwadzieścia dwa...

No i o wszystkim, co nie było wiosną, zapomniałem. Choć jak się okazuje, nie na zawsze.

„Kultura”, 1-2/1985

## PŁOŃSK

Latem 1961 przekroczyłem już próg kariery: od dwóch już lat mieszkałem w Warszawie i byłem posiadaczem samochodu.

W stołówkach-klubach Związku Literatów, Stowarzyszenia Architektów, Dziennikarzy na Foksal jadałem już obiady nie jako przybysz z prowincji, nie jako „dobrze się zapowiadający”, ale jako ktoś, kto już się zapowiedział i został przyjęty. Ktoś z towarzystwa, ktoś ze sfery.

Do Bristolu, do Spatifu wstępowałem już pewną nogą, choć jeszcze nie tak pewną, jak uprzednio do krakowskiego Francuza (Hotel Francuski). W każdym razie mogłem siadywać ze Słonimskim, a nawet z Minkiewiczem.

Owego lata, pewnej niedzieli, zaproszono mnie do udziału w wycieczce poza Warszawę. Samochodami. Udział mieli wziąć różni, ale wspominam przede wszystkim znaną osobistość z tytułem Ministra, znanego publicystę-eseistę z pewnej jakby opozycji, zachodniego korespondenta i siebie, wschodzącą gwiazdę polskiej literatury.

Pogoda była piękna i czułem się dobrze. Zmartwieniem było tylko przewidywanie, że mój samochód okaże się lichy w zestawieniu z innymi samochodami. Był to bowiem samochód marki P-70 produkcji Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Wtedy, za wczesnego Gomułki, Volkswagen znaczył tyle, ile później Volvo, a za późnego Gierka – Mercedes. Niemniej samochód marki P-70 produkcji Niemieckiej Republiki Demokratycznej był w środowisku najniżej notowanym samochodem. I słusznie.

Więc i moje przewidywanie okazało się słuszne. Znany publicysta zjawił się Fiatem 600, bardzo dobra wówczas lokata, zachodni korespondent Volkswagemem, a osobistość z tytułem Ministra wielką, czarną limuzyną marki Tatra produkcji czeskiej, ówczesny odpowiednik Rolls-Royce'a w krajach budujących socjalizm. Tatrami jeździł wyłącznie rząd i osoby z rządem oficjalnie związane. Minister nie prowadził Tatry osobiście, lecz wyręczał go służbowy szofer.

W piękną niedzielę wyruszył sznur samochodów z Warszawy w okoliczną Polskę.

Zalew Zegrzyński jakby jeszcze nie istniał. Nie mówiło się jeszcze o daczach. Dobre mieszkanie z państwowego przydziału to na razie było to, do czegośmy doszli. Łęgi nadwiślańskie – dziewicze.

Uzgodniono, że obiad zjemy w Płońsku. Sznur samochodów zatrzymał się przed nowoczesną restauracją. Za dużą jak na niedzielne popołudnie na prowincji, w każdym razie – pustą. Senni kelnerzy patrzyli w dal, a przy bufecie tkwił Polak kontemplując śledzia po japońsku za szkłem.

Wejście naszej grupy zmieniło nastrój. W pierwszej wprawdzie chwili jakiś tępy kelner próbował zachować się normalnie, to znaczy odmówić jakiegokolwiek współpracy na płaszczyźnie obsługa-klient (o tej porze? Obiad?!), ale pojawił się natychmiast kierownik restauracji i zorientował się w sytuacji błyskawicznie. Nawet kelner o spóźnionym refleksie ocknął się i nadgonił, włączył się w nowy i ogólny nastrój żarliwej gotowości do wszelkich usług. Obiad po południu? Oczywiście, proszę bardzo, może to, może tamto, a może jeszcze coś ekstra? Tatra zaparkowana przed restauracją (drzwi i okna były szeroko otwarte z uwagi na upał) nie mogła ujść żadnemu spojrzeniu, nie mówiąc o innych samochodach. Minister, człowiek obdarzony głębokim i donośnym głosem, którego bynajmniej nie poskramiał, oraz dostojną staturą byłby, kim był, nawet bez tych fizycznych atrybutów. No i my w jego orszaku też, od razu wiadomo.

Raz-dwa zestawiono stoły w jeden długi stół, przez całą długość sali, migiem nakryto. Zasiadliśmy. Minister, a mówić nie przestawał, na miejscu honorowym, ja gdzieś na prawym skrzydle, u końca, czyli bliżej wyjścia, tak umyślnie nawet, bo dyskusja i żarty toczyły się nieprzerwanie, a jak wiadomo, w towarzyskich rozmowach mało ze mnie pożytku, więc wolałem być z daleka od centrum i mieć mniej pod względem rozmowy obowiązków. Zresztą Minister głos miał tak piękny i doniosły, że nie ronilem niczego. Wokół kelnerzy latali jak charty, na dalekim zapleczu, w kuchni, potoczyła się jakaś szturmowa akcja, Polak przy bufecie przestał kontemplować śledziową sałatkę w gablocie, wykonał ćwierć obrotu i wsparłszy się prawym

łokciem o bufet kontemplował teraz z daleka nasz stół, na prawo ode mnie, za otwartymi drzwiami, poza szeregiem naszych samochodów niedzielny, popołudniowy Płońsk.

O czym mówiono zagryzając, popijając i czekając na właściwe dania? O tym samym, co przedtem i potem. Czyli o kulturze i ekonomii, do pewnego stopnia i w pewien sposób o polityce, o sztuce, o kraju i zagranicy. Minister był człowiekiem bywałym w świecie, wykształconym, wybitnym specjalistą, autorytetem nawet. Publicysta był również tęgi w teoriach, tyle, że mówił ciszej, więc coraz to ci dwaj zahaczali o pryncypia, rozważali, roztrząsali. Inni wtórowali. Nie trzeba jednak sądzić, że poważna tematyka wykluczała ton swobodny, a nawet żartobliwy. Wcale nie. Bo od pewnego poziomu towarzyskiego w górę, a my byliśmy w górę, znacznie w górę, lekkość i swoboda są naturalne, a jeżeli nie naturalne, to obowiązkowe. Więc choć było głęboko, to i pieniało się także, zresztą tematyka tak poważna i aktualna jak na przykład perspektywy gomułkowskiego rozwoju ekonomicznego, a nawet teoretyczne szkice pewnych reform gospodarczych na tle teorii ekonomicznych zupełnie już naukowych i międzynarodowych – przeplatała się żywo i swobodnie z tematyką mniej specjalistyczną, na przykład literatury współczesnej, różnych nowości krajowych i zagranicznych, na których, jak wiadomo, każdy się zna i może wygłosić kategorię sąd, lub choćby, jeżeli nie przede wszystkim, *un mot d'esprit*.

Daleko, przy bufecie, trwał samotny Polak. Od samego początku, a zapewne i przed naszym przybyciem nie tyle był osobą, tym mniej osobowością, ile elementem pejzażu. Należał do wyposażenia lokalu, jak stół albo krzesło. Personel nie zwracał na niego uwagi, ale jemu też wcale nie o to chodziło. Nie był ani szykanowany, ani tolerowany, po prostu był, jak polska wierzba jest przy polskiej strudze. Był w symbiozie z bufetem, z tą salą, z tym miejscem. Niewysoki, chuderlawy, niepozorny, nieokreślonego wieku średniego, ani nędzarz, ani w dostatku, ani pijany, ani trzeźwy. Wczorajszy może, to znaczy popił w sobotę wieczór i teraz już bez zrywu i tempa trawił wspomnienia, siebie i to niedzielne popołudnie wpatrzony w porcję śledzia za szybą, zawieszony między ostatnim piwkiem a powrotem do domu, aż przyszliśmy my – oferując mu odmianę w przedmiocie kontemplacji.

Przyglądał się nam i przysłuchiwał, a jego twarz nie wyrażała nic poza skupieniem. Przy głośniejszych epizodach konwersacji marszczył czoło, nie wiadomo – z dezaprobatą dla tych czy innych argumentów, czy też pod wpływem własnych refleksji. Choć z daleka i milcząco – brał udział w nasze biesiadzie. To znaczy – tylko duchem i tylko w jej duchowym, nie gastronomicznym oczywiście aspekcie. Bo tymczasem pojawiły się główne dania, zostały skonsumowane i przechodziliśmy do kaw i deserów. Nawet jeżeli nie mógł dosłyszeć wszystkiego (z wyjątkiem wszystkiego, co mówił Minister), to na pewno widział wszystko. Bo wzrok prostego człowieka jest narządem co najmniej równie sprawnym, co wzrok ministra, a brak wykształcenia nie tylko nie przytępia ostrości tego zmysłu, ale zaostrza go niekiedy.

Więc byliśmy już przy kawach i deserach, kiedy on, dotąd nieruchomy, oderwał się od bufetu i ruszył ku wyjściu. Zaś żeby wyjść, musiał przedefilować wzdłuż naszego długiego przez całą salę stołu. Lecz wzroku nie spuszczał z nas w dalszym ciągu. Szedł prosto, ale patrzył w prawo, na nas, więc było albo tak, jakby defilował przed trybuną z rozkazem „na prawo patrz”, albo odwrotnie – jakby przechodził przed frontem kompanii honorowej jako dostojnik z obcego kraju, który przybywa z wizytą i jest witany według odpowiedniego ceremoniału, a nieodłączną częścią tego ceremoniału jest przejście wzdłuż kompanii honorowej ustawionej w szeregu, na baczność i prezentującej broń.

Nie żeby ktoś nawet teraz zwrócił na niego uwagę. Dyskusja, konwersacja, żarty – toczyły się dalej nieprzerwanie, tyle że jeszcze swobodniej i bardziej błyskotliwie, jak to przy kawie i deserach. I kiedy już mi się zdawało, że kontynuując swój przemarsz – wyjdzie, on zatrzymał się nagle i stanął przed nami, zwracając się ku nam już nie tylko twarzą, ale całą postacią. Rozmowy i śmiechy nie zamarły wprawdzie, ale jakby się nieco rozrzedziły i teraz jego spojrzenie natrafiło po raz pierwszy na spojrzenie biesiadników – wprost. W tej pewnej nie tyle ciszy, ile w pewnym wyciszeniu wytrzymał nas przez moment, a następnie powiedział niegłośno, ale dobitnie:

– A ja jestem Stanisław Frąckiewicz i mam was wszystkich w dupie.

Przez chwilę czekał na reakcję, ale nie było żadnej, poza uśmiechami pobłażania i nawet pewnej sympatii, jaką się ma dla folkloru. A może jednak była jakaś? Jeżeli tak, to niewidzialna i niesłyszalna, *in petto*, czyli w duszy każdego z osobna, czy też poniekórych może, czy też jednego tylko z uczestników całego zgromadzenia.

Odczekał, potem zwrócił się znowu ku wyjściu i już nie patrząc na nas – wyszedł.

Dwa lata później, z dwiema walizkami, opuściłem Polskę Ludową. Wiedziałem, od czego odchodzę, ale nie miałem pojęcia, ku czemu. Tego zresztą nie wiem do tej pory, choć mija dwadzieścia lat.

„Kultura”, 12/1982

## NOS

W szesnastym roku życia, czyli tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej, wyskoczył mi na twarzy nos. Duży, tak zwany „orli”, szczególnie wydatny w stosunku do niezupełnie jeszcze uformowanej reszty. Przedtem miałem nos zwyczajny, umiarkowany i prosty, nie zwracający niczyjej uwagi, przede wszystkim mojej.

Odkryłem go pewnego dnia, kiedy, korzystając z nieobecności starszych w domu, przy pomocy dwóch luster starałem się stwierdzić i ocenić szanse mojej urody. Bowiem myśli o tajemnicy płci, zwłaszcza przeciwnej, trafiły mnie już nie na żarty i chciałem znaleźć odpowiedź na dręczące pytanie, czy mogę w ogóle podobać się dziewczętom.

Dzień był pamiętny i odkrycie straszne. Trzeba wiedzieć, jakie były kryteria męskiej urody bezwzględnie wtedy obowiązujące. Ani Eugeniusz Bodo, amant polskich filmów przedwojennych, ani Johnny Weismüller, hollywoodzki odtwórca roli Tarzana nie mieli takich nosów. Tym mniej Errol Flynn.

Lecz taki nos był klęską z innego jeszcze powodu. Nos tego typu można ewentualnie nazwać burbońskim – miewali go ponoć królowie tej francuskiej dynastii – można go zauważyć, choć w mniejszym i subtelniejszym zarysie – w niektórych szlachetnych profilach polskiej arystokracji, coś podobnego miał Fryderyk Chopin, a nawet prości górale – przynajmniej na obrazkach – miewali nosy. Dobrze, dobrze, dla kogo takie gadanie i kogo tu chcemy oszukać. Burbony, Chopiny, znamy te wykręty, nie zmylą nikogo. Mój nos był jednoznaczny: żydowski.

Jakże ja więc mam pokazywać się ludziom? Wezmą mnie za Żyda, a gdyby doszło co do czego, nie uwierzą mojej niewinności, nawet najlepiej udokumentowanej. Bo wiadomo, zwłaszcza po latach niemieckiej okupacji, że Żydzi są mistrzami w udawaniu, że nie są Żydami, więc im bardziej który się zapiera, że nie jest, tym większe prawdopodobieństwo, że jest. A nawet gdy się udowodni, to zanim się udowodni, różne mogą być przykrości po drodze. I czyż samo podejrzenie, a tym bardziej konieczność udowodnienia, nie jest obrazą dla chrześcijanina?

Właśnie, podejrzenie. Bo nawet jeśli nic mi nie zrobią, jeżeli nic nie powiedzą nawet, to patrząc na mój nos będą sobie myśleli. A jak im wtedy udowodnić, że to, co myślą, jest niesłuszne, jeśli myśl nie jest wyrażona? Nikomu nie można wykazać, że coś sobie myśli, choćby i myślał. Zaprzeczy, ale będzie sobie myślał dalej. „Ja wiem, co pan sobie myśli patrząc na mnie, ale...” – to jeszcze gorzej niż udawać, że się nie domyślam, co on sobie o mnie myśli i cierpieć w milczeniu. Więc ogarnęły mnie zarazem strach, bezsilność i gorycz urażonej niewinności. Przeklęty nos.

W moim środowisku, w mojej rodzinie, wiedziało się o Żydach tyle, ile należy, ale ani więcej, ani mniej, tak się złożyło, że nie było ich w sąsiedztwie ani w kręgu znajomości. Nie mówiło się o nich ani często, ani rzadko, ani ze szczególną napastliwością, ani oczywiście przychylnie, tylko tak, jak to bywało.

A jak bywało?

Istnieje jeszcze coś innego niż antysemityzm, coś trudniejszego do określenia niż antysemityzm i mniej efektownego w dyskusjach, więc rzadziej bywa brane pod uwagę. Antysemita przyznaje Żydowi byt choćby przez to, że go neguje, że pragnie go zniszczyć. Lecz przyznaje tym samym, uznaje Żyda za wroga, czyli jednak partnera, angażuje się w niego aż do paroksyzmu i trwałej obsesji i przez to samo czyni z żydostwa rację swojego własnego istnienia. Antysemita nie może żyć bez Żyda, nie może istnieć, czuć, myśleć. Natomiast ten ktoś, o kim teraz mowa, może się bez Żyda obejść nie jak człowiek, który obywa się bez obcego mu człowieka, ale jednak człowieka – tylko tak – i na tym to wszystko polega – jak obywa się bez ptaków z rybią łuską czy ryby z ptasim upierzeniem. Czy to dla Żydów lepiej czy gorzej? Zależy od okoliczności. Na przykład system krwionośny u każdego człowieka jest taki sam. Więc jeśli jakiś człowiek krwawi, należy mu pomóc i ranę opatrzyć. Natomiast jeżeli krwawi Żyd, na przykład za sprawą antysemity, to tak, jakby krwawiła upierzona ryba. Więc i to krwawienie nie jest ludzkie, ani nawet zwierzęce, ono jest żydowskie, czyli żadne. Można się temu najwyżej przypatrzeć, ale bez żadnych uczuć, także bez nienawiści, czy bodaj niechęci. Przez zaciekawienie tylko.

W moim środowisku, w mojej rodzinie nie było więc antysemityzmu. Ale czy było to coś innego? Nie chcę sądzić, nie chcę przesądzać. Powiedzmy ogólnie i ostrożnie, że było coś w tym rodzaju, odcień jakiś. Zresztą nigdy nie doszło do próby. Podczas okupacji żaden tropiony Żyd nie trafił do naszego domu prosząc o pomoc. (Choć i nikomu do głowy nie przyszło, żeby takiego szukać, to naturalne). Gdyby trafił, jestem pewien, że nikt by go nie wydal, prawie pewien, że dano by mu pożywienie, ale co dalej? Ryzykować życie dla Żyda? Niemcy zabijali zarówno złapanego, jak i tego, kto mu pomagał. To, co się działo podczas okupacji z Żydami, nie budziło w moim otoczeniu uciechy, budziło zgrozę, ale była to zgroza wkomponowana w ogólną grozę wojenno-okupacyjną. Ostatecznie to, co się działo między Niemcami a Żydami, to była sprawa między Niemcami a Żydami. Nie nasza, a więc nic nam do niej. Nieprzyjemna, więcej nawet niż nieprzyjemna, może nawet straszna, kiedy jej się przypatrzyć, ale nie nasza.

No właśnie. Ale tu, teraz, nagle, ni stąd, ni zowąd – ten nos.

Odtąd, kiedy przechodziłem krakowskimi Plantami, wzdłuż ławek, na których siedzieli beczynni, ale zawsze gotowi do akcji młodzi ludzie ze sfer chuligańskich – starałem się rozwiązać następujący dylemat: jak iść, żeby iść wyłącznie *en face*, to znaczy aby mój profil nie był widoczny z ŻADNEGO punktu widzenia? Geometria uczy, że to nie jest możliwe. Życie też.

### Trudna sytuacja

Nie chcę przesadzać. Byłem wtedy pełen lęków i paranoi w ogóle, nie wychodzi się bezkarnie z takiej wojny i takiej okupacji, kiedy ma się piętnaście lat, po pięciu takich latach zaczętych jako dziecko dziewięcioletnie. Sprawa mojego nosa na pewno była uzasadniona w otaczającej mnie wówczas rzeczywistości, choć wyolbrzymiona w mojej znerwicowanej wyobraźni. W szkole nie robiono z mojego nosa kwestii, co mnie pocieszało, bo nie ma nic okrutniejszego i w nieomyślności najniższych instynktów bardziej bezwzględnego niż grupa niedorostków rodzaju męskiego. (W owych czasach gimnazja dzieliły się na męskie i żeńskie). Zresztą horda zawsze zostawiała mnie w spokoju, wietrząc we mnie *outsidera* o osobnych przeznaczeniach. Co nie znaczy, że ja zostawiałem w spokoju sam siebie i nie liczyłem się z hordą. Horda nie dostrzegała mojego nosa, ale ja wiedziałem, że go mam.

Tym bardziej że wreszcie znalazł się jeden, który podczas przerwy między lekcjami stanął przede mną i powiedział: „Ty Żydu”.

Pamiętam jego nazwisko, ale go nie wymienię. Był muskularny i znany z wszechstronnej agresywności. Horda nie podchwyciła. To znaczy uznała, że chodzi o bójkę, normalna rzecz i żeby mnie sprowokować, użył obelgi wyjątkowej, mocniejszej niż te, którymi obdarzaliśmy się zazwyczaj i które na nikim już nie robiły wrażenia. We mnie jednak, w owej panicznej sekundzie, była pewność, że on tak myślał naprawdę.

I właśnie na skutek tej pewności nie uderzyłem go, nie zareagowałem, ku wiecznej mojej hańbie według kodeksu hordy. Ale czy tylko według tego kodeksu?

Oczywiście bałem się jego siły, ale to inna sprawa, taki strach daje się przewyciężyć pod wpływem impulsu. Tylko jakiego impulsu w tym moim wypadku. Takiego widocznie, którego mi zabrakło.

Czyżby ta straszna obelga była nie tylko straszną obelgą, ale także – gdzieś w mojej głębi, zdemaskowaniem mojej haniebnej tajemnicy? Ale jakiej tajemnicy, na Boga, skoro ja nie Żyd, ja katolik! Czy też: zareagować, uderzyć go – to byłoby przyznaniem się i uderzyłbym go jako Żyd, któremu mówią „ty Żydu” tonem obelgi i wobec tego musi bronić żydowskiego honoru? Ale jakże przyznać się, kiedy w sumieniu swoim nie ma do czego? Więc bić jako Słowianin szwoleżer urażony na aryjskim honorze? Można, tylko wtedy trzeba mieć inny nos. Tak, owak, czy jeszcze inaczej – paraliż. Sytuację skomplikował dodatkowo fakt, że mój napastnik, choć nie czarny, rysy miał, jak to się mówi, charakterystyczne. Więc czyżby i on... Może on tylko, żeby uprzedzić... odwrócić od siebie podejrzenia. Na szczęście sprawa natychmiast poszła w publiczne zapomnienie, ale na nieszczęście nie w moje własne. Tym bardziej że jednocześnie i skądinąd palił mnie wstyd za



moje niemęskie zachowanie. Stchórzyłem, ale przed czym właściwie? W tym sęk, zupełnie nie umiałem się w tym wszystkim połapać. Zachowałem się jakoś źle, ale jakkolwiek rzecz obrócić, nie miałem pojęcia, na czym to źle polegało. Ale źle na pewno. I to źle na pewno było nie bez związku z tym, co zdarzyło się jakiś czas potem i jak ja się wtedy zachowałem. Bowiem „źle” rzadko pozostaje bez potomstwa.

## **Prowokator**

Otóż było w naszej klasie dwóch Żydów, jeden, którego nazwiska nie pamiętam, był Żydem, jeżeli tak można powiedzieć, ulgowym. Przystojny, ujmujący w obejściu, nie zaprzeczał, że jest Żydem, gdy go o to pytano, ale robił to jakoś tak mimochodem, elegancko – powiedziałbym – i bez konsekwencji.

Zresztą szybko przewinął się przez nasze szkolne życie i zniknął z tą samą zręcznością, z jaką brał w nim udział. Ale czy brał naprawdę? Był między nami, ale raczej jak podróżnik, który na etapie stosuje się do tubylczych obyczajów, grzecznie i ze znajomością rzeczy, ale nic więcej.

Jemu z żydostwa nie robiono szczególnej sprawy. Czy dlatego, że nie „wyglądał”? Ale przecież wiadomo było, że jest Żydem, choć nos miał – co mnie dziwiło i co uważałem za niesprawiedliwe – zupełnie „normalny”, prawie taki jak Errol Flynn.

Więc może dlatego, że wszystko skupiło się na drugim? Ten drugi nie tylko, że był Żydem, ale i nadawał się na Żyda po prostu idealnie. Wprawdzie nos miał mniejszy od mojego, ale za to wszystko inne miał takie, jakie przedtem oglądało się na hitlerowskich plakatach antyżydowskich, a teraz ogląda się na „antysyjonistycznych” plakatach moskiewskich. Przesada oczywiście, ale powierzchowność miał nieprzyjemną. Gruby, o niezdrowej cerze, z wargami, które Stanisław Ryszard Dobrowolski opisałby jako „obleśne”, wylupiasto-krótkowzroczny, z bełkotliwą wadą wymowy i prychnący śliną, zwłaszcza kiedy się zdenerwował (a zdenerwowany był stale, sam z siebie i ponieważ o to zadbano), o dziwnie nieforemnej głowie i karku bez szyi. Nazwisko jego pamiętam, ale zastąpię je tutaj zmyślnym. Powiedzmy: Cwibelsztajn. Brzmi równie bezczelnie, prowokacyjnie żydowsko jak jego własne.

I ten Cwibelsztajn mało, że był Żydem, mało, że był aż takim Żydem, to jeszcze był z tego dumny.

Gdybyż znosił swój los w pokorze, uznał swoją niższość, przeproszał, że jest Żydem zabiegał o łaski i względy, nie byłoby mu aż tak źle. Ostatecznie byłby wtedy na swoim miejscu i w swojej roli. Ale on swoje żydostwo ogłaszał bezwzględnie i donośnie, i tak, jakby chodziło o wartość równą co najmniej polskości. Kiedyśmy odmawiali modlitwę przed i po zakończeniu lekcji (w owych czasach odmawiano jeszcze modlitwę w szkole: „Dzięki Ci, Boże, za światłość tej nauki, pragniemy, abyśmy nią oświeceni...” itd.), on stał z podniesioną głową, hardy i wyzywający, jak nam się zdawało, bo przecież powinien być – jeżeli nie przestraszony swoją obcością – to zakłopotany przynajmniej. Jego nieobecność na lekcjach religii (w owych czasach lekcje religii były obowiązkowe) była legalna i równie naturalna, jak nienaturalna byłaby jego obecność. Ale dla nas ta naturalność była naturalnością nie tyle nieobecności, ile wykluczenia, usunięcia go ze społeczności, a legalność – zalegalizowaniem wzgardliwej niechęci do wykluczonego. Choć jednocześnie i po cichu trochę żeśmy mu tej nieobecności zazdrościli, bo miał wtedy wolne.

Gdyby więc uciekał, stronił, albo choć nie patrzył w oczy, lepiej by mu było. Ale on, gdy go atakowano, bronił się, a kiedy nie mógł się obronić, atakował. Był nieustępliwy, zaciekle i zaczepny. I to kto, ta zadyszana oferma, ta słabowita pokraka? Takie postępowanie domagało się sprawiedliwej kary i sam sobie był winien, że nie miał lekkiego życia.

Chodziły słuchy, że należał do tajnej organizacji żydowskiej Haganah, przygotowującej powstanie państwa Izrael. Może i należał, jeżeli jakieś komórki tej organizacji istniały wówczas w Polsce. Ale tak mówiono, żeby było śmieszniej, bo Cwibelsztajn z bronią to dopiero heca. A w ogóle to były śmieszne tematy. Kiedy Cwibelsztajn w jakiejś dyskusji mówił o prawie Żydów do

własnego państwa, wyniknęło z tego, że takie państwo miałyby posiadać także własną flotę. Żydki marynarze! To wzbudziło powszechną wesołość.

Dla ścisłości: nie trzeba sądzić, że ten krótki okres (bo Cwibelsztajn również pewnego dnia już więcej się nie pojawił) był dla niego pogromem bez chwili wytchnienia. Zdarzały się momenty rozluźnienia, koleżeństwa czy po prostu odwrócenia uwagi. Poza tym, że był Żydem, był też naszym rówieśnikiem i współuczestnikiem szkolnej doli, a naturalne prawa współżycia nie mogą się ograniczać – z samej natury współżycia – tylko do negacji i konfliktów. Zaś horda, poza tym, że była hordą, składała się z różnych i bardzo odmiennych jednostek, które nie zawsze działały jako horda. Prześladowanie, nawet kiedy się wzmagало, nigdy jak dotąd – czyli do tego momentu mojej opowieści – nie dochodziło do bicia. Zresztą są różne sposoby prześladowania, zwłaszcza w szkolnym, podobnie jak w koszarowym czy obozowym życiu. Jedno miał zapewnione: nigdy – i w tym rzeczywiście nie miał ani chwili wytchnienia – nie mógł być pewien dnia, godziny ani sekundy.

Ja w dręczeniu Cwibelsztajna nie brałem udziału. Może dlatego, że dręczenia w ogóle nie lubię, lektura Markiza de Sade tyleż mnie podnieca, co *Kapitał* Marksa. Zresztą nie dręczyć Cwibelsztajna mogłem bezpiecznie, bo to zgadzało się z moją pozycją *outsidera*. I trzeba też powiedzieć dla ścisłości, że dręczenie Cwibelsztajna nie było przymusowe. Dręczył, kto chciał, kiedy chciał i na tyle, na ile miał ochotę.

Uczył się doskonale, ale nie tylko dlatego, że był bardzo zdolny. Uczył się z nieludzką pilnością, co samo w sobie było już denerwujące, ponieważ pogardliwość dla prymusów była w dobrym tonie. Nie pracować, ale jakoś dawać sobie radę, taki był styl. Ale to nie była tylko pilność, on uczył się przeciwko nam, wbrew nam i pomimo nas. Wyzywająco. Jak wszystko, co robił, albo czego nie robił. Bo cały był wyzwaniem i prowokacją.

Osiągał więc doskonale wyniki nawet w tych przedmiotach, do których był mniej uzdolniony z natury. Jedno tylko mu się nie udawało: gimnastyka, czyli tak zwane wychowanie fizyczne. To była jedyna porażka jego woli, kiedy bez tchu, purpurowy, jakby go za chwilę szlag miał trafić (tym śmieszniejsze), obscenicznie niezdatny próbował i nie mógł wykonać najprostszych ćwiczeń. Ten widok stanowił dodatkową atrakcję gimnastycznych lekcji. Jak on się przewracał, osuwał, padał, dyszał, czerwieniał i nie mógł. Choć próbował, próbował i próbował wciąż, wciąż i wciąż od nowa z tą samą co zawsze, ale w tym wypadku bezskuteczną, choć tak namiętną determinacją. Wreszcie, prawdopodobnie z obawy przed jakimś poważnym incydentem i odpowiedzialnością, nauczyciel gimnastyki wykluczył go z tej – dla niego męki, a dla nas uciechy – może porozumiał się z jego rodzicami czy opiekunami (o jego życiu prywatnym nic nie było wiadomo) albo postarał się o zakaz lekarski. Nie powiem: zwolnił, ani: zwolnienie lekarskie, ponieważ Cwibelsztajn nigdy i z niczego nie chciał być zwolniony. Podobno był chory na serce czy na coś innego, dokładnie nie wiadomo, bo to nikogo szczególnie nie interesowało. W każdym razie odpadł z gimnastyki, ale dwie rzeczy zapamiętano: jego ambicję także w tej dziedzinie oraz jego absolutną niesprawność fizyczną.

## Wolna lekcja

Było to podczas tak zwanej wolnej lekcji, czyli kiedy zostawiono nas bez nadzoru, poleciwszy tylko nie opuszczać klasy, do czego oczywiście stosował się, kto chciał. A zaczęło się wszystko od dwóch par rękawic bokserskich. Nie pamiętam, kto wpadł na pomysł, żeby sprowokować Cwibelsztajna. Może to był pomysł kolektywny, czyli wziął się sam z siebie. Kilku niesportowców przyłączyło się do grupy sportowej, jedni zapewne ze szczerzej ochoty, inni z nudów, a nie wykluczone, że także ze względów nie mających nic wspólnego z Cwibelsztajnem, tylko z ich osobistymi sprawami do załatwienia. Tutaj mam na myśli przede wszystkim jednego małego i dziobatego, który, choć wcale nie Żyd, był pośmiewiskiem klasy. Cierpiał z powodu małego wzrostu, dziobatości i licho wie czego jeszcze, bo nie wszystkie prawa, według których ustala się hierarchia w stadzie, są wiadome. On był na spodzie tej hierarchii. (Żyd to osobna sprawa,

Żyd jest w ogóle poza hierarchią, bo do stada nie należy). W każdym razie ów mały zapłonął szczególnym entuzjazmem do pomysłu i okazał się najbardziej aktywny w jego realizacji.

Niby żartem zaproponowano Cwibelsztajnowi mały mecz, ot, niezobowiązujący „sparing” raczej. Żart polegał na pewności, że Cwibelsztajn do boksu w ogóle się nie nadaje, lecz mimo to nie odmówi.

Dlaczego nie odmówił? Przecież wiedział, na co się zanosi. Na co liczył? Nie mógł liczyć na nic. Dlaczego więc podjął wyzwanie, choć wiedział, że go prowokowano i że nie miał żadnych szans, jeśli przyjmie prowokację. Wątpię, czy jego odwaga była jedynie naturalną cechą jego charakteru. Wątpię nawet, czy to była jedynie odwaga i nic więcej. Bał się najwyraźniej, kiedy zawiązywano mu rękawice, pocił się i bladł, bał się śmiertelnie. Prawdopodobnie pokonał swój strach, jakże uzasadniony i zgodny z najzwyczajszym zdrowym rozsądkiem, w imię jakichś zasad, w imię obrony czegoś, co wykraczało poza jego osobistą i jednostkową tylko sprawę, czegoś, o czym nie wiedzieliśmy i nie chcieliśmy wiedzieć, a co dla niego było najważniejsze, ważniejsze od jego własnego strachu, bólu i utraty zdrowia.

Bił go mały i bił tak skutecznie – bo bił, jak chciał i bez żadnego dla siebie ryzyka – że prawie natychmiast krew poszła z nosa bitego, a krew to rzecz poważna i kiedy ją zwęszy człowiek albo zwierzę – sytuacja nabiera innej jakości. Coś wtedy tak się zmienia w człowieku czy zwierzęciu, że nie wiadomo, do czego doprowadzić może, wiadomo tylko, że to coś zaczyna samoistnie, wymyka się kontroli i samo przejmuje władzę. I co wtedy ono robi z człowiekiem? Zależy z jakim. Ze mną nic nie zrobiło, to znaczy nic tylko w tym sensie, że nie ruszyłem się z miejsca, z którego, w pewnej (jak zwykle) odległości od miejsca akcji, ja to wszystko widziałem. Jak tkwiłem od początku, tak tkwiłem i nadal, a nawet tkwiłem jeszcze bardziej, tkwiłem absolutnie. I jedyne, co najwyraźniej pamiętam, to poczucie realności tego wszystkiego, ale to wszystko było takie, że niemożliwe, żeby było, wobec tego też i nierealności, w rezultacie ogromne, naczelne i daremne pragnienie, żeby nie było niczego, realnego czy nierealnego, łącznie ze mną samym.

W tym momencie wszedł do klasy kolega, którego nazwisko pamiętam i wymienię. Nazywał się Leszek Herdegen. Wysoki blondyn o urodzie wymarzonej przez niemieckich teoretyków ras, brał udział w Powstaniu Warszawskim, siedział w więzieniach niemieckich i z nich uciekał, miał ojca na Zachodzie, psa i piękną narzeczoną, nosił kurtki z amerykańskiego demobilu, palił papierosy, jeździł na rowerze i mówił autentycznym i doniosłym barytonem. Uczył się od niechcenia i źle, ale profesorowie jakoś mu wiele wybacжали, choć traktował ich z naiwną niby nonszalancją. Był zgodnie akceptowany, cieszył się nimbem i prestiżem, odpowiadał regułom hordy, z wyjątkiem sportu, którym gardził, a jednak w jego wypadku nie miało to żadnego znaczenia. Był „swój”, najbardziej „swój” jak tylko być można.

Zobaczywszy, co się dzieje, Leszek zbladł, a potem zaczął krzyczeć. Nigdy już potem nie pamiętam go tak krzyczącego, choć znałem go przez wiele następnych lat. Obrzucał oprawców Cwibelsztajna najgrubszymi przekleństwami i wyzwiskami, ale co dziwniejsze, również i słowami takimi jak: niczemność, podłość, hańba, wstyd. Nikt mu się nie przeciwstawił, nie opierał, nie próbował nawet protestować. Zresztą nawet gdyby ktoś próbował, nie podołałby chyba tej jego furii, oczom białym z wściekłości, głosowi, od którego brzęczały szyby i trzęsły się ławki, słysząc go było chyba aż pod Wawelem. Jak gdyby doznał osobistej zniewagi, od której oszalał, lub co najmniej jakby to Żydzi bili Polaka, a nie Polacy Żyda. Zniknęli oprawcy, zostali tylko zmieszani gówniarze.

Ale w tym zmieszaniu odczuliśmy też i wielką ulgę. Może nawet i mały-dziobaty wdzięczny był Leszkowi, że rozstrzygnął jakoś tę sytuację. Jakby Leszek nie tylko Cwibelsztajna, ale i jego samego przed czymś uratował. Ulgę i jakby z czegoś wyzwolenie.

Leszek już nie żyje, Cwibelsztajna straciłem z oczu, nos mi pozostał. Ale dzisiaj ja go nawet lubię. Przysporzył mi wiele cierpień, ale gdyby nie on, mniej bym teraz rozumiał, a czułbym jeszcze mniej.

## LEOPOLD

Umierają mi ludzie, dopóki ja ludziom nie umrę. Każda śmierć dotyka, śmierć Leopolda Tyrmanda dotknęła mnie szczególnie.

Dlaczego – wiem albo domyślam się prywatnie, to znaczy tak, że nie musi to nikogo obchodzić publicznie. Ale część tego, co wiem, może czy powinno obchodzić nawet tych, którzy go osobiście nie znali. O tym chcę opowiedzieć.

Leopold nie miał tak zwanego szczęścia. To znaczy, nic nie przychodziło mu samo, nic nie przychodziło mu łatwo. Nie należał do tych, którzy urodzili się w czepku ani pod szczęśliwą gwiazdą, żadna dobra wróżka nie zjawiała się u jego kołyski. Los nie miał dla niego specjalnych prezentów.

Powyższe stwierdzenie może zdziwić niejednego. Jak to, czyż nie miał efektownego życiorysu? Przed wojną – studia architektury w Paryżu, podczas wojny – liczne podróże i barwne przygody, po wojnie – elegant, uwodziciel, bywalec, literat, znawca jazzu, najpopularniejsza postać kolorowej Polski. Potem Ameryka, tam pisze po angielsku i dochodzi do stanowiska, którego każdy emigrant może mu pozazdrościć. Życie osobiste też mu się w końcu ułożyło, rodzina, dwóch synów. Rosnąca popularność wśród nowych pokoleń, stał się postacią prawie już legendarną.

Sam Leopold przyczynił się do powstania tak skomponowanego obrazu. Dlaczego i w jaki sposób – okaże się w dalszym ciągu. Na razie pozostajmy przy życiorysie i pomyślmy, jaki był początek – chłopiec z bardzo przeciętnej, niezamożnej rodziny w przedwojennej Warszawie. To jeszcze nic takiego, więc dodajmy: z żydowskiej rodziny. Oczywiście, to może dać do myślenia tylko tym z nas, którzy mają pewną wiedzę o tamtych czasach i okolicznościach. Między innymi – o rozwarstwieniu społecznym, majątkowym i kulturowym, wyznaniowym i narodowościowym, czyli o podziale Przeznaczenia na piętra i komórki, z których prawie nie było wyjścia. Leopold urodził się w pułapce, no ale mogło być i bywało gorzej. Ale – i tu zaczyna się jego problem całkiem już osobisty – Leopold przyszedł na świat z wielką ku światu namiętnością, z miłosną energią w każdym tego uczucia wymiarze, zmysłowym, emocjonalnym, intelektualnym. I nie była to miłość, która by chciała pozostać platoniczną. Więc między tym, co było mu dane, a tym, co czuł i czego chciał, widział, wiedział czy sobie wyobrażał – była ogromna różnica, a zatem musiało powstać napięcie.

Studia w Paryżu – to ładnie brzmi. Ale co było poza brzmieniem? Nie wiem, Leopold nigdy o tym nie mówił, ale czy nie dlatego przypadkiem w Paryżu nie w Warszawie, że był rok 1938 i w Polsce działał już wtedy *numerus clausus*, czyli ustawa, że tylko pewna ograniczona ilość Żydów była dopuszczona do studiów wyższych? A nawet gdyby Leopold znalazł się w tej liczbie, czy nie bezpieczniej w Paryżu niż w Warszawie, gdzie nieraz studenci czyści rasowo bili studentów rasowo nieczystych pałkami zaopatrzonymi w żyłki? Jedno jest pewne: te Leopoldowe studia w Paryżu nie były takie, jak niegdyś wojaże Jana Kochanowskiego do Padwy, czy później Bronisława Malinowskiego do London School of Economics. Ani nawet takie, jak wysłanie do tegoż Paryża czy do Brukseli żydowskich synów z Polski przez ich zamożne rodziny. Jak i za ile żył w Paryżu, co tam naprawdę myślał i czuł, o tym Leopold nigdy nie mówił, ograniczając się tylko do tego, do czego chciał, by było ograniczone: że grał w koszykówkę i oddawał hołd urodzie dziewcząt.

A jego wojenne podróże i przygody... Opowiedział je częściowo i w sobie właściwy sposób jako bohater swoich powieści. Ale z nich nie wynika to, od czego się wszystko zaczęło i trwało do końca wojny. Mianowicie że za swoje urodzenie był skazany na śmierć z natychmiastowym wykonaniem wyroku. I znowu jedno jest pewne: tych wszystkich barwnych przygód, barwnych w powieści, Leopold – nie jego powieściowy bohater, ale sam Leopold – na pewno wolałby nie mieć. Po wojnie dandys, elegant i ulubieniec – jak wyglądała tego podszełka, on sam ukazał w swoim dzienniku z tamtych lat. A raczej tylko rąbek tej podszełki.

Ameryka wreszcie i tam jego sukces – pamiętam jego pierwsze amerykańskie lata, czyli biedowanie i rozpaczliwą walkę, żeby nie pozostać „już” na zawsze anonimowym „niemłodym już” i „starzejącym się” lokatorem obskurnego pokoiku u obrzeży Harlemu. Cokolwiek Leopold tam

sobie wreszcie wywalczył, nie było to łatwo zdobyte. Bowiem los już na początku tak zapowiedział: Masz tu troszeczkę i nie w najlepszym gatunku, tylko tyle i takie, a teraz radź sobie sam.

A co na to Leopold? W tym cała rzecz, a raczej połowa rzeczy dopiero.

Stosunek losu do Leopolda nie był wyjątkowy, to właśnie wybrańcy losu należą do wyjątków. Wyjątkowa natomiast była reakcja Leopolda. Większość z nas przyjmuje, co dostała, z gorzką rezygnacją i z tego niewiele czyni jeszcze mniej. Ale nie Leopold, który tak odpowiedział losowi:

Ja tych decyzji nie uznaję.

Ja ciebie w ogóle nie uznaję jako mojego zwierzchnika i rozkazodawcę. A co więcej...

Ja ciebie zmuszę, żebyśmy odwrócili role, ja będę twoim panem, a ty moim sługą.

Bardzo więc ambitne oświadczenie. I tak zaczęła się walka Leopolda aż z samym Przeznaczeniem, a raczej Wyznaczeniem, aniołem jego, ponieważ bóstwo rzadko facyguje się osobiście. Porównanie do biblijnej walki Jakuba z Aniołem byłoby zbyt patetyczne, niemniej mecz odbył się w podobnej kategorii; człowiek przeciwko nadludzkiemu, czyli temu, co warunkuje człowieka. Walka totalna, to znaczy w najdrobniejszych szczegółach i największych ogólnościach i bez chwili wytchnienia. I jak każdy, kto nie jest z losem w harmonii, Leopold bywał w dysharmonii z otoczeniem. W dużych sprawach był imponujący, w małych często drażnił. W zasadniczych sprawach zasługiwał na podziw, w drobiazgach narażał się na śmieszności wybaczone mu przez przyjaciół, skwapliwie podchwytywane przez wrogów. Drobiazgów z natury rzeczy jest więcej niż spraw zasadniczych i na co dzień są bardziej widoczne.

Walka o wszystko, czego chciał, ze wszystkim, co mu było dane, zaczynała się od samej fizyczności. Leopold nie był jedynym brunetem niskiego wzrostu w okularach, o nieskandynawskich rysach i niesmukłej budowie ciała. Ale był jedynym w zasięgu mojej znajomości, który aż tak konsekwentnie wybrał siebie jako wodza Vikingów. *Choix existentiel*, nauka Sartre'a, że jesteśmy tacy, jakimi siebie wybieramy, powinna znaleźć w Leopoldzie stuprocentowe potwierdzenie. Ponieważ zdetronizował los i sam zajął jego miejsce, musiał wziąć na siebie wszystkie jego obowiązki. Dlatego usiłował wyznaczać i kontrolować wszystkie sytuacje, nawet najbardziej powszednie, te, które zazwyczaj toczą się same i do których nie warto się wtrącać. Nic nie mogło ująć jego uwadze i jego interwencji. Stąd nieustanna czujność, aktywność i napięcie. A w negatywie – apodyktyczność, agresja, konflikt. Nie wiem, czy Leopold dał sobie – a tym samym swemu otoczeniu – przez całe swoje życie choćby minutę wytchnienia, czy zaznał kiedykolwiek spokoju.

Walczyć, nie dać się, nie poddać, ale atakować – to była jego zasada, motto, dewiza i więcej nawet, sposób istnienia zakodowany w jego instynkcie i odruchu. Jego mecz z losem, mistrzem świata wagi najcięższej, rozegrał się w trzech rundach. Leopold wygrał je wszystkie, jakich przy tym doznając wewnętrznych obrażeń, on jeden tylko wie, bo nie okazywał ich nigdy, przeciwnie, starał się najdokładniej je ukryć zgodnie ze swoim kodeksem: „Przed wszystkim fason i styl”.

Pierwsza runda – to śmiertelny pojedynek. Zaczęło się od tego, że los nie raczył dostrzec Leopolda jako indywidualnego zawodnika. Skinął tylko na swego wykonawcę, a było nim całe potężne państwo niemieckie z Adolfem Hitlerem na czele, polecając, aby Leopold zniknął anonimowo w wielomilionowym grobie bez znaku i pamięci. To Leopold z tego pogardliwego gestu uczynił pojedynek, wyzywając los. Wyszedł bowiem naprzeciw, czyli udał się w sam środek, środek aryjsko świętej Tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej, gdzie sama jego fizyczna obecność była desakralizacją ubermenschowskiej świątyni, a jego życie kpina z nazistowskiego Prawa i Organizacji. Z nieautentyczną autentycznością – podawał się za Francuza, wykonując rozmaite zawody, których nigdy się przedtem nie uczył, był między innymi kelnerem, robotnikiem, marynarzem – Leopold zwyciężał Trzecią Rzeszę w każdym momencie, który udało mu się przeżyć, nie tylko samym faktem, ale i sposobem przeżycia. Tym mianowicie, że nie tylko nie dał się zabić, ale także nie pozwolił się zgnoić, to znaczy zepchnąć poniżej tego poziomu człowieczeństwa, poniżej którego spychała ludzi Potęga, dekretując, że zanim nadaży maszyna do zabijania, powinni być tylko materiałem na trupa.

Tego rodzaju zwycięstwo wymagało czegoś więcej niż tylko przedsiębiorczości i sprawnej inteligencji. Leopold nigdy nie wspominał o strachu. Być może to przemilczenie należało kiedyś do jego strategii przeżycia, bo przecież strach może być silniejszy od instynktu i woli życia, trudniejszy do zniesienia niż pewność śmierci; w pewnych warunkach śmierć jest łatwiejszą alternatywą niż strach. Być może musiał sobie odmówić prawa do strachu; żeby zwyciężyć śmierć, musiał nieustannie przewycięzać strach, który, jak wiadomo, jest uczuciem paraliżującym psychikę i władze umysłowe człowieka, te właśnie, których Leopold potrzebował najbardziej i nieustannie jako instrumentów przeżycia. A przecież strach musiał być z nim też nieustannie, ponieważ był nieodłączny od jego sytuacji, więcej – był jego sytuacją. Jak sobie Leopold radził z tym paradoksem – żyć w sytuacji akceptując ją i negując jednocześnie, o tym nie ma śladu ani w jego literaturze, ani w jego wypowiedziach. Może właśnie aż taka „nieszczerość”, aż takie skonstruowanie sobie nieautentycznej autentyczności nie tylko przed innymi, ale i dla siebie samego, ten umyślnie dokonany w sobie podział osobowości, czyli wypracowana schizofrenia – było konieczne. Takie przypuszczenie niczego jednak nie wyjaśnia z punktu widzenia logiki, bo wyjaśniać jeden paradoks: jednoczesne przyjmowanie i odrzucanie sytuacji – drugim paradoksem: byciem i niebyciem sobą jednocześnie, to nie jest żadne wyjaśnienie. A w ogóle paradoksu nie da się wyjaśnić logicznie, na tym polega właśnie paradoks. Niech ta teoretyczna niemożliwość będzie miarą trudności, jaką Leopold musiał pokonać w praktyce. Tym samym niech usprawiedliwi nieco Leopolda przed tymi, którzy przede wszystkim pamiętają jego „nieautentyczność”, przekraczającą niekiedy granice maniery, a czasami wręcz maniacką. Śmiertelna gimnastyka, jaką musiał uprawiać przez pięć bardzo długich lat, chyba nikomu nie mogła się udać bez trwałych zwichnięć.

Tym bardziej że musiał ją uprawiać w absolutnej samotności. Czytając powieści czy dokumenty o tajnych agentach, podziwiamy ich odwagę i wytrwałość w samotności pełnej niebezpieczeństw. Ale oni nigdy przecież nie są naprawdę sami. Stoi za nimi cała potęga macierzystego państwa, kieruje nimi i pomaga najbardziej wyspecjalizowana organizacja, a w niebezpieczeństwie znaleźli się dobrowolnie. Wyobraźmy sobie kogoś, kto jest tylko swoim własnym agentem, za którym nie stoi nikt i nic, człowieka, o którego prawdziwym istnieniu nikt nie wie, a nawet on sam musi je przed sobą ukrywać. To jest dopiero samotność, wielu wolało umrzeć, niż jej zaznać. Zdarzało się przecież, że ludzie, którzy mogli się uratować, uciekając od wspólnoty i ukrywając się w pojedynkę, wybierali raczej śmierć ze swoimi, wśród swoich, niż próbę ocalenia za cenę takiej samotności.

Tyle więc o zwycięstwie Leopolda nad Trzecią Rzeszą. Nie wspomina o nim oficjalna historia drugiej wojny światowej, ale moim zdaniem Leopold powinien się znaleźć na wspólnej fotografii z marszałkiem Montgomery, zwycięzcą spod El Alamein. Zwycięstwo Leopolda było wprawdzie innego rodzaju, ale po ludzku znacznie trudniejsze.

Druga natomiast runda Leopolda z losem wyniknęła nie z przeciwności losu, który przegrawszy pierwszą, machnął jakby ręką, ale już z wyłącznej inicjatywy Leopolda. Mam na myśli lata powojenne w Polsce. W zasadzie los ogłosił *desinteressement*, a nawet nie zabronił, żeby przed Leopoldem otworzyły się pewne ogólne perspektywy, z których Leopold mógł skorzystać indywidualnie. Leopold nie należał do żadnej z tych społecznych kategorii, które przez komunistyczną Polskę były z góry skazane. Nie pochodził z ziemiańskiej szlachty, kupiectwa, inteligencji wolnych zawodów, miał pełne prawo nie być nawet katolikiem. Nie miał tak zwanej „przeszłości” ani żadnych haczyków w życiorysie. Był młody, do stracenia nie miał już nic, a wszystko do zyskania. Mógł należeć do tych, którym „Polska Ludowa dała”, a w jego wypadku mogła mu dać bardzo wiele. Jako literat i dziennikarz należał do grupy, którą Władza upatrzyła sobie na szczególnego kontrahenta i miała dla niej w zanadrzu szczególne przywileje. Po wojnie rozległa się w Polsce wielka oferta, wielka i szeroka propozycja, wielkie zaproszenie do kolaboracji. Kto nie był przez Władzę z góry skreślony i skazany na fizyczne zniszczenie albo gnój – ten mógł z tej oferty skorzystać. Wielu i z różnych powodów skorzystało. Tym bardziej że odrzucenie oferty automatycznie oznaczało przeniesienie do kategorii „wroga”. Zaproszenie wcale nie było w burżuazyjnym stylu: „Miło nam będzie, jeśli Pan skorzysta, ale jeśli nie będzie Pan w

stanie, to żałujemy, przepraszamy, dziękujemy i pozostajemy z szacunkiem”; tylko: „Albo skorzystacie, albo zgnoimy”.

W pierwszych latach, kiedy do spustoszonej przez wojnę Polski komunistyczne meble dopiero wnoszono ze wschodu i komplecik nie był jeszcze gotowy, można jeszcze było udawać przed sobą neutralnego lokatora. Po wojnie ludzie chcą znowu żyć jak ludzie, to znaczy odbudowywać wszystko, co zostało zniszczone, a w Polsce zostało zniszczone wszystko, od zagłady państwa polskiego w 1939 roku poczynając. Po wojnie komuniści od razu mieli monopol na odbudowę państwa, a wkrótce potem już całej reszty. Wkrótce już udawać, że oni to nie oni, że z nimi to nie z nimi, nie było możliwe inaczej jak poprzez samozakłamanie. A jednak jakoś odbudowywać życie było trzeba. Zaczął się kolejny polski dylemat.

Leopold propozycji nie przyjął. Z miejsca od razu i nieodwołalnie. Mówiąc przedtem o wyjątkowej postawie Leopolda wobec losu powiedziałem: „To tylko połowa całej sprawy”, czyli wyjątkowości Leopolda. Teraz kolej na drugą połowę i dopełnienie.

Tych, którzy sami sięgają po to, czego los im dać nie chce, jest wprawdzie znacznie mniej niż pokornych, ale jednak jest ich paru: pod tym względem Leopold nie był całkiem wyjątkowy. Jego wyjątkowa wyjątkowość polegała na czym innym. Ktoś, kto walczy ze wszystkimi o wszystko, czego nie ma, ale bardzo chciałby mieć, zazwyczaj wolny jest od skrupułów. Jestem poszkodowany, niedoinwestowany przez los, wobec tego należy mi się rekompensata. Rewanż i sukces jest wtedy jedyną miarą. Kiedy uważam, że los jest niesprawiedliwy wobec mnie, wszystkie środki w moim interesie są dobre w imię Sprawiedliwości utażsamianej z moim interesem.

Ambicje, apetyty i pożądania Leopolda były duże, i to w każdej dziedzinie. Zaspokojenie, mierzone ich wielkością i różnorodnością – do owej pory żadne. Oto przychodzi czas, kiedy mu los powiada ustami komunistów: proszę bardzo. Teraz już nie ma żadnych przeszkód. My panu damy wszystkie możliwości, a w zamian – drobnostka. Niech pan tylko powie, że pan nas lubi.

A Leopold powiedział, że nie lubi.

Gdyby Leopold był ascetą i niczego od życia nie chciał, wszystko by się zgadzało. A tak – nie zgadzało się nic. Więc los, zdenerwowany taką niezgodnością, znowu ruszył przeciwko Leopoldowi, ale tym razem przez niego sprowokowany. Trzeba przyznać, że los nie mógł inaczej postąpić, jeżeli chciał zachować konsekwencję. Ten Leopold najpierw mówi, że chce, a kiedy mu proponują, mówi, że nie chce. Że chciałby, owszem, ale nie na tym talerzu. On z tego talerza jeść się brzydzi? On się brzydzi, a inni się nie brzydzą! A nawet jeżeli się i brzydzą, to i tak jedzą. To inni mogą, a on nie może? Niech więc za karę pozostanie głodny i w dodatku pójdzie do kąta.

Powyższe metafory są jednak zbyt pieszczotliwe, gdy chodzi o dolę kogoś, kto w Polsce Stalinińskiej tej Polsce się sprzeciwił. Zaś Leopold sprzeciwił się od początku, z uporem i konsekwentnie. Przedtem grał o życie i wygrał, teraz chciał wygrać grę w życie, ale nie chciał grać według narzuconych mu reguł, które uważał za podłe, głupie, zbrodnicze i w ogóle nie do przyjęcia. Bowiem Leopold uważał komunizm za największe zło, z którym nie może być kompromisu.

Jego przekonania weszły więc w konflikt z jego pożądaniem życia i jakkolwiek silne było to pożądanie, a było bardzo silne, dał pierwszeństwo przekonaniom. Może dlatego, że to nie były przekonania tylko, ale jego osobisty kodeks honorowy. Przekonania ostatecznie ma każdy, ale nie każdy ujmuje je w osobisty kodeks. Przekonania to jest coś ogólnego i płynnego, zaś kodeks to jest sztywna litera Prawa. Swoimi przekonaniem można manipulować, ale kodeks jest bezlitosny.

Leopold był człowiekiem namiętności, ale jednocześnie był człowiekiem Prawa. Namiętności miał takie jak wszyscy. Prawo miał swoje własne. Był to kodeks skomponowany przez niego zarówno z Praw objawionych na Górze Synaj, jak z reguł moralnych klasycznego, amerykańskiego Westernu. Z *Rozważań o Demokracji* Tocqueville’a, jak i sposobów bycia à la Humphrey Bogart. A nawet z norm elegancji męskiej *English Style* reprezentowanym przez Edwarda, księcia Windsoru. A więc o rozmaitych głębiach i zakresach, z czego wynikała zarówno czystość jego życiorysu, jego nieugiętość w sprawach zasadniczej wagi, jak i jego uciążliwość, gdy kazał mi jeść ser taki, a nie inny, czy nosić taki, a nie inny krawat. Leopold bowiem wyrokował zawsze i wszędzie, i zawsze według jakichś reguł, które uznawszy za swoje, uznawał je tym samym za uniwersalnie obowiązujące. Ale z tego heterogenicznego materiału stworzył własną całość i porządek, czyli

priorytety. Dowód – jego życie, porządek jego życia. Kochał krawaty i samochody, ale rozstrzygał ostro, kiedy musiał wybierać między tym, co dla siebie lubił i uważał za ważne, a tym, co w sobie szanował, a więc uważał za jeszcze ważniejsze.

Nie bez żalu i nie bez cierpienia, nie bez świadomości wyrzeczeń, ponieważ, jak wiemy, był właśnie i też człowiekiem apetytów, ambicji i pożądań. I nie bez oporu, jeżeli koszta oporu nie obciążały jego zasad. Zgodnie ze swoją dewizą: „Przede wszystkim fason i styl”, gdy nie miał co jeść, grał w tenisa. W tym upatrywano tylko snobizm, ale to było też i formą oporu. Powtórzyła się historia jego pierwszej rundy z losem: „Nie tylko, ale...” – Leopold nie tylko nie zdradził swoich przekonań, ale i nie pozwolił się zgnoić za odmowę zdrady. Bardzo to niektórym irytowało.

W pewnym okresie było modne w Warszawie podśmiechiwać się z Lola. Było to już po Stalinie, kiedy można było trochę odetchnąć i z tej okazji życie towarzyskie stolicy przeważało nad politycznym. Kiedy zapanowało: raczej zapomnijmy i bawmy się. Wczesny Gomułka i nasza „mała stabilizacja”, to lekko ironiczne określenie, które zawdzięczamy Tadeuszowi Różewiczowi, doskonale oddaje nastrój chwili. Pierwsze dacje i kuligi. „Przekrój” – najpopularniejszy tygodnik. Można już było napisać coś, co wprawdzie nie mogło być antysocjalistyczne, ale nie musiało być hymnem na cześć Partii. Otworzył się margines i Leopold napisał powieść *Zły*, epicką balladę o współczesnej Warszawie. Ale nie tylko.

Jeszcze przed „małą stabilizacją”, korzystając z październikowego zamieszania, kiedy cenzura w Polsce straciła głowę – to jest charakterystyczne dla totalnych systemów, że kiedy zachwiane są „podstawy”, albo wydaje się, że bodaj są zachwiane, wszystko od razu chwieje się i sypie, dopóki drobniaczka w aparacie nie nabierze znowu pewności, że interes jest od góry solidnie prowadzony – opublikował Leopold analizę najciemniejszej polskiej sprawy, dotąd nie ruszanej – sprawę Piaseckiego i jego Stowarzyszenia PAX. A nie ruszanej, bo najbardziej niebezpiecznej dla każdego, kto by ją chciał ruszyć. Można było wtedy, przez chwilę, pisać krytycznie nawet o UB, ale tropienie Piaseckiego prowadziło w jeszcze groźniejsze rejony, o których bezpieczniej milczeć. Leopold napisał z niezwykłą odwagą, dając jednocześnie dowód, jak świetnym byłby polskim dziennikarzem, gdyby jego talent mógł się objawić inaczej niż tylko sporadycznie. O tym przypominam, ponieważ pamięta się *Złego*, ale mało kto pamięta artykuł o Piaseckim.

*Zły* stał się od razu fenomenalnym sukcesem czytelnictwem, przełożono go też na liczne języki. Leopold nie musiał się już martwić, że kołnierzyk ostatniej koszuli rozleci się przy następnym praniu pod zlewem i wszyscy to zobaczą. Ale już mieliśmy naszą „małą stabilizację” i towarzystwo tymczasem się wycwaniło. Pierwsze czołówki elity runęły na Zachód i z powrotem, co wyraziło się podniesieniem krawiecko-intelektualnego poziomu.

W Warszawie, Paryżu Północy, kwiat elity rozkwitł cudnie. Wiele już było samochodów, niektóre piękne, chodziły nawet legendy, że jeden Młody Zbuntowany przywiózł Porsche’a. A jednak najbardziej się chyba mówiło o używanym Oplu-Kapitanie Leopolda. Ale z odcieniem ironii.

Podśmiechiwać się z Lola – nic łatwiejszego. Lolo sam się podkładał, teraz jego styl nie był już formą ideologicznego oporu, był sam w sobie, w wolnej konkurencji o różne palmy pierwszeństwa w kategorii szyku, elegancji i tym podobnych wartości tego minikonsumpcyjnego mikrospołeczeństwa. Leopold był przesadny; dyskretność, lekkość i umiar nigdy nie były jego zaletami, choć ideałem jego był właśnie zmitologizowany „gentleman”. Ale było w tej modzie na ironiczność wobec Lola coś, co mi nie pasowało, coś pod spodem, jakiś brzydki chrząszcz brzmiały w tej trzcinie. Może to właśnie: prawie wszyscy w tym środowisku tak czy inaczej, tędy czy owędy, trochę czy mocno, chętnie czy niechętnie, prędzej czy później, ale zawsze jakoś, któryś i do jakiegoś stopnia – tu użyję innego słownika – dali dupy. A Leopold nigdy nie dał ani trochę i to musiało denerwować. Nie dał, no to wybaczyć można, ale to, że nie dał, a mimo wszystko chodzi i żyje, a nie gnije? Więc można było nie dać i nie zgnić? To psuło wymówkę wszystkim. „Panie ja musiałem, bo inaczej...” A tu tymczasem Lolo w Oplu jak gdyby nigdy nic. Nonszalancki Lolo.

Tym bardziej że Lolo nie ukrywał, że nie dał i nigdy nie zapomniał tym, co dali. Był jedynym z „dziesięciu sprawiedliwych”, no dobrze, ale po co o tym stale mówić i dlaczego innym wypomina, że nie byli? Leopold nie miał chrześcijańskich cnót: pokory i wybaczenia. Co gorsza,



nie był „psychologicznie ciekawy”. Co jest ciekawego w człowieku, który mówi jasno „nie” i postępuje konsekwentnie? Co innego ciemności, podwójności i potrójności, dramaty wiar i rozczarowań, grzechy i pokuty, zagadki duszy, metafizyki bytu, tak, to jest piękne i ciekawe, tu można się powołać na Dostojewskiego, a nawet zniżając głos znacząco dawać do zrozumienia że stepową tęsknicą i boleścią: ja jestem sam Fiodor D. Ale Lolo? To nie był artystyczny poziom.

Trzecia runda Leopolda z losem rozegrała się również z inicjatywy Leopolda i na tych samych co poprzednia zasadach. Kiedy ruszył na emigrację, wcale nie musiało mu być na początku tak ciężko, jak mu było. Wczesne lata sześćdziesiąte i Ameryka przeżywa swoją rewolucję. Przybysze witani są z otwartymi ramionami, jeżeli przyjmują zaproszenie do tańca. Ach, znowu zaproszenie. Dostyc wstecznictwa, więc przede wszystkim dostyc antykomunizmu. Leopold ze swoim antykomunizmem wybrał się najgorzej jak tylko mógł.

Niechby go chociaż przebrał za „anty-autorytety-taryzm”, taki ogólny i w ogóle, za „walkę z instytucjami” jakąś ogólną, chociażby za anarchię. To było takie łatwe, niczego innego nie żądano. Wystarczyło oznajmić: „U was jest tak samo jak u nas, ponieważ też jest rząd, administracja, policja, banki i bilety do kina”. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby ogłosił, że jest „Czarną Panterą” (choć białą), no, ale to nie było konieczne. Wystarczyło być mgliście postępowym, czyli mętnie antykapitalistycznym, a wtedy otwierały się uniwersytety i salony. Fundacje i Redakcje, najlepsze sfery, czyli krótko mówiąc, kariery. Robiono je szybko i nieraz oszałamiające. A kiedy się było przybyszem ze Wschodu i chciało się grać w tę grę – miało się wtedy dodatkową szansę: człowieka, który jest „stamtąd”, a jednak „swój”, który potwierdza, że się nie mylimy i mamy ogólnoswiatową słusność. Także paru naszych rodaków zagrało, z nieuniknionym powodzeniem, na tym numerze.

Ale nie Leopold. Nie tylko nie, ale wprost odwrotnie, i krzyczał z całych sił, że nie i że odwrotnie. Tylko że na początku mógł sobie krzyczeć do ściany w tym jego obskurnym pokoiku. Nie doszedł jeszcze do głosu i nic wtedy nie wskazywało, że kiedykolwiek dojdzie. Chciał oczywiście dojść, po to tam pojechał, ale to, co chciał powiedzieć, wykrzyczeć, wybluzgać, to właśnie mu szkodziło i skazywało na ścianę. Myślę, że w pewnym sensie te jego pierwsze amerykańskie lata były dla niego cięższe niż lata w Polsce Stalinowskiej. W sensie: „znowu tak samo”. Więc znowu biedny pokoik i całe mienie w walizce (ale wtedy to było po wojnie i w zburzonej, rodzinnej Warszawie, a teraz po latach i w Nowym Jorku). Znowu niemowa (tam mówić zabroniono, ale posłuchaliby wszyscy, tutaj mówić wolno, ale nikt nawet słuchać nie chce). Znowu wszystko od zera (ale wtedy wszyscy zaczynali od zera i wtedy miał dwadzieścia kilka lat, a teraz pięćdziesiątkę na karku).

A jednak wygrał. I umarł.

Śmierć była nagła, bez przygotowania, bez choroby i agonii. Umarł jakby rażony kulą w serce. Tak, jak umierali szeryfowie w starych, dobrych amerykańskich westernach. Być może podobałoby mu się to porównanie.

III



## DO DYREKCJI MUZEUM W LÓWR, ZAGRANICĄ

Niniejszym donoszę, że mam dla Dyrekcji niespodziankę. Przy kopaniu na działce wykopałem dwie ręce w stanie dobrym, z kamienia.

Orientuję się, że Dyrekcja jest w posiadaniu starożytnej rzeźby greckiej bogini Wenus Zmilo. Dyrekcja nie zaprzeczy, bo są świadkowie.

Wyżej wzmiankowana rzeźba nie ma rąk, bo jej brakują. Ja o tym wiem z dobrego źródła.

Sytuacja teraz jest taka, że ja te ręce znalazłem.

Mogę te ręce dostać Dyrekcji za uiszczeniem opłaty pocztowej przy odbiorze. Za to proszę Dyrekcję o spełnienie moich życzeń.

Moje życzenia są takie: Wycofanie obcych wojsk z terenu mojego kraju. Rozpisanie wolnych wyborów do Sejmu drogą powszechnego głosowania. Niezwłoczne zaopatrzenie nas w mydło, buty i pastę do zębów.

Jeżeli Dyrekcja nie może tego załatwić sama, to niech się porozumie z Narodami Zjednoczonymi. Im chodzi o kulturę światową i jest jasne, że albo bogini będzie dalej bez rąk, albo już będzie z rękami.

Dla mnie osobiście proszę za fatygę o wysłanie mi puszki kawy mielonej w proszku marki Nescafe. Proszę o wysłanie przesyłką poleconą, bo kradną.

Z wyrazami poważania Sławomir Mrozek – polak.

„Puls”, 17

## TWARZ

W wielkiej sali, tak wielkiej, że nawet ogromne biurko pośrodku wydawało się tutaj zabawką, siedzieli przy tym właśnie biurku dwaj mężczyźni. Twarz mężczyzny za biurkiem była nieruchoma, hieratyczna, posągowa. Natomiast twarz mężczyzny po tej stronie biurka tak ruchliwa, aż – zdawało się – lada chwila opuści go i zacznie biegać po wszystkich kątach, przyczepi się do sufitu lub wyleci przez okno, gdyby okno było otwarte. Stroiła różne miny i grymasy i w ogóle zachowywała się tak, jakby miała żywot osobny, niezależny nie tylko od woli jej nominalnego posiadacza, ale nawet od jego ciała.

Ów właśnie skończył być mówić i posąg za biurkiem odchrząknął, a następnie udzielił odpowiedzi.

– Tak, cieszymy się, cieszymy, ale...

– Ale?

– Ale to nie jest takie proste, jak pan sądzi. Twarz zeskoczyła z palmy, jednej z tych, które dekorowały audiencyjną salę, pośliznęła się na marmurowej posadzce i usiadła na ramieniu swego nominalnego właściciela.

– Dlaczego? Czy moja deklaracja jest niejasna?

– Pańska deklaracja jest zupełnie jasna i my, jak już powiedziałem, bardzo się cieszymy. Pan jest sławny, a my jesteśmy silni. Siła zawsze się cieszy, kiedy sława popiera siłę i odwdzięcza się jej tym samym.

– A więc o co chodzi?

– O pewne sprzeczności. Z jednej strony – pan jest niezmiernie popularną osobistością i pańskie przystąpienie do naszego ruchu, do naszej idei, do naszej organizacji miałyby dla nas pozytywne, propagandowe znaczenie, lecz z drugiej strony...

– Ale ja właśnie pragnę wstąpić w wasze szeregi.

– ...Z drugiej strony w tej pańskiej popularności właśnie jest przeszkoda. Bo musimy wziąć pod uwagę, na czym ta popularność polega. Otóż jest pan największym komikiem naszych czasów, wystarczy, żeby pan pokazał się na estradzie, a już wszyscy pokładają się ze śmiechu, zanim cokolwiek pan powie. Sam widok pańskiej twarzy działa na publiczność rozśmieszająco. Pan jest...

– Clownem.

– Nie chciałbym użyć tego słowa, ponieważ pańska sztuka wznosi się ponad takie zwyczajne określenie...

– Ależ dlaczego, jestem przecież clownem i wcale się tego nie wstydę. To przecież mój zawód, moje powołanie i właśnie moja sława. Nie wstydę się nawet słowa „pajac”. Jestem pajacem i występuję w cyrku. Ale przecież moja sztuka, cyrk... wy to popieracie.

– Oczywiście popieramy, jak wszystko, co jest zdrowe i ludowe. Ale niech pan się sam zastanowi: czy ktoś z taką twarzą, której sam widok rozśmiesza ludzi do rozpuku, powinien się znaleźć w szeregach naszego ruchu, którego zasada i cele są poważne, śmiertelnie poważne?

Twarz zeskoczyła na dywan i przyległa do niego płasko. Nie mogąc jednak, z powodu swej natury, pozostać całkowicie nieruchomą, wierciła się bezgłośnie.

– Ale ja mam poważne intencje!

– Pan może i ma, ale nie pańska twarz. Ona zawsze kojarzy się z dowcipem, anegdotą, krótko mówiąc – z dwuznacznością. A nasze idee są jednoznaczne. Absolutnie jednoznaczne. Ona, ta pańska twarz, jest pańskim geniuszem, a pański geniusz polega właśnie na niepoważnych intencjach. Wszyscy oczekują od pana wyłącznie niepoważnych intencji i żadna siła ich nie przekona, że ma pan inne.

– Ja jednak myślę poważnie.

– Pan nie polega na tym, co pan myśli, tylko na tym, jak pan wygląda. A wygląda pan tak, że widok pana w naszych szeregach mógłby tylko te szeregi ośmieszyć, a więc skompromitować. I to wbrew pana najpoważniejszym intencjom. Widząc pana wśród nas, pod naszymi sztandarami, słuchając naszych haseł wygłaszanych przez pana, ludzie przestaliby wierzyć w powagę naszych

haseł, naszych sztandarów, naszych zasad i celów i w ogóle całego naszego ruchu. I zaczęliby się z nas śmiać.

– To byłoby okropne.

– Pan to powiedział serio?

– Oczywiście.

– Widzi pan? Ja sam się łapię na tym, że podejrzewam pana o ironię. Wiem, wiem, pan mówi poważnie, a jednak... Proszę się nie niepokoić, to nie jest przecież pańska wina, tylko pańskiej twarzy. Ale gdzież ona? Przed chwilą jeszcze była tu, na dywanie...

– Teraz siedzi na żyrandolu, zdaje się... Obydwaj spojrzeli w górę, żeby sprawdzić, a potem na siebie nawzajem.

– Właśnie. Sam pan widzi. Pan siedzi tutaj, przede mną, a ona zupełnie gdzie indziej. Czy takiej twarzy można ufać? Czy może pan przyjąć odpowiedzialność za pańską twarz?

– Nie – odparł clown zgnębiony i zgarbił się. – Nie mogę.

– A więc – rzekł hieratyczny i powstał. – Niech pan wraca do domu. My doceniamy pańską gotowość i entuzjazm dla naszej sprawy, ale na tym musimy poprzestać. Pan pozostanie gotowy i pełen entuzjazmu, my to będziemy doceniali, ale przyjęcie pana w nasze szeregi jest niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

Zgnębiony clown uklonił się i ruszył ku drzwiom.

– I jeszcze jedno.

Clown zatrzymał się przy drzwiach.

– Niech pan nikomu nie wspomina o swoim entuzjazmie dla naszych ideałów. Tym samym niech pan nikomu nie mówi, że pan nam złożył wizytę i prosił o przyjęcie do naszej organizacji. Ja sam, gdybym panu nie wierzył, mógłbym pomyśleć, że z pańskiej strony to była, to jest... prowokacja.

Clown wtulił głowę w ramiona.

– No, no, ja tak nie myślę. Ale inni, pan już wie, co inni by sobie pomyśleli. A więc dyskrecja i jeszcze raz dyskrecja. W naszym i pańskim interesie. Jeżeli pański entuzjazm jest szczerzy, to niech pan o nim milczy. Tylko w ten sposób może się pan przysłużyć sprawie, której pan jest entuzjastą.

Clown zapewnił o swojej dyskrecji i zamknęły się za nim ciężkie drzwi. Posagowy usiadł i zagłębił się w ważnych dokumentach. Lecz po chwili coś zwróciło jego uwagę. Podniósł głowę znad biurka i ujrzał, że coś się rusza i krząta na podłodze u potężnych, dębowych, polerowanych odrzwi. To twarz usiłowała się precyzyjnie przesuwać przez szparę między drzwiami a podłogą, aby wydostać się na zewnątrz. Daremnie.

Posąg odłożył pióro, zatarł ręce, następnie wziął z biurka ciężki, mosiężny przycisk i zaczął skradać się ku niej na tyle po cichu, na ile pozwalały mu również ciężkie, bo wysokie, z cholewami, wyczyszczone do najwyższego połysku buty.

„Tygodnik Powszechny”, 6/1983

## MÓJ PRZYJACIEL NIEZNAJOMY

Między znajomymi głosami ulicy usłyszałem głos, którego nie mogłem zrazu rozpoznać. Choć o wiele cichszy niż zwyczajne głosy – przez to, że nie zwyczajny – był od nich wyraźniejszy. Pochodził z bliska, ale nie wiedziałem skąd. Miękkie trzepotanie, stłumiony szelest, nasilający się i słabnący na przemian, jakby ktoś kogoś usiłował o czymś przekonać, szeptem, ale za to namiętnie.

Przystanąłem i odkryłem pochodzenie tego głosu. Tuż nad powierzchnią ulicy było okienko piwniczne, jedno z tych, na które nikt nigdy nie patrzy od zewnątrz, a rzadko tylko ktoś patrzy przez nie od wewnątrz, przez chwilę tylko i raz na wiele miesięcy, a może nawet lat, podczas krótkich wizyt w ciemnej i brudnej piwnicy. Wizyt składanych niechętnie i pod przymusem okoliczności, kiedy trzeba złożyć w podziemiach, pod dnem życia, jakiś przedmiot nikomu już nieprzydatny czy ofiarować szczerom truciznę. Za drutami siatki, którą okratowany był ten prostokąt o konturach wykruszonych, wygryzionych czasem i zaniedbaniem, siatki z brudnej rdzy, trzepotało coś żywego, siwo-granatowego i pierzastego. Nie w pierwszej chwili rozpoznałem gołębia, ponieważ gołąb – ptak zazwyczaj ukazuje się w locie, albo kiedy wysiaduje wysoko na dachu, albo kiedy przechadza się po otwartej powierzchni ulic i placów. Rozpoznanie gołębia w tak nieoczekiwanym miejscu wymagało rozmysłu i nie mogło pozostać bez konsekwencji, jakby pozostało, gdyby zdarzyło się w zwyczajnych dla niego, a dla mnie niezastanawiających okolicznościach.

Jak ptak znalazł się w piwnicy, która nie ptakom, ale właśnie szczerom się należy? Po chwili zastanowienia znalazłem – sądzę – odpowiedź. Okratowanie sąsiedniego, podobnego okienka było dziurawe, gołąb krocząc tu i tam po ulicznym chodniku zbliżył się do tej dziury i powodowany jakimś, wydawało mu się, dobrym interesem, w nią wlaźł. Stwierdziwszy, że znalazł się w miejscu niewłaściwym, chciał z niego się wydostać, czyli po ptasiemu wyfrunąć. Poleciał do światła, ale trafił już w okienko bez dziury. Nie przyszło mu do ptasiej głowy, żeby wrócić do włazu i przez niego wyleźć, rozwaźnie i na piechotę. Teraz, nie wiadomo od jak dawna już, atakował sobą niewzruszoną kratę i na pewno nie mógł zrozumieć, dlaczego nie wzlata, skoro leci, dlaczego tkwi, skoro pędzi. Ponawiał więc daremny wysiłek, a potem nieruchomiał za kratą, aby po chwili próbować jeszcze raz. Ciągłe tak samo i ciągle bez skutku. I dlatego słyszalny był, zanim stał się dla mnie także i widzialny, jako nasilanie się i wyciszanie furkotu i szelestu, nasilanie, wyciszanie na zmianę. Furkot, furia, parcie i trzepot, ruch za kratą – potem nieruchomość piór, posępne, nieruchome nastroszenie i znowu trzepot, ruch.

Wiedziałem, że to nie zwątpienie każe mu opadać po każdym kolejnym, a daremnym wysiłku. Najwidoczniej zdolność rozumowania nie była mu dana, nie umiał wyciągać wniosków z doświadczenia, więc nie mógł wątpić. To tylko zmęczenie sprawiało, że opadał. Wiedziałem, że ptak to nie człowiek. Gdybym to ja był na jego miejscu i zachowywał się tak jak on – wtedy, owszem można by mówić o heroicznym przezwyciężaniu zwątpienia, o nadziei tak niepokonanej w tak beznadziejnych warunkach, że można by mnie nazwać bohaterem albo głupcem. Ale o nim tego mówić nie można, bo on nie człowiek. To wszystko wiedziałem w mojej ludzkiej głowie o tyle większej niż jego ptasia, ale wiedziałem także, że jakakolwiek jest różnica w pojemności naszych głów – tylko dzięki przypadkowi ja byłem na wolności, podczas gdy on był w więzieniu, wcale nie dzięki mojemu rozumowi ludzkiemu. To znaczy – mogło się zdarzyć, zawsze jeszcze może się zdarzyć, że znajdę się za kratą razem z moim rozumem, osadzony tam przez rozum moich bliźnich. A wtedy jaka między mną a tym ptakiem różnica?

Tymczasem życie dookoła toczyło się swoimi drogami i ścieżkami, nie troszcząc się o więźnia. Będzie się tak toczyło nadal, kiedy on zacznie umierać z wyczerpania, a także potem, kiedy już umrze. Słoneczko świeciło, dziecko zjadało lody śmietankowe, ktoś niósł drabinę, pies obwąchiwał drzewo, a drzewo wypuszczało pąki, bo był czas kwitnienia. Słoneczko sobie, dziecko sobie, drabina sobie, pies sobie, drzewo sobie. Cóż więc dziwnego, że gołąb też sobie, osobno? Tylko to, że to, co gołąb sobie, było odmiennej natury od natury wspólnej dla tamtych wszystkich sobie razem, a mianowicie: tamto wszystko nie cierpiało, a gołąb cierpiał. Jednocześnie,

równoległość, dzianie się tego tuż obok tamtego w doskonałym, niezakłóconym sąsiedztwie, jakby to sąsiedztwo było naturalne, choć nie było – to nieprzyzwoitość. Tak być nie powinno. Ale było.

Na co wobec tego, na kogo miał liczyć gołąb? Tylko na mnie, bo nie na słoneczko ani na drabinę, ani lody. Tylko na to, że ja przyjdę mu z pomocą. Gołąb nie był tego świadomy, ale ja, chcąc nie chcąc, byłem świadomy za niego i za siebie i nie mogłem udawać, że nie byłem, ani przed sobą, ani przed nim. Zaś żeby mu przyjść z pomocą, należało wejść do obcego budynku, znaleźć właściciela piwnicy i nakłonić go, żeby gołębia uwolnił.

Tyle uciążliwości. Do których drzwi pukać? Ile razy przyjdzie mi wyjaśnić cel moich odwiedzin zdumionym, niechętnym ludziom, zanim trafię na właściciela kazamaty, który – prawdopodobnie – będzie równie zdumiony i niechętny, przekonać go, żeby porzucił swoje zajęcia, jakiegokolwiek one są, wziął klucz, zstąpił w podziemie, otworzył drzwiska – wszystko w sprawie jakiegoś gołębia. Będą podejrzliwi, nieufni, może wezmą mnie za wariata, trudno spodziewać się, żeby dom, jak i większość domów, zamieszkały był przez miłośników gołębi czy choćby poprzez ludzi z nadwyżką wyobraźni, gotowych przyjąć niecodzienną, przeze mnie w ich codzienność wprowadzoną, bez nieufności, lęków i oporu. Nie będą mnie za to lubili.

Rozejrzałem się, mając nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto mnie wyręczy. Bo działać jednak należało. Wrażliwość, sama tylko drażliwość nie wystarczy, nic po niej gołębiowi, jeżeli ktoś nie przyjdzie mu z pomocą. Ja czy ktokolwiek inny, wszystko jedno. Chętnie zadowolilibym się samą drażliwością odstępując działanie komu innemu, jakiejś równie drażliwej, a przedsiębiorczej osobie. Nikogo takiego jednak nie ujrzałem. A tymczasem konieczność działania trwała. Coś należało zrobić.

Ale dlaczego właśnie? Nieraz w rynsztokach znajduje się trupy gołębie, giną prędzej czy później z takich czy innych powodów, i nie tylko gołębie zresztą. Wszystkie żywe stworzenia. Czy ten gołąb zdechnie teraz i tutaj czy później i gdzie indziej – wyjdzie na to samo. Czyż cała przyroda nie na tym polega, że życie przeplata się ze śmiercią, niewyobrażalne miliardy różnych istot giną w każdej chwili i ciągle, a jednak nie ma ich przez to na świecie ani mniej, ani więcej – żywych. Czyż nie trzeba na to spojrzeć, że tak powiem, globalnie i planetarnie, zamiast stać tutaj i tracić czas? Czas, który jest zawsze, ale którego nigdy nie ma, to znaczy ja nigdy nie mam czasu, bo zawsze jestem bardzo zajęty i właśnie dokądś i po coś szedłem, kiedy zatrzymał mnie, przypadkowo zresztą, bo mogłem przecież pójść inną ulicą albo kiedy indziej, ten ptasi dramat. Dramat? Nie przesadzajmy, tak toczy się świat, na tym polega życie. Z drobnego zdarzenia nie robimy wielkiej historii.

Poczułem, jak wznoszę się ponad małe, ograniczone, sentymentalne, śmieszne właściwie odruchy i tak się wznosząc – ogarniam szersze horyzonty. Dalekosiężny i bystrooki, ogólny i globalny oraz zdolny do wielkiej syntezy, zacząłem żwawo – bo z ulgą – oddalać się od miejsca, w którym omal nie popadłem w małostkowość. Zaś żeby moje wysokopienne wnioski podeprzeć autorytetem wielkiego poety, zacytowałem w duchu:

*Niech z bólu ryczy ranny łos,  
Zwierz zdrów przebiega knieje.  
Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś.  
To są zwyczajne dzieje.*

Tak, zwyczajne. Któż kiedy widział nieśmiertelnego gołębia?

Kiedy tak się oddalałem, napotkałem przechodnia w czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu. Mijając mnie przymknął jedno oko i mrugnął do mnie porozumiewawczo. Obejrzałem się za nim zdziwiony, bo go nie znałem wcale i zdziwiła mnie ta poufałość. Czyżby on znał mnie, choć ja go nie znałem? Czy może znałem go, a nie rozpoznałem go tylko? On jednak nie odwrócił głowy i szedł dalej, a przecież gdyby to był jakiś mój znajomy, którego nie rozpoznałem w pierwszej chwili, obejrzałby się, oczekując mojej reakcji na jego porozumiewawczy sygnał. Bo najwyraźniej mrugnął do mnie tak, jakbyśmy byli zażyłymi przyjaciółmi, a nawet współnikami w jakiejś tylko

jemu i mnie wiadomej sprawie, w jakimś poufnym, publicznie niejawnym, ale między nami dwoma oczywistym i nas łączącym interesie. Ale nie, szedł dalej prosto przed siebie i nie odwrócił głowy.

Przystanąłem i patrzyłem za nim, starając się rozwiązać tę zagadkę. Wtedy spostrzegłem, że buty ma dziwne, nie na ludzką stopę, ale na kopyta, zaś spod płaszcza wystaje mu czarny, kosmaty ogon.

„Tygodnik Powszechny”, 36/1982



## POBÓR

W dużym pokoju o jasnych oknach znajdował się naprzeciw drzwi podłużny wąski stół, za którym zasiadła komisja poborowa. Pośrodku stołu – przewodniczący w randze kapitana, po każdej stronie mając jednego porucznika, na skrajach zaś sierżantów, schylonych nad rejestrami. Dwaj lekarze ze słuchawkami w uszach czekali nieco na uboczu, obok wagi.

Uchyliły się drzwi i wszedł kolejny poborowy.

Był to silnie zbudowany, młody człowiek, którego ciało pokrywał gęsty tatuaż. Zbliżył się do stołu i – według pouczenia – stanął naprzeciw przewodniczącego.

Oczy wszystkich skierowały się na rysunki na jego ramionach, piersi, a także brzuchu i nogach, aż do kostek. Nie były to jednak wizerunki kobiet, jak tego oczekiwali oficerowie, dzięki surowemu trybowi życia spragnieni kobiecości. Były to dokładnie wykonane i zawiłe wizerunki ludzi pracy z młotami i sierpami w dłoniach, a także sceny grupowe, które przez zagęszczenie i obfitość szczegółów sprawiały na pierwszy rzut oka wrażenie nieregularnych deseni.

– Co to jest? – zapytał przewodniczący. Chłopiec wyprężył się, a przy tym ruchu na jego szerokiej piersi zagrała panorama dużego zakładu przemysłowego.

– Po prawej stronie: żniwa i przemysł rolny, wyżej przepony – przemysł ciężki, na przeponie: życie społeczne i naukowe, od mostku do obojczyków – handel i przemysł lekki, na nogach sport i rozrywki – odrzekł z odcieniem źle ukrywanej dumy.

– No tak – powiedział przewodniczący, opanowujący zaskoczenie. – No tak. Dobrze – skupił się, marszcząc czoło. – No, a dajmy na to, na przykład... – tu potarł potylicę, przez chwilę natężając myśl – dajmy na to kursy wieczorowe, dla dorosłych, słowem: wychowanie – jest? Bo wychowanie to ważna rzecz i wielka zdobycz! – dorzucił surowo.

– Jest! Pod pachą.

– Podejdźcie bliżej, bo nie widzę. Co to tam macie, co to przedstawia?

– Przewodniczący pracy grają po szychcie w ping-ponga – wyjaśnił młodzieniec – pan kapitan nie dostrzega, bo musi być małe, żeby się zmieściło.

Za stołem zapanowało ożywienie. Członkowie komisji wymieniali półgłosem uwagi. Młody człowiek zjednął sobie ogólną przychylność swym wyrobieniem społecznym i widocznym na całym ciele patriotyzmem. Stał przed komisją na baczność i czując, że wywarł dodatnie wrażenie, ośmielił się zaproponować:

– Jeżeli pan kapitan pozwoli, to jeszcze coś pokażę.

Przewodniczący zgodził się.

Uzyskawszy jego zezwolenie, młodzieniec zmienił postawę i nabrawszy powietrza w płuca zaczął misternie napręzać i rozluźniać rozmaite mięśnie, na skutek czego pojedyncze figury, a nawet całe grupy poruszyły się i jakby ożyły. Oczom komisji ukazała się, dzięki umięśnieniu przepony – przedszkolanka prowadząca grupkę dzieci na spacer. Umiejętnie manewrując posłusznymi częściami swego wspaniale wyćwiczonego ciała – młodzieniec uzyskiwał maksimum wyrazu i prawdopodobieństwa. Oto na przykład zręcznie zginając prawe przedramię i operując grą bicepsu i tricepsu, uzyskiwał sceny zwózki zboża przez chłopów do państwowego punktu skupu. Oficerowie nie posiadali się ze zdumienia nad jego pomysłowością i biegłością. Nikt nie miał wątpliwości, że lojalność, jaką tchnęła cała jego krzepka postać, uczyni zeń żołnierza, z którego państwo będzie miało pożytek.

– No, a z tyłu też coś macie? – zapytał kapitan, uświadamiając sobie, że przecież mogą zobaczyć co najmniej jeszcze drugi raz tyle, ile z przodu.

– Tak jest – odpowiedział młodzieniec i posłusznie odwrócił się tyłem do komisji.

Wtedy obecni nagle zerwali się i pośpiesznie stanawszy na baczność w osłupieniu, ze wzrokiem natychmiast napełnionym przez uczucia należnego oddania i szacunku – zaszalutowali w milczeniu.

## POZDROWIENIA OD

Cześć, to ja, wasz nieśmiertelny, odwieczny, uniwersalny kretyn.

Bywałem zawsze, bywałem wszędzie. Ale dopiero teraz mam się naprawdę dobrze, jestem pod ochroną i moja przyszłość zapowiada się lepiej niż jakakolwiek moja przeszłość w przeszłości.

Bowiem nastał czas dwóch pewników, w których czuję się tak dobrze jak nigdy przedtem.

Przede wszystkim uznano za pewne, że mnie nie ma. Podobnie jak diabeł, świetnie się czuje w tej mojej ogłoszonej nieegzystencji. Wiadomo, że diabeł, mój kuzyn zresztą, rzadko tylko i niechętnie występuje w swojej własnej postaci, jest mistrzem przebieraństwa i dobrze wie, dlaczego. Powszechne przekonanie, że on nie istnieje, daje mu największą swobodę działania. Dokładnie tak samo przedstawia się moja sprawa. Bądźcie tylko przekonani, że mnie nie ma, moje dzieci, a ja sobie już poradzę.

Że mnie nie ma – ogłoszono nie wprost, ale dla mnie na jedno wychodzi. Że mnie nie ma – wyniknęło z motywów nader szlachetnych i celów nadrzędnych, nikt mnie nie brał w rachubę, ale to i dla mnie lepiej. Moje nieistnienie jest produktem ubocznym, skutkiem niezamierzonym – podobnie jak w medycynie nowe i bardzo interesujące okazy franczy są niezamierzonym i niepożądanym skutkiem wytopienia franczy tradycyjnej, uodpornienia zarazków na nowe leki. Także ekologia pełna jest podobnych przykładów. Krótko mówiąc, kiedy ogłoszono, że wszyscy ludzie są sobie równi – wyniknęło z tego, że nikt nie jest głupszy od nikogo. Więc albo należało uznać, w imię równości, że wszyscy są tak samo głupi, albo że wszyscy tak samo mądrzy. Wybór ten nie jest właściwie wyborem, ponieważ obie alternatywy są jednakowo głupie. Jednak w imię zbiorowej miłości własnej wybrano tę drugą.

Drugi pewnik, który dobrze mi robi na zdrowie, to przekonanie, że ideologia – taka czy inna chciałoby się powiedzieć, ale nie można, bo zawsze chodzi tylko o jedną ideologię, tę, którą się wybiera jako swoją – samoczynnie zapewnia mądrość osobnikowi, który ją wybiera. A wszystkie one, te ideologie, zgromadzone są w dwie osobne kupy, nazwane „lewicową” i „prawicową”. Dzisiaj nie można już otworzyć gazety, usłyszeć radia, usłyszeć i zobaczyć co gada i pokazuje telewizja, ani też rozmawiać z kimkolwiek, nawet ze sobą samym, żeby wszystko, ale to wszystko – nie było interpretowane tylko jako „lewicowe”, „prawicowe”. Nikt już nie pyta, czy coś mądre jest czy głupie, uczciwe czy nieuczciwe, wysokie czy niskie, małe czy duże, otwarte czy zamknięte, rzadkie czy gęste, miękkie czy twarde, okrągłe czy kanciaste, suche czy lepkie, grzaskie, proste, krzywe, pachnie, śmierdzi, stoi, biegnie, żyje, zdechło, mówi, ryczy, milczy, truje, smakuje, gadzie, ptasie, a może futerkowe? Mój Boże, tyle pytań, można je mnożyć w nieskończoność, bo nieskończenie bogaty jest przecież świat. Ale nie, jest tylko jedno pytanie: „postępowe to czy niepostępowe”. „Prawicowe to czy lewicowe”.

Takie zubożenie, takie spłaszczenie, taka pustynia, taka śmierć ludzkiej inteligencji i wrażliwości dokonały się najpierw tam, gdzie dokonała się już ideologia, a potem ruszyły w resztę świata i wszędzie już rozpowszechniają się stopniowo, ale szybko. Pan Mrozek nie czyta „Krasnej Zwiezdy”, bo od dawna już umie ją na pamięć. Czyta jeszcze „International Herald Tribune”, ale coraz pobieżniej, bo już wiele z tego, co w tej gazecie znajduje, mógłby wyrecytować jeszcze przed rozpoczęciem lektury. Wiele i coraz więcej, więc nudno mu i coraz nudniej.

A mnie, Wielkiemu Kretynowi, w to graj. Kto się jeszcze o mnie troszczy, kto mnie tropi, kto mnie prześladowa, kiedy tylko „prawicowe”, „lewicowe” jest ważne. Mówi się jeszcze o Wielkim Inkwizytorze, on jeszcze trochę w modzie, ale o Wielkim Kretynie już głucho. Hulam sobie, gdzie tylko chcę, dla mnie „lewica” czy „prawica” są jednakowo dobre, jeżeli tylko znajdę jakąś dobrą okazję po którejkolwiek stronie. Czasem tych okazji bywa więcej tu, czasem tam. To zależy od historycznego okresu, czyli od tego, gdzie jest władza. Przy tym nie musi to być od razu władza w jej najczystszej postaci, władza polityczna. No i tam, gdzie jest moda, związki mody z władzą są pokrętne, ale niewątpliwe. Tam, gdzie jest modnie, zbiega się najliczniej moje potomstwo, moje dzieci, moi mali kretyni, tworząc silną grupę. I przygotowują sabaty, uczyty i rytuały, na których pojawiają się ja, Wielki Kretyn, w całym moim majestacie. Piękne to są orgie.

Mali kretyni, moja ukochana dziatwa, oddają mi wiele przysług. Wiadomo – patrz pewnik numer jeden – że nikt nie jest głupszy od nikogo. Więc kiedy jakiś mały kretyn, w jakiejś z tych niezliczonych dyskusji, które toczą się nieustannie, wygłasza, że w nocy jest jasno, a w dzień ciemno, wypada – bo inaczej nie wypada – podjąć z nim dyskusję i udowodnić, że w nocy jest ciemno, a w dzień jasno. W ten sposób ci, którzy mieliby coś więcej do powiedzenia i na ciekawsze tematy, zużywają się w takich dyskusjach, głupio przy tym wyglądając, bo każdy, kto udowadnia, że w nocy jest ciemno, a w dzień jasno, musi głupio wyglądać. Natomiast mały kretyn, który całą tę dyskusję zaczął, wcale głupio nie wygląda, przeciwnie, on ma „oryginalną myśl” i jest „interesujący”. Oczywiście byłoby najprościej powiedzieć: „Siedź cicho, mały kretynie”, ale tak za żadne skarby nie można, bo to byłoby naruszeniem „szacunku dla ludzkiej osobowości”.

Tak, te pewniki, numer jeden i numer dwa, to dla mnie dobra rzecz. Ale zdradzę wam najważniejszy sekret mojej potęgi: ja wcale nie jestem istotą, ja jestem esencją. Jestem jak eter, ektoplazma, energia. Dlatego mogę przenikać mury i czaszki, nie ma przede mną obrony. Przepływam, przenikam, zagęszczam się lub rozrzedzam do woli. Warunki historyczne mogą mi sprzyjać lub nie, ale, z mojej natury, jestem poza historią i poza socjologią, od nich w ostatecznym rachunku niezależny. Słusznie zauważył kiedyś pan Mrozek: *Nie ma takiego mądrego, który by choć raz, co najmniej raz nie pomyślał, nie powiedział czy nie zachował się głupio. I nie ma takiego głupiego, który by choć raz w życiu nie pomyślał, nie powiedział czy nie zachował się mądrze.* Brawo, panie Mrozek, brawo. A pan jesteś, jak pan myśli, że pan jesteś kto? No?... Tak, tak, panie Mrozek, wobec tego i na wszelki wypadek najlepiej będzie dla pana, jeśli pan zaraz, ale to zaraz, skończy to pisanie.

„Kultura”, 4/1985

## TRUDNE ŻYCIE

Bing odrzucił niepotrzebną już maczugę.

– Oto szczęście ludzkości nastąpiło – powiedział obgryzając czaszkę Bonga. – Bardzo mi ta czaszka smakuje i czuję się szczęśliwy, że to ja obgryzam czaszkę Bonga, a nie Bong moją. Sprawdziły się przepowiednie o złotym wieku.

– Co by na to powiedział Bong – wyraził się Kangoor, syn pieczarki i laureata Nagrody Nobla w dziedzinie genetyki. Po ostatniej wojnie wszechświatowej nastąpiło wyludnienie, a zatem niedostatek stosunków międzyludzkich. Tylko specjaliści umieli kopulować – zastępczo – z organizmami niższymi. Kangoor wypowiedział tę swoją myśl ostrożnie, to znaczy zza krzaków, w przyzwoitej odległości od uzbrojonego Binga.

– Pomyłka idealistów – odrzekł Bing wysysając szczękę – polegała tylko na tym, że ludzkość pojmowali jako jakość abstrakcyjną, czyli nieśmiertelną, zapominając o śmiertelności poszczególnych osobników. Czyli Bonga. Więc teraz Bong nie ma nic do gadania. Zresztą to nie była pomyłka *sensu stricto*, ponieważ ludzkość *jest* abstrakcyjną jakością.

– Która jednakże może być postulowana tylko przez jednostkę – upierał się Kangoor. – Na przykład przez ciebie.

– Czyli wszystko jest w porządku – zakonkludował Bing, konkludując jednocześnie ostatnią pożywną cząstkę czaszki Bonga. – Żyję i postuluje.

To powiedziawszy czknął i spojrzał uważniej na Kangoor, ściślej mówiąc na krzaki, w których tenże się ukrywał. – Może byś stamtąd wyszedł nareszcie? Nie lubię rozmawiać, kiedy nie widzę twarzy rozmówcy.

– Kiedy ja nie mam twarzy, tylko ryj – odpowiedział skromnie Kangoor – który w dodatku na skutek radioaktywowanych mutacji nie przypomina żadnego ze znanych dotąd ryjów.

– Tym ciekawsze – zaakceptował Bing. – Ewolucja i postęp, oto co zawsze mnie interesowało. Twój ojciec znał się na rzeczy. Chętnie obejrzałbym cię z bliska.

– Ja ciebie stąd widzę doskonale – upierał się Kangoor. Po linii grzyba odziedziczył upodobanie do leśnych zaciszy i niechęć do otwartych przestrzeni, zaś po linii Nobla podstawową inteligencję.

– Subiektywizm – zganił go Bing. – Masz do mnie stosunek przedmiotowy, odmawiasz mi podmiotowości. Wbrew podstawowym założeniom etyki. Nie uznajesz mnie za równorzędną jednostkę.

– Ależ ja uznaję! – oburzył się Kangoor – i dlatego właśnie nie wychodzę z krzaków.

– Wobec tego ja tam zaraz przyjdę – zawołał Bing i chwyciwszy maczugę rozpedził się w stronę zarośli. Kangoor rzucił się do ucieczki. Niestety, dolną część ciała odziedziczył po pieczarce, a zatem miał tylko jedną grubą nogę, zaś Bing dysponował dwiema normalnymi. Ucieczka nie mogła trwać długo.

– Co teraz? – zapytał Kangoor, gdy Bing od dłuższej już chwili siedział na nim nieruchomo, w głębokim zamyśleniu. – Nie chciałbym ci przeszkadzać, ale wolałbym wiedzieć, co ze mną zrobisz.

– Mam ochotę na zupę, ale nie wiem, czy to będzie zupa grzybowa czy Noblowa.

– A, jeśli tak, to zdradzę ci moją rodzinną tajemnicę. Moja matka nie była z domu pieczarka.

– A co? – zaciekawił się Bing.

– Muchomor.

– Twój ojciec dymał muchomora?

– Znał się na genetyce, ale nie znał się na grzybach. A poza tym wypraszam sobie ordynarne określenia.

– Przecież muchomory są trujące.

– Tylko w zastosowaniu gastronomicznym, jako zupa na przykład.

– Wszystko się nagle skomplikowało – rzekł z westchnieniem Bing. – A już myślałem, że żyjemy w złotym wieku.

– Być może ma realizację utopii należy jeszcze poczekać – pocieszył go Kangoor melancholijnie. – Poczekajmy więc.

Innego jednak zdania był Aleksiej Samowarowicz, potomek prostego żołnierza Armii Czerwonej i samowara. Jego odległy przodek, bez żadnego laboratorium, tylko przy użyciu najprostszych narzędzi, choć bez specjalistycznego wykształcenia, ale za to wyposażony w naukowy światopogląd, zapał i niespożytą witalność – dokonał w zaciszu garnizonu na granicy chińskiej eksperymentu znacznie trudniejszego niż ten, którego owocem był Kangoor.

Obecnie Aleksiej Samowarowicz, pół-mołojec, pół-samowar, zbliżył się do Kangoor i siedzącego na nim Binga.

– Może herbaty? – zaproponował Kangoor Bingowi, zauważywszy podobieństwo Samowarowicza do samowaru. – Choć to nie zupa, ale zawsze coś gorącego.

– *Czaju niet* – oświadczył stanowczo Aleksiej Samowarowicz i wyzwolił Kangoor od Binga, a Binga od Kangoor. Stało się to niejako automatycznie, bowiem Aleksiej, choć samowar, wszechstronne wyzwalanie miał w genach. Był przecież potomkiem Czerwonej Niezwycięzonej. Ponieważ zaś w ojczyźnie jego przodków wszystko było największe, więc samowarowe jego części były wielkości lokomotywy. Nic nie mogło się oprzeć jego wyzwolicielskiej sile.

– *Job twoju mać* – poradził leżącym i oddalił się na Zachód. Cyrkulował bowiem wokół kuli ziemskiej w kierunku zachodnim, co również było u niego atawistyczne.

– Wracając do przerwanej rozmowy – rzekł Kangoor usiłując złożyć ponownie w całość fragmenty swojej jedynej nogi rozrzucone w krzakach i przymocować ją do kadłuba. – To co postanowiłeś?

– Mam dosyć zadawania się z mutantami – odpowiedział Bing, aczkolwiek niewyraźnie, ponieważ maczuga tkwiła mu w krtani. Po czym na czworakach opuścił teatr zdarzeń. Prawdopodobnie w poszukiwaniu istoty czysto ludzkiej, bez żadnych genetycznych domieszek, takiej samej jak on sam lub jak nieboszczyk Bong.

„Kultura”, 5/1984

## ŻYCIE DUCHOWE – UMYSŁOWE I ARTYSTYCZNE

Proszę osób.

Nie, nie powiem: panie i panowie, jak to było w zwyczaju mówić jeszcze do niedawna. Nie zacznę mojego przemówienia w tak staroświecki sposób, ponieważ tu będzie mowa o przyszłości, czyli zaczniemy od dnia dzisiejszego, współcześnie, wystrzegając się starannie starych nawyków. Zaś zróżnicowania, odmiany, rozróżnienia dzisiaj należą już do przeszłości, między innymi różnice płci. Pozwoli mi to zresztą uniknąć zakłopotania, a nawet wręcz kłopotów. Bowiem nawet gdybym chciał nadal uprawiać to godne pożałowania i niesłuszne skądinąd – choć prawdę mówiąc, nie wiem skąd – rozróżnienie na kobiety i mężczyzn, to musiałbym wymienić kobiety najpierw, a mężczyzn potem, jak to właśnie było starym zwyczajem, albo najpierw mężczyzn, a kobiety później, co zwyczajem nigdy wprowadzić nie było, ale też nie mógłbym postąpić inaczej. Bowiem linearność naszej ludzkiej mowy, nieubłagany fakt, że nie możemy wypowiedzieć dwóch słów jednocześnie i musimy je wypowiadać po kolei, sprawia, że jedno z tych słów musi być powiedziane najpierw, a drugie potem, względnie drugie najpierw, a pierwsze potem, co i tak sprawi, że to drugie, jeżeli wypowiedziane najpierw, stanie się pierwszym. Lecz cóż by się stało, gdybym powodowany owym starym obyczajem wymienił kobiety na pierwszym miejscu, czyli rozpoczął mój wykład od tradycyjnego: panie i panowie? Nietrudno przewidzieć. Oto niektóre osoby spośród tu zgromadzonych, te, które niegdyś rozróżniano od innych osób opatrując je mianem pań, poczułyby się urażone. Ależ dlaczego? Ano dlatego, że dając im pierwszeństwo, niechybnie zostałbym posądzony o kurtuazję, czyli paternalistyczny protekcjonalizm.

A więc o to, że czuję się wyższy, ponieważ rozmyślnie ustępować na plan dalszy, zachowywać się kurtuazyjnie – może tylko ktoś, kto uważa, że będąc wyższym może sobie na to pozwolić. Niech mnie więc Bóg broni, abym na pierwszym miejscu wymienił panie, a na drugim panów, nawet gdybym chciał popełnić ten straszny błąd rozróżnienia. Pod pozorem kurtuazji dałbym dowód mojego poczucia wyższości nad płcią odmienną, co by mnie naraziło na niezawodne i sprawiedliwe jej oburzenie. Lecz ten sam Bóg niech mnie broni również przed wymienieniem panów na pierwszym miejscu, a pań na drugim. Bowiem wtedy – i już bez żadnych pozorów, które by należało demaskować, czyli bez tak zwanego płaszczyka kurtuazji, wręcz i bezpośrednio dałbym wyraz temuż samemu poczuciu wyższości. Na szczęście już nie muszę, przedstawiony powyżej dylemat mamy już poza sobą, niniejsze rozważania mają charakter li tylko studiów historycznych, których celem jest ukazać groźbę, w jakiej żyliśmy, gdyśmy rozróżniali. Uświadomić nam przebytą drogę postępu, abyśmy lepiej umieli docenić, proszę zgromadzonych tu osób, dzień dzisiejszy. Czyli tym bardziej uzasadnioną żywić nadzieję, że przyszłość, która będzie tematem niniejszego wykładu, przyniesie nam jeszcze większą ulgę. Dodam tylko, aby zakończyć wstęp i ostatecznie zażegnać jakiegokolwiek podejrzenia, jeżeli takowe żywione są jeszcze wobec mojej osoby przez te osoby, które niegdyś zwano kobietami, że przy pierwszej katastrofie morskiej, lotniczej czy lądowej, w jakiej wypadnie mi uczestniczyć, będę kopał bez różnicy wszystkie osoby, które znajdują się między mną a łodzią ratunkową czy innym narzędziem ocalenia. Zapewniam, że będę odpychał i tratował nie czyniąc żadnych różnic między mężczyznami i kobietami, zgodnie z założeniem, że takie różnice nie istnieją.

Tak, proszę osób, nie rozróżniać i nie odróżniać, na tej drodze leży zbawienie. *Distinguo* – rozróżniam, to łacińskie słowo było kiedyś dewizą filozofów, metodą uczonych i praktyką życia codziennego. I cóż z tego wyniknęło? Tylko różności, odmienności i nierówności. Na szczęście spostrzeżliśmy się w porę i diametralnie zmieniliśmy kierunek. Nie różnice, ale podobieństwa nam teraz przyświecają, zaś od podobieństw przechodzimy do tożsamości. Miejmy więc nadzieję, więcej, miejmy pewność, że skutki będą równie odwrotne jak przyczyny. Na tej drodze dojdziemy do jedności wszech rzeczy i wszech zjawisk, czyli do boskości. Bo czyż jedność, jedyność, nie jest cechą boską? I nawet obalenie różnicy między tym, co sakralne, a tym, co świeckie paradoksalnie, lecz tylko na pozór paradoksalnie, doprowadzi nas zatem do świętości, jedynej, wspólnej i

wszechogarniającej. Wyniknie z tego boskość, choć malkontenci, zacofańcy, obrońcy dawnego stylu twierdzą złośliwie, że wyniknie z tego kupa.

Lecz zanim dojdziemy do boskości, czy też do kupy, jak twierdzą nasi wrogowie, coś jeszcze pozostaje nam do zrobienia. Mianowicie należy znaleźć klucz uniwersalny do idei. Umysł ludzki przejawia wciąż jeszcze pożałowania godną skłonność do produkowania idei różnych i przeciwstawnych, jako przykład wymienię choćby ową prognozę kupy, jako przeciwstawną prognozie boskości. Ach, jakże nas wszystkich męczą sprzeczności, zwłaszcza tych, którzy posiadając ideę jedynie słuszną muszą jednak wciąż udowadniać jej słusność, mimo że od początku była ona, jest i pozostaje słuszną. Udowadniać, to znaczy bronić jej przed argumentami idei z nią sprzecznych, wciąż żywych lub wciąż się odradzających, choć przecież niesłusznych. Przypatrzmy się, jaka jest kolejność tego procederu.

Najpierw tworzymy ideę, potem dopiero usiłujemy przekonać innych o jej słusności. Jest to praca żmudna i niewdzięczna. Argument opiera się argumentowi, a nawet jeżeli mu w końcu ulega, to wkrótce pojawia się nowy argument, który zajmuje miejsce pokonanego towarzysza i wysiłek przekonywania trwa nadal, aż należy ze smutkiem stwierdzić, że nigdy nie ma mu końca. Nigdy nie można uznać z całą pewnością, że ostatecznie uwieńczony został powodzeniem. Czy tak być musi? Czy nie ma na to rady?

Otóż tak być nie musi i jest na to rada. Przystępuję do zasadniczej części mojego wykładu.

Czy wszyscy widzą przedmiot, który trzymam w rękach? Dla tych, którzy siedzą w ostatnich rzędach, dokonam krótkiego opisu. Jest to przedmiot wykonany z drewna, najlepiej dębowego, długości około sześćdziesięciu centymetrów, z jednego końca cieńszy, z drugiego grubszy. Cieńszy koniec może być owinięty taśmą gumową dla pewniejszego uchwytu, grubszy koniec może być okuty żelazem lub tylko nabity stalowymi ćwiekami. Przedstawiam państwu tylko model podstawowy, bez okuć i uchwytu, warianty i ulepszenia mogą się mnożyć w nieskończoność, zależnie od lokalnej tradycji, materiałów, poziomu technologii, możliwości wytwórczych, inwencji producenta i preferencji użytkownika. Niemniej wszystkie odmiany wywodzą się z tego samego, niezmiernie prostego modelu, zwanego pałą.

Zastosowanie jest następujące. Gdy spotykamy kogoś na drodze, niezwłocznie bijemy go pałą po głowie. Należy bić na tyle mocno, aby obezwładnić, jednak nie na tyle, aby bity stracił przytomność całkowicie. Przystajemy więc bić w momencie, kiedy on już leży, lecz choć unieruchomiony – zachowuje bierny kontakt z otoczeniem, w tym wypadku z nami. Dopiero wtedy przystępujemy do rozmowy. W tym celu znajdujemy ideę, do której chcemy go przekonać. Już pierwszy rzut oka na sytuację pozwala ocenić zalety naszej metody. Po pierwsze – zapewniamy sobie całkowitą dowolność w wyborze idei. Możemy zaproponować rozmówcy, cokolwiek nam przyjdzie do głowy, zarówno ideę przygotowaną zawczasu, jak i coś, co się nam nasuwa w ostatniej chwili pod wpływem natchnienia. Nie jesteśmy skrupowani przedwczesną eliminacją, tym mniej mozolnym opracowywaniem szczegółów. Jest to bardzo przyjemne poczucie wolności myślenia, nie znane myślicielom ortodoksyjnym.

Po drugie – a pierwsze wynika z drugiego – nasz partner jest dostatecznie oszołomiony, aby przyjąć nasze tezy bez kłopotliwych kontrargumentów. Przekonujemy go o słusności naszych poglądów natychmiast, skutecznie i trwale, ponieważ przy pierwszych oznakach powrotu do pełnosprawności wystarczą dodatkowe, nawet niezbyt silne uderzenia, aby utrwalić w nim głębokie przekonanie, że mamy rację.

Teraz jasne się staje, dlaczego nazywamy ten oto tutaj zademonstrowany przedmiot uniwersalnym kluczem ideologicznym. Klucz, ponieważ otwiera drogę przekonaniom, ideologiczny, ponieważ ma zastosowanie w świecie idei, uniwersalny, ponieważ nadaje się do wszystkich idei bez wyjątku, Znaczenie tego wynalazku trudno ogarnąć od razu, właśnie ze względu na jego prostotę. Ale czyż największe odkrycia nie były zarazem najprostsze? Ziemia krąży wokół Słońca, a nie Słońce wokół Ziemi – twierdzenie to jest tylko prostym odwróceniem twierdzenia, które je poprzedzało, a jednak jego implikacje i konsekwencje są niezmierne. Podobnie i ja odkrywam, że wystarczy tylko odwrócić proceder: bić najpierw, a rozmawiać potem, a nie odwrotnie, jak to czyniono do tej pory, aby skutki okazały się wprost oszałamiające.

Nie będziemy więc przedłużać naszego zebrania rozpatrywaniem tych skutków w szczegółach, ponieważ aby to uczynić, musielibyśmy mieć do dyspozycji tyleż czasu, ile nas dzieli od tej historycznej chwili, od naszego odkrycia, do samego kresu ludzkich dziejów. Dodam tylko, że egzemplarze uniwersalnego klucza ideologicznego, w estetycznym wykonaniu i po umiarkowanych cenach są do nabycia w szatni przy wyjściu. Uprasza się o rozpoczęcie dyskusji dopiero po opuszczeniu budynku, na placu.

„Kultura”, 1-2/1984



## WRÓŻBA

Aleksander Bytomski, starszy kelner restauracji „Extra Lux”, przewrócił się podając dewolaja gościom na pięterku i wyłożył dewolaja na parkiet.

Świadkiem, między innymi, był uczeń Państwowego Technikum Gastronomicznego, Wawrzoniewicz. Zaledwie godzinę temu Bytomski kopnął go boleśnie i znieważył słownie w przejściu od kuchni do sal jadalnych.

– No tak – powiedział Bytomski jakby do siebie. Następnie podniósł się z podłogi i dodał:

– Ja nienaumyślnie, panie pułkowniku. Pułkownik Żniwo, Szef Departamentu, spojrział na niego jakby w zadumie. Zaprosił był Mariolkę, uczestniczkę Zespołu Baletowego „Orzeł Biały”, na kolację w celach przedkopulacyjnych. Więc mimo osobistego zmęczenia i trudnej sytuacji w kraju uznał, że powinien wykazać przed nią swoją potencjalność.

– Wasze nazwisko? – zapytał Bytomskiego.

– Ja zaraz sprzątnę! – krzyknął Bytomski i padłszy na kolana już miał gołymi rękami zgarnąć kurę w masełku, gdy...

– Nie – sprzeciwiła się Mariolka, która już była napita. – Niech pan zostawi.

– A? – zwrócił się ku niej Żniwo z takim właśnie zapytaniem.

Lecz ona, zamiast odpowiedzi, pochyliła się chwiejnie nad ptakiem i przyglądała mu się z mozolnie napinaną uwagą. Bytomski klęczał przed Żniwem oczekując od niego dalszych decyzji.

– Widzę zwycięstwo socjalizmu na całym świecie – oświadczyła Mariolka. Żniwo oddalił Bytomskiego lekkim skinieniem. – Widzę, jak nasz obóz pokoju i socjalizmu zatyka sztandary na gruzach imperializmu i kapitalizmu.

– Gdzie pani to widzi? – zapytał Żniwo rzeczowo.

– Tu – Mariolka wskazała na kurę. – Umiem wróżyć z ptaków. O! I jeszcze coś widzę!

– Może już wystarczy? – zaproponował Żniwo łagodnie. – W zasadzie zobaczyła pani wszystko.

– Widzę mężczyznę na czymś białym... jakby na koniu. O! Właśnie wjeżdża przez bramę, ja go skądś znam...

– Skąd? – zapytał pułkownik odruchowo.

– Zaraz, zaraz, gdzie to jest, takie piękne miasto, duży kraj... Acha! Już widzę, to jest Paryż, on jest we Francji.

– Ale kto?

– Pan. Tak, teraz poznaję. Będzie pan mianowany gubernatorem Paryża.

– Coś w tym jest – zgodził się Żniwo. – Są perspektywy. Choć ja nie wierzę we wróżby.

Niemniej skinieniem ręki zezwolił, aby Bytomski powróciwszy z odległości uprzątnął dewolaja definitywnie. Już go nie pytał o nazwisko.

Jeszcze tego samego wieczoru Bytomski skopał Wawrzoniewicza na zapleczu.

Wawrzoniewicz powrócił do domu i nie położył się spać, ale zaczął studiowanie dzieł szlachetnie urodzonego Bakunina, księcia pana Kropotkina i jaśnie wielmożnego Saint-Justa.

## SĄD OSTATECZNY

Umarłem i poszedłem w zaświaty. Brama zaświatów przystrojona była czerwoną flagą.

– Spodziewałem się raczej niebieskiej – powiedziałem do odźwiernego.

– Dawno pan umarł?

– Nie, dopiero co, przed chwilą.

Portier pokiwał głową, jakby takiej właśnie oczekiwał odpowiedzi. Zadowolony z siebie, jak znawca, który prawidłowo ocenił przedmiot.

– Pochodzenie?

– Z ziemi. Planety, znaczy się.

Spojrzał na mnie z zadumą eksperta, który po rozpoznaniu zastanawia się nad metodą. Było w nim coś niezmiernie fachowego, choć trudno mi było ustalić, o jaki fach chodzi. Ale z pewnością nie zwyczajnego portiera. A jednocześnie nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że z tym fachem już gdzieś się spotkałem.

– No – powiedział. – Nie będziemy z tego robili historii, choć za te żarty mógłby pan mieć przykrości. Za niepoważny stosunek, znaczy się. Ale tym razem jeszcze darujemy. Pochodzenie?

– Już powiedziałem. Uderzył pięścią w stół.

– Robotnicze, chłopskie czy inteligenckie. A może obszarnicze, co?

– Obszarnicze? Nie, skądże – zaprzeczyłem skwapliwie, bo odezwał się we mnie dawny refleks.

– No to wypełnić! – I podsunął mi formularz o wielu rubrykach wydrukowany na dobrze mi znanym, szarawym papierze złej jakości.

– Ja chciałem tylko przez to powiedzieć, ja myślałem, że tu już wszystko wiadomo. Więc już nie trzeba.

Wzniósł oczy do nieba, jeżeli tak rzec można, bo przecież znajdowaliśmy się w niebie, z anielską, ale groźną, bo zbyt ostentacyjną cierpliwością.

– Pewnie, że wiadomo, ale co to ma wspólnego? Wiadomo, a trzeba, to dwie różne sprawy.

– Jako na ziemi tako i w niebie?

– Właśnie.

I podał mi pióro na łańcuszku (żeby petenci nie kradli? Ale tu, w niebie?!) również skądś mi znajome. Na końcu stalówki tkwiły zaschnięte szczątki muchy męczenniczki.

– Tylko czytelnie. I niczego nie pomijać. Jakże to, Piotrze Świąty, przecież tu niebo, a nie ziemia – tak chciałem już powiedzieć, ale spojrzałem na jego wygoloną twarz i zaniechałem. Świąty Piotr, o ile mi wiadomo, nosi obfitą brodę. Może oddalił się na chwilę, a ten tutaj to tylko jego pomocnik, podczas nieobecności szefa nadużywający władzy? Widocznie zdarza się nawet w niebie. Nie należy czepiać się takich drobiazgów, tym bardziej że poza tym wszystko wydawało się w porządku. Wielki portret Boga Ojca, z wielką prawidłową brodą, wisiał na ścianie stróżówki.

Zaopatrzony w przepustkę udałem się w głąb raj. Ciekawie rozglądałem się po terenie, wypatrując aniołów i zbawionych dusz. Jakoż niebawem natrafiłem na nie, ale wyglądały jakoś dziwnie, to znaczy trochę inaczej, niż się spodziewałem. Zamiast siedzieć pojedynczo na indywidualnych obłokach, szły dokądś w zwartej kolumnie z orkiestrą dętą na czele. Orkiestra da się wytłumaczyć – na różnych obrazach, które widywałem za życia, anioły używały trąb, choć też i przygrywały na harfach, a tu były wyłącznie trąby. Bardziej zdziwiły mnie ich skrzydła, przycięte krótko tuż u ramion, więc jakby nie skrzydła, tylko ich kikuty. Przyłączyłem się do ostatniej czwórki. Jak w każdym pochodzie, tak i w tym na końcu wlekły się egzemplarze najmniej dorodne i najmniej dziarskie. Niedużego wzrostu i niemrawe. Nikt się nie odzywał do mnie, więc po pewnym czasie sam musiałem nawiązać rozmowę.

– Alleluja – powiedziałem do jednego, co włókł się na samym, na samiutkim końcu, bo był najbardziej opieszły. Przypuszczałem, że w ten sposób pozdrawiają się tutejsi.

– Alleluja – odwzajemnił, ale bez zapału, formalnie jakby.

– Jak tam zbawienie – ciągnąłem dalej, nie zrażony jego rezerwą. – Dobrze idzie?

– W porządku – odpowiedział obrzucając mnie krótkim, badawczym spojrzeniem.

– A ten pochód to dokąd?

Przyjrzał mi się dłużej i uważniej, ale nic nie odpowiedział.

– Przepraszam, że pytam, ale ja co dopiero z ziemi, niezorientowany jestem.

– Z ziemi? – powtórzył, ale wciąż z tą jego rezerwą.

– Dopiero co, a na bramie niczego się nie mogłem dowiedzieć. Ten Święty to jakby nie Święty Piotr, żadna z nim rozmowa.

– Święty Piotr?

– On, albo jego zastępca, nie wiem dokładnie, a nie śmiałem pytać, bo z góry mnie nieco traktował.

Niemrawy milczał przez chwilę.

– A skąd ja mogę wiedzieć, czyś pan rzeczywiście z ziemi, czy nie z ziemi – rzekł wreszcie.

– Wystarczy mi spojrzeć na plecy. Jeszcze nie mam skrzydeł, dostanę je dopiero po rozprawie sądowej, oczywiście jeżeli mnie zatwierdzą.

– Fakt – przytaknął i rozpogodził się. – Przepraszam za ostrość, ale jak pan tu dłużej pobędzie, to pan zrozumie.

– Swoją drogą ciekawe te wasze skrzydła, palanty jakieś, a nie skrzydła. Czemu takie krótkie?

– Zwolnijmy trochę – zaproponował. Zwolniliśmy kroku, aż między nami a końcem pochodu powstała pewna odległość.

– To proste – wyjaśnił, kiedy ostatni aniołowie nie mogli nas już usłyszeć. – Do czego służą skrzydła?

– Jak to, do czego. Do latania, oczywiście.

– A jak się lata, to można gdzieś polecieć, nie?

– To samo z siebie wynika.

– A jak polecieć, to i odlecieć, nie?

– Jak to, odlecieć...

– No tak, żeby już nie wrócić. Zaczęło mi coś świtać.

– Chce pan przez to powiedzieć, że naumyślnie dają takie krótkie skrzydła... żeby nie można było...

Zamiast odpowiedzi pomachał kikutami. Nie wzniósł się ani o centymetr.

– Ale to przecież nonsens! Kto chciałby uciekać z raj?

– Zależy z jakiego. Tutaj się dużo zmieniło od czasu, kiedy się pan uczył religii.

– To prawda, że katechizmu uczyłem się już dawno, dawno temu. Jeszcze w przedwojennej szkole.

– Właśnie. Tymczasem Historia poszła naprzód. Według nieubłaganych praw.

– Mógłby mi pan to bliżej wyjaśnić?

– Czegoś się pan uczył, na przykład w sprawie grzechu...

– Normalnie. Żeby nie kraść, nie zabijać... Całe Dziesięcioro Przykazań.

– Nieaktualne.

– Jak to, nieaktualne? Kraść i zabijać już można?

– Ani można, ani nie można. W ogóle już nie o to chodzi. Teraz są inne kryteria. Grzechem jest wszystko, co hamuje postęp społeczny, a cnotą wszystko, co go przyśpiesza. Jak już pan koniecznie chce kraść, to kradnij pan w sprawie przyśpieszania. Tak samo z zabijaniem. Tylko według tego będziesz pan sądzony.

– Zaraz, zaraz, bo nie nadażam. To znaczy raj... raj też już jest postępowy?

– Więcej. Teraz raj to ostateczna realizacja wiesz pan czego. Według nieuchronnych praw...

Uczył pan się chyba tego po wojnie.

– O Jezu! – jęknąłem.

– Jaki Jezu. Radzę panu z tym uważać.

– A więc ten Święty Piotr...

– Jaki Święty Piotr. Dawno zlikwidowany.

– Ale przecież... kierownictwo się nie zmieniło. Sam widziałem portret.

– Tego z brodą, co? Nie przypomina pan sobie innego portretu też z brodą, dosyć podobnego...

Olśniło mnie.

– Karol?! – wykrzyknąłem.

Pokiwał głową. Słowa były już niepotrzebne.

Niebo zawirowało mi przed oczami. Chciałem zawrócić i pędem stąd się wydostać, ale przypomniałem sobie, kto jest na bramie. Tamten objął mnie ramieniem.

– Trudno, bracie – powiedział współczująco. – Nieubłagane prawa Historii.

– Dokąd teraz idziemy... – wybełkotałem.

– Na wiec.

– Na jaki wiec...

– Będą sądzili jednego, a my jako głos ludu. „Niech żyje”, „Precz”, znasz to przecież.

– Znam – wyszeptalem, patrząc w niebo, to znaczy w dół. Gdybyśmy byli na ziemi, powiedziałbym: „patrząc w ziemię”.

– Ale zaraz, czy to właśnie nie ciebie będą sądzili? Boś ty przecież jeszcze nie sądzony, dopiero idziesz na sąd.

– Zgadza się. To ja, to mnie. Odsunął się natychmiast.

– Nie gniewaj się, ale zobaczymy się dopiero po rozprawie – powiedział szybko. – Sam chyba rozumiesz.

– Myślisz, że mogą mnie skazać?

– Feliks to ty nie jesteś, a oni nie żartują. W dawnym ustroju były takie rzeczy, jak grzechów odpuszczenie, ale teraz nic, tylko te prawa i prawa. Nieubłagane.

I przyłączył się do kolegów aniołów. Od tej pory nie tylko nie rozmawiał już ze mną, ale również udawał, że mnie nie widzi.

Wlokłem się za nimi ze spuszczoną głową. „Nieubłagane prawa”... „Oni nie żartują” – huczało mi w tej głowie. Więc takie jest teraz niebo, tego rodzaju. Tak nieprawdopodobna, oszałamiająca wprost zmiana, kto mógł przypuszczać, kto mógł przewidzieć.

A jednak, kiedy się lepiej zastanowić, zmiana wcale nie aż tak zaskakująca. Czy nie dosyć żyłem na ziemi w drugiej połowie dwudziestego wieku? Czy nie dosyć przeczytałem gazet w różnych językach, rozpraw uczonych i dzieł literackich? Czy nie dosyć słuchałem radia i rozmów towarzyskich, czy nie dosyć oglądałem różnych telewizji? Czy nie dosyć, żeby przewidzieć, na co się zanosi? Nie rozumiałem może, co oni ani jak mówią, piszą i pokazują? Rozumiałem przecież. Obserwowałem, jak rosły nowe wartości, jak zmieniało się pojęcie Dobra i Zła, jak ginęła stara i jak powstawała nowa religia. A więc?

Więc to nie rozum mnie zawiódł, tylko wiara. Po prostu nie wierzyłem, że to naprawdę i że to aż tak. Moje osobiste doświadczenie nie pozwalało mi uwierzyć, że oni też, że dobrowolnie... I teraz tu jestem, całkiem nieprzygotowany do sądu, od którego zależy moje zbawienie wieczne lub potępienie na wieki.

Bo jeśli istnieje zbawienie, to również potępienie musi istnieć. A zatem...

Oto już miejsce Sądu Ostatecznego. Dolina obszerna, a nad nią góra wyniosła, wszystko pokryte czerwonym, prezydialnym suknem. Pochód zatrzymał się w dolinie, a góra obsiedziana już była przez Patriarchów i Ojców Nowego Kościoła, Błogosławionych, Proroków i Świętych od spodu wzwyż, według rangi i stopnia, aż do Trójcy na samym szczycie. Najwyższy, ze wspomnianą już, kolosalną brodą, był najwyżej. Siedział na tronie, a w rękę trzymał Pismo, wszystkie tomy, wydanie zbiorowe. Zza jego ramienia wyglądał mu ten honorowy Vice, co też ma brodę, tylko przyciętą i nie tak kędzierzawą. Po lewicy Najwyższego siedział Łysy, z bródką całkiem już przyciętą, bo w szpic, a po prawicy ten z wąsami tylko. A poniżej. – Ach, kogo tam nie było.

I znalazłem się sam jeden u stóp tej olbrzymiej góry, a za mną tłum zbawionego luda. Archanioł zadał w trąbę – nie rozpoznałem, czy był to Susłow, czy Budionny – i zaczął się proces.

Najpierw sekretarz sądu odczytał moje akta. Poznałem go. Za życia nie był wielkim Sekretarzem, to znaczy mniej był znany w świecie niż inni Pierwsi Sekretarze, za to u nas bardzo był znany. To ten z malutkim wąsikiem *à la* szczoteczka, do góry czesany. Wielu moich rodaków

jeszcze go pamięta i pewnie dlatego został przydzielony do mojej sprawy, że kiedyś należałem do jego terenu. Całe moje ziemskie życie było w tych aktach opisane. Marnie to wyglądało. Wprawdzie za młodu należałem do różnych pobożnych organizacji, ale martwy ze mnie był członek, faryzeusz właściwie. A później... Im później, tym gorzej.

– Wiele grzechów ma podsądny na sumieniu – zagał Przewodniczący, ale musiał przerwać, bo przeszkadzało mu jakieś gadanie. – Proszę nie rozmawiać na sali – upomniał małego, grubawego, w okularach, z przedziałkiem, który w grupie Błogosławionych pouczał o czymś swoich sąsiadów, szeptem wprawdzie, ale namiętnie. – Wiele ciężkich grzechów popełnił, wiele boskiej obrazy.

– Precz! – krzyknął tłum w dolinie.

– Ale Sąd Ostateczny chce sprawę rozpatrzeć do końca i dać mu szansę zbawienia.

– Niech żyje! – krzyknął tłum.

– Niechaj podsądny się zbliży i odpowie na pytania. Wszystko będzie zależało od jego odpowiedzi.

Postąpiłem kilka kroków i zatrzymałem się u samego podnóża góry. Musiałem dobrze zadzierać głowę, żeby widzieć wierzchołek.

– Proszę nie zakłócać – zwrócił się znów Przewodniczący do tego, co nie przestawał gadać. – *S'il vous plait.*

– Aha – pomyślałem sobie – to jakiś Francuz.

– Oto pierwsze pytanie. Jaki jest stosunek podsądnego do feudalnego ucisku?

– Bardzo lubię.

Szmer zgromy przeszedł po górze i dolinie. Nie była to całkiem prawda, feudałowie są mi dosyć obojętni, ale wolałem przesadzić dla większej pewności. Nie mogłem ryzykować niczego, co by mi groziło zbawieniem. Tylko Francuz mówił coś bez przerwy, na nic nie zwracając uwagi.

– Towarzyszu Sartre, proszę opuścić salę. Acha, więc podsądny jest zwolennikiem klas posiadających? To może wobec tego podsądny nam powie, co sądzi o sprzeczności między społecznym sposobem wytwarzania a prywatną własnością środków produkcji.

Musiałem przeczekać małe zamieszanie, kiedy wynosili Sartre'a, bo sam wyjść nie chciał. Dzierżyński niósł go do spółki z Thorezem, on zaś gadać nie przestawał. Dopiero kiedy go wynieśli, był spokój i w ciszy zabrzmiały moje słowa.

– Mnie wszystko jedno. Byle były pieniądze. Jęknęła góra i dolina. Samego Przewodniczącego jakby zamurowało. Opanował się jednak i rzekł po chwili przez zaciśnięte zęby:

– Coraz to lepiej. Więc oskarżony popiera wyzysk?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy jest duży czy mały. Jak jest duży, to popieram, a jak jest mały, to też popieram, ale mniej.

Tym razem nawet jęk się nie rozległ. Bywa groza tak straszna, że przejawia się tylko milczeniem.

– Przejdźmy do zagadnienia ruchów narodowowyzwoleńczych. Jaki jest pogląd oskarżonego w tej sprawie?

– Chodzi o Polaków?

Pękła cisza i krzyk świętego oburzenia wypełnił niebiosa. „Precz, precz, to jest prowokacja!” – krzyczało w dolinie, a góra też krzyczała głosami wszystkich Archaniołów, Proroków, Patriarchów i Świętych. I wydawało się, że nie będzie temu końca, aż Najwyższy wznosił lewicę. Na ten znak cisza zaległa znowu. Najwyższy pochylił się i szepnął coś do ucha Przewodniczącemu.

– Ostatnie pytanie – ogłosił Przewodniczący. – Sam Determinizm Dziejowy pragnie dać podsądnemu tę ostatnią szansę. Od tej jego ostatniej odpowiedzi będzie zależało jego zbawienie. Niech więc podsądny dobrze zważy, zanim odpowie: jaki jest jego stosunek do...

I tu wymienił przenajświętsze słowo, najświętsze ze świętych, tak święte, że nie mogę go tutaj przytoczyć, w tym opowiadaniu świeckim i niegodnym. Mogę tylko wyjawić, a i to z drzeniem, że zaczyna się ono od litery „S”.

I znowu cisza, ale tym razem najgłębsza z cisz, cisza kosmosu. Taka, w której słycać jedynie obroty planet, pulsowanie słońc i trwanie galaktyk. A ja w tej ciszy powiedziałem:

– Pierdolę.

Grom, rozwarły się czeluście i pochłoneły bluźniercę. W ogniu i dymie mignął mi ktoś gruby, z cygarem w jednej ręce, z widłami w drugiej – Churchill? – rechotał ktoś, chyba Harry Truman i wywijał czarnym ogonem, paliła mnie smoła Wall Streetu i dusiła Pentagońska siarka. Więc to na wieki wieków Amen? – zdążyłem tylko pomyśleć i wciąż jeszcze nie dowierzając, że udało mi się uniknąć Zbawienia, runąłem w piekło Kapitalizmu.

„Kultura”, 3/1984

IV



## WRÓCIĆ, NIE WRÓCIĆ

Kogut, Lis i ja byliśmy na wakacjach, kiedy w stolicy zmieniła się władza. Zebraliśmy się na naradę.

– Panowie – powiedziałem. – Dotychczasowa władza była taka sobie, ani dla nas dobra, ani zła. A teraz się zmieniła, czyli może być dla nas albo lepsza, albo gorsza. Więc zanim wrócimy do stolicy, trzeba się koniecznie dowiedzieć, jaka ona teraz jest.

– Ale żeby się dowiedzieć, trzeba najpierw wrócić – zauważył Lis.

– Zaś bezpiecznie wrócić można tylko wtedy, jeżeli teraz władza jest dla nas lepsza, a nie gorsza – podjął myśl Kogut.

– Czego się jednak nie dowiemy, jeżeli najpierw nie wrócimy – zakonkludowałem.

Zapanowało milczenie.

– A gdyby wrócił tylko jeden z nas i rozpoznał sytuację? Rozpoznavszy, mógłby zawiadomić pozostałych.

– Który z nas? – zapytał Kogut, dając tym samym do zrozumienia, że nie uważa się za ochotnika.

– Ten, kto ma najlepsze kwalifikacje. Ktoś, kto jest chytry, przebiegły i zręczny.

Nasz wzrok padł na Lisa. Nasz, to znaczy Koguta i mój.

– Naprawdę uważacie, że ja się do tego nadaję? – próbował bronić się Lis. Obłudnie, jak to zwykle Lis. Bo wiadomo było, że jako Lis posiadał te wszystkie wymienione cechy, którymi powinien odznaczać się wywiadowca.

– Jesteś Lisem czy nie jesteś?

Lis opuścił głowę. Nie mógł przecież zaprzeczyć, że jest.

Następnego dnia żegnając Lisa po męsku panowaliśmy nad wzruszeniem.

– Poradzisz sobie – rzekł Kogut twardo i położył mu łapę na ramieniu. – Jesteś przecież najchytrzejszy ze wszystkich Lisów. Kto jak kto, ale ja się na Lisach znam i mogę poświadczyć.

– Tym bardziej, jeżeli się okaże, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. A nuż przywitają cię z otwartymi ramionami?

– Właśnie. W każdym razie jednego możesz być pewien: my zachowamy o tobie jak najlepsze wspomnienia.

Lis odjechał. Przez pewien czas nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Już zaczęliśmy się niepokoić, kiedy nadszedł telegram.

„Dla Lisów jest nieźle. Lis”.

Odetchnęliśmy z ulgą. Ulgą byłaby jednak znacznie większa, gdyby telegram nie był aż tak zwięzły. O mnie i Kogucie nie było w telegramie ani słowa. Prawdę mówiąc, już po pierwszym oddechu przestaliśmy odczuwać ulgę.

– Dla Lisów... – zadumał się Kogut posepnie. – To dobrze, że dla Lisów. Ale co z Kogutami?

– Może dla Kogutów także?

– Może, ale nie na pewno. W tym telegramie o mnie ani słowa.

– Ani o mnie.

– Głupi jest ten Lis! – zdenerwował się Kogut i podarł telegram.

Czekaliśmy na następną wiadomość. Nadeszła po pewnym czasie.

„Koguty mile widziane. Lis”.

Tym razem Kogut odetchnął z ulgą i nadal już tak oddychał. Poweselał i nabrał o Lisie lepszego mniemania.

– Rozumiem, dlaczego przedtem nic o mnie nie wspomniał. Bo co do mnie nie miał jeszcze pewności, a teraz ma. Mądry jest ten Lis i dobry Kolega.

– Ale o mnie dlaczego dalej nie pisze?

– Nie pisze, bo co do ciebie jeszcze nie wie na pewno. Więc ty musisz poczekać, ale ja już jadę.



Radziłem mu, żeby się tak nie śpieszył, bo głupio mi było zostawać samemu. Ale on nie chciał przyjąć mojej rady.

– Jak mile widziane to mile widziane. Spójrz, tu jest napisane wyraźnie. A nawet z tego wynika, że dla Kogutów widoki na przyszłość są jeszcze lepsze niż dla Lisów. „Mile widziane”, rozumiesz? To oznacza sympatię.

– A jeżeli telegram jest sfałszowany?

– Niemożliwe. „Koguty mile widziane”, tego się nie da sfałszować.

Przy pożegnaniu Kogut wyraził nadzieję, że wkrótce podążę jego śladem i wszyscy trzej odnajdziemy się w stolicy. To ładnie z jego strony, że jednak o mnie pomyślał, mimo że tak był zajęty myślami o czekającej go karierze, radośnie podniecony i niecierpliwy. Jak to Kogut.

Teraz już w samotności oczekiwałem na trzeci telegram. Codziennie chodziłem na pocztę i pytałem, czy nadszedł. Pewnego dnia, jak zwykle, wszedłem do urzędu pocztowego i zauważyłem, że na ścianie wisi portret, którego przedtem tam nie było. Portret przedstawiał dorodnego mężczyznę w kolorach naturalnych.

– Kto to jest? – zapytałem urzędnika, wskazując na portret ponad jego głową. Urzędnik obejrzał się, po czym powstał i stojąc na baczność odpowiedział głosem urzędowym:

– To nasz nowy, najukochańszy władca. Po czym usiadł i dodał, prywatnie już:

– Dzisiaj rano przysłali.

Wpatrywałem się w portret. Przywódca był w paradnym uniformie. Na głowie miał czako ozdobione pióropuszem z kogucich piór, a przy boku szablę, ozdobioną lisim ogonem.

– Owszem, jest coś dla pana – mówił dalej urzędnik i wręczył mi telegram.

Podziękowałem i wyszedłem. Dopiero na ulicy rozpieczętowałem i przeczytałem:

„Tobie też będzie dobrze. Przyjeżdżaj natychmiast. Kogut i Lis”.

Ukrywam się jednak do tej pory. Bo nie wiem, mam czy nie mam coś takiego, co by nasz nowy, najukochańszy przywódca mógł sobie gdzieś wetknąć czy przywiesić?

„Kultura”, 9/1984

## NA WIEŻY

Obwarował się pan na zamku.

Z najwyższej komnaty na najwyższej wieży ogląda przez strzelnicę swoje włości.

Najdalej – lasy. U samego horyzontu aż zniebieszczone od dalekości, czernieją dopiero, gdy wzrok bliżej się przesuwają. U tej strony okręgu stoją czarną ścianą.

Lasy trudne są do przebycia. Nie ma w nich dróg i najeźdźca przez nie by się nie przedarł nie tracąc przy tym machin oblężniczych i taboru. Więc najpierw lasy chronią kasztelana.

Przed kręgiem lasów – błonia zielone. Lecz zieleń ich zbyt zielona jest, po wielokroć zielona, zbyt natarczywie zielona, aby nawet w kimś, kto nie zna o niej prawdy, budziła zaufanie. Bo nie są to błonia, ale mokradła przepastne, z wierzchu tylko pokryte tą zbyt szczerą zielenią. Kto nie zna przejść, w nich utonie. Więc nawet gdyby lasy zawiodły, bagniska chronią kasztelana.

Zaś zamek na górze stoi, a góra otoczona jest u podnóża palisadą z ostrokołów, bierwiona ostro u końców są zaciosane. Przed palisadą głęboka fosa wodą wypełniona, druga taka sama po wewnętrznej stronie. Zadowolony patrzy kasztelan na ten potrójny pierścień pierwszej obrony.

Od mostu zwodzonego tylko ścieżka wykuta w skale, zakosami, stromo, pod górę prowadzi, a na samej górze mury zamkowe jeszcze wyżej ku niebu przenoszą niedostępną pionowość skał. Potężne to są mury, zwieńczone zębataymi blankami, basztami i wieżyczkami, na które z jeszcze bardziej wysoka spogląda kasztelan. I cieszy się, że ten pierścień drugiej obrony jeszcze bardziej go broni od pierwszego, bo całkiem już jest niedostępny i obronny.

I myśli sobie: nawet gdyby niepojętym jakimś cudem wróg przez te mury się przedostał – mnie nadal nie zagrozi, więc nadal będę spokojny. Bo wtedy stanie wróg u stóp cytadeli, przed zamkiem wewnętrznym, zamkiem w zamku, czyli pod najwyższą wieżą, która niezależna jest od reszty fortyfikacji, ma najgrubsze mury i wyposażona we własne zapasy przetrwa najdłuższe nawet oblężenie. Wejść do niej można tylko pojedynczo, nawet gdyby się udało sforsować wąskie, z trzech warstw dębowego drewna, żelazem okute drzwi, więc jakakolwiek byłaby liczba napastników, zawsze tylko jeden mógłby się przez nie przecisnąć, czyli tylko po to, żeby od razu zginać z ręki liczniejszych obrońców. Zaś z obszernej sieni schody znów wąskie do komnat coraz to wyżej i wyżej położonych prowadzą. Schody kręcone są w ślimacznice, wydrążone we wnętrzu grubej ściany, więc tylko wręcz i pojedynczo można wzwyż nacierać, z tym utrudnieniem, że obrońcy poręczniej, bo od góry, zadawać ciosy, a napastnicy za plecami pierwszego z nich nacierający nawet obrońcy nie widzą, tym bardziej nie mogą użyć ani włóczni, ani kuszy. Chytrze to jest zbudowane, myśli kasztelan i czuje się jeszcze bardziej, ostatecznie już prawie bezpieczny. Wie, że żaden wróg go nie dostanie przez tę trzecią, najsilniejszą, bo całkiem już pionową, wprost od nieba ku ziemi obronę.

Odwrócił się od strzelnicy, przekreślonej daleką, jakże na szczęście daleką linią horyzontu, i spojrzął pod nogi, na pierwszy, drugi i trzeci stopień w głąb schodowej czeluści. Bo stał w najwyższej komnacie, u jego stóp kończyły się schody, ostatnie licząc od dołu. Pod nim: w podłodze ta schodowa studnia. I myśli: niech nawet wyginą moi liczni i wierni żołnierze, tutaj ja sam jeden będę górą nad każdym napastnikiem. Nikt mnie tu nie dosięgnie, bo nikt nie zdąży się wznieść powyżej moich stóp.

A nawet, nawet... ach, cóż za niedorzeczne przypuszczenie, jaka niemożliwość. Więc gdyby nawet za sprawą jakiejś niemożliwości właśnie ujrzałbym przed sobą, na równi, przeciwko mnie zwrócone ostrze, to także się nie boję. Bowiem przyodziany jestem w zbroję takiej odporności, że żadne ostrze z największą nawet siłą pchnięte przebić jej nie zdoła. A wiem to na pewno, bo ta zbroja już wypróbowana.

I tu wreszcie, ach nareszcie, następuje kres jakiegokolwiek jego obawy. Wszystkie jego lęki, choćby najmniejsze czy choćby najbardziej urojone tu się skończyły, na powierzchni stalowego jego pancerza. Pod zbroją już tylko spokój ma, więc teraz myśli już tylko o tym spokoju. Triumfalnie, z ulgą i ukojeniem myśli, jakież on, ten spokój, ostateczny jest, bezbrzeżny i niezakłócony.

Wtedy poczuł, że coś uderza,  
Nie przez lasy...  
Nie przez łąki – trzęsawiska...  
Nie o palisadę...  
Nie w mury zamku...  
Nie w okute żelazne drzwi wieży...  
Nie w zbroję...

...tylko w zbroję, ale od jej wewnętrznej strony. Najwyraźniej coś uderzało w pancerz od środka.

– Zdrada! – krzyknął kasztelan. Zrzucił pancerz, porwał sztylet i pchnął w to miejsce po lewej stronie piersi, skąd atakował nieznany przeciwnik.

I umarł.

„Tygodnik Powszechny”, 14-15/1983

## STRAŻNIK CHIŃSKIEJ WAZY

W stolicy wielkiego, współczesnego państwa znajduje się muzeum, a w tym muzeum dział poświęcony sztuce orientalnej. Pośród nader licznych eksponatów w tym dziale liczne należą do rzadkości i jako takie przedstawiają ogromną wartość zarówno kulturalną, jak pieniężną. Wśród rzadkości wyróżnia się unikat, czyli egzemplarz jedyny swego rodzaju, jedyny na całym świecie. Ponieważ jest to unikat – jego wartość kulturalna jest niezastąpiona; a wartość pieniężna niewymierna w cenie.

Tym unikatem była pewna chińska waza. Jej unikalność zaś tym większa, że znaleziono ją nie w całości, ale w postaci tysiąca dziewięciuset osiemdziesięciu dwóch skorup, a raczej kawałeczków. Każdy z tych kawałeczków odnajdywano po kolei przesiewając w ciągu piętnastu lat muł rzeczny wydobywany z dna wielkiej chińskiej rzeki, muł suszony w specjalnych warunkach, następnie przesiewany przez specjalne archeologiczne sita. Z odzyskanych w ten sposób cząsteczek odgadnięto całość, oczywiście nie od razu, lecz stopniowo, w ciągu następnych lat siedmiu. Zaś jeszcze siedem lat musiało upłynąć, zanim zdołano wazę, pięć tysięcy lat temu rozbitą na tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dwa kawałeczki rozrzucone na dnie wielkiej rzeki skleić z powrotem, czyli odtworzyć ją taką, jaką była.

Ze względu na niewymierną po prostu wartość tego eksponatu wyznaczono mu w muzeum specjalne miejsce oraz przydano mu specjalnego strażnika. Zazwyczaj strażnicy w muzeach dają baczenie na pewną ilość eksponatów jednocześnie, ale w tym wypadku zadaniem strażnika było pilnowanie tylko tej jednej jedynej chińskiej wazy. Ów strażnik miał więc zadanie łatwiejsze niż jego koledzy, ale też nieskończenie bardziej odpowiedzialne.

Z uwagi na tę właśnie odpowiedzialność zadania długo szukano, zanim wybrano odpowiedniego kandydata. Mężczyznę w sile wieku, bez nałogów, zrównoważonego, szczęśliwego małżonka i ojca, uczciwego, o silnym poczuciu obowiązku. Obok wazy chińskiej ustawiono krzeselko, na którym miał odtąd siedzieć przez osiem godzin dziennie, przez sześć dni w tygodniu i jedenaście miesięcy w roku – jedenaście, ponieważ przysługiwał mu jeden miesiąc corocznego urlopu. Na czas tego jednego miesiąca muzeum zamykano, aby dokonać niezbędnych remontów i reorganizacji.

Eksponat strzeżony tak pilnie – strażnik nie spuszczał go z oka ani przez chwilę, to właśnie było jego zadaniem – skutecznie był tym samym chroniony przed niebezpieczeństwami, jakie grożą muzealnym eksponatom. Potencjalny rabuś czy wandal, gdy zbliżał się do wazy w tłumie zwiedzających, wiedział z góry, że tu nie ma dla niego żadnych szans. Nieustanna i czujna obecność strażnika udaremniała zawczasu kradzież czy nieobliczalny wybryk. Oddalał się więc ku innym rejonom, gdzie mógł próbować szczęścia. O ile więc w ciągu lat zdarzyły się w muzeum kradzieże i akty wandalizmu, to nigdy wobec wazy chińskiej, ani nawet w jej pobliżu. Maksymalna czujność sprawiła, że wokół wazy panował maksymalny i nigdy niczym nie zakłócony spokój.

Ów spokój nie usypiał jednak czujności dozorczy. Przeciwnie. Im dłużej trwał, a minęło już sporo lat, odkąd został dozorcą, i wciąż mijały następne – tym czujniej pilnował powierzonego mu skarbu; tym podejrzliwszym okiem obrzucał zwiedzających. Bowiem doświadczenie uczy, że im dłużej coś się nie zdarza, tym bardziej rośnie prawdopodobieństwo, że się zdarzy. Zaś jednocześnie niezmierna wartość wazy wcale nie przestawała być niezmierną wraz z upływem lat, w ciągu których nikt nie próbował na nią zamachu, lecz – również przeciwnie – rosła, nie w liczbach, bo niewymierność, czyli nieskończoność, rosnąć nie może, lecz w sile legendy i mitu. Bowiem im dłużej trwa nietykalność mitu, tym bardziej wzrasta mit i tylko profanacja może ten wzrost zatrzymać. Więc do owej chińskiej wazy coraz to większą przywiązywano wagę jako do wartości kulturalnej i materialnej coraz to bardziej legendarnej.

Powoli lecz stale stróż bezcennej wazy zbliżał się do wieku emerytalnego. W dalszym ciągu prowadził szczęśliwe życie rodzinne, awansował w uznaniu za służbę pełnioną tak nienagannie w ciągu tylu lat i dzięki oszczędnościom – jak wiadomo, był człowiekiem bez nałogów – stał się właścicielem małego domku z ogródkiem.

Nadszedł nareszcie dla niego ostatni dzień służby, już nazajutrz miał przekazać swoje stanowisko następnemu pokoleniu i znaleźć się w stanie – emerytalnego spoczynku. W recepcyjnych salach trwały przygotowania do uroczystości. Wieczorem miano pożegnać zasłużonego pracownika, wręczyć mu medal i dyplom uznania, po czym miał odbyć się bankiet z udziałem dyrekcji, przedstawicieli ministerstwa i kolegów. Jak zwykle objął posterunek, lecz po raz pierwszy ogarnięty przecuciem, że stanie się coś nadzwyczajnego. Bo oto jego szósty zmysł strażnika, w dodatku rozwinięty przez trzydzieści lat służby, podpowiadał mu, że dzisiaj zdarzy się coś, co dotąd nie zdarzyło się nigdy. Jego niepokój był więc zrozumiały. Obawiał się, że właśnie dzisiaj, kiedy po raz ostatni pełnił swój obowiązek, ów obowiązek, z którego zdołał wywiązać się nienagannie aż przez lat trzydzieści – ktoś targnie się na świętość, którą chronił, i zrujnuje całą jego karierę, jeżeli on świętokradztwu zapobiec nie zdoła.

Zaostrzył więc swą dotychczasową, przez tyle lat ćwiczoną i wzmaganą czujność do ostateczności. Niemal przeszywał wzrokiem każdego, kto zbliżał się do sanktuarium, przewidywał każdy krok i każdy ruch, wyprzedzał każdy szelest i każdy niemal oddech. Zamierał w nieustającym pogotowiu, by za najmniejszą oznaką zagrożenia skoczyć, zapobiec, nie dopuścić i udaremnić. Jakże wolno mijały sekundy przez wiele, wiele godzin. Zaś im dłużej nic się nie działo, tym bardziej rosło jego przekonanie, że nareszcie coś stać się musi.

Już było późne popołudnie, już zmierzch i bliski koniec udreki. Lecz tymczasem jego przecucie niezwyklego wydarzenia zamieniło się w pewność i kiedy rozległy się dzwonki, oznaczające publiczności, że czas opuścić muzeum, nie mógł uwierzyć, że dzień minął i nic się jednak nie stało. Ani dzisiaj, ani przez ostatnie trzydzieści lat.

Nie mógł uwierzyć do ostatniej chwili, nawet wtedy, kiedy ostatni zwiedzający zniknął w odległych drzwiach, i później, kiedy w muzealnej sali pozostał już tylko on sam, sam jeden obok chińskiej wazy, w dalszym ciągu nietkniętej, nienaruszonej. I bezcennej.

Rozbić ją było łatwo. Dokonał tego z łatwością w ciągu paru sekund, przy pomocy laski. Od pewnego czasu cierpiał na reumatyzm i nosił grubą laskę. Rozbiwszy eksponat na tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dwa kawałki pomnożył jeszcze tę liczbę przez trzy – miażdżąc każdy kawałek z osobna obcasami. Następnie opuścił muzeum bocznym wyjściem, nie zauważony przez nikogo.

Oddalał się z poczuciem, że jego życie nie minęło bez sensu. Bowiem okazało się, że jego trzydziestoletnia czujność była całkowicie uzasadniona. Niebezpieczeństwo, któremu miał przeciwdziałać, okazało się realne. W dodatku czuł się rześko, jakby odmłodzony. Nawet nie o trzydzieści, ale o pięć tysięcy lat.

„Tygodnik Powszechny”, 10/1983

## KRAWIEC

Krawiec wpisał ostatni wymiar do notesu, zwinął taśmę i zapytał:

– Pan życzy jednostronne czy dwustronne?

– To znaczy, dwurzędówkę czy jednorzędową?

– Nie. Pan życzy sobie mieć ubranie zwyczajne, z materiału, co ma dwie strony, czy ekstra, z takiego, co wygląda tylko z jednej strony.

– Jak to... wygląda...

– To znaczy, co jest tylko z jednej strony.

– A druga?

– Drugiej w ogóle nie ma.

Przyjrzałem mu się uważniej. Krawiec jak krawiec. Przeciętny, małomiasteczkowy, introwertycznie melancholiczny, bez perspektyw. I nagle coś takiego...

– To jednostronne będzie tańsze? – zapytałem, nie tyle dbając o cenę, ile żeby nie ujawnić zaskoczenia. Krawiec powiedział to tak poważnie, jakby chodziło o rzecz oczywistą, która nie powinna mnie dziwić. Ale może to był tylko żart.

– Nie, droższe oczywiście.

– Dlaczego? Dwie strony to więcej niż jedna.

– Ale jedna to lepiej niż dwie.

– Dlaczego lepiej?

– Bo z jedną nie ma wątpliwości. Jest tylko jedna i już. A z dwiema są zawsze kłopoty.

– Jakie kłopoty?

– Nigdy się panu nie zdarzyło włożyć czegoś na lewą stronę?

– Owszem, ale ostatecznie jaki to kłopot...

– Taki, że wtedy pan jest po prawej stronie.

– Wystarczy zdjąć i przełożyć na prawą.

– A właśnie. I wtedy jest pan po lewej. Zawsze jest pan po jakiejś stronie. Jak nie prawej, to lewej, jak nie lewej, to prawej. A z jednostronnym tego nie ma.

– Ale wtedy też jestem po jakiejś stronie tej jednej strony.

– Nie, bo ta jedna strona ma tylko jedną stronę. Z drugiej strony w ogóle nie ma żadnej strony, więc pan nie może po niej być.

– Ale wobec tego, jeżeli jestem po tej stronie, której nie ma, to gdzie jestem?

– Nigdzie, oczywiście. Ale to musi kosztować.

– Dużo?

Krawiec spojrzął do notesu, potem wykonał kilka mnożeń i dodał wyniki.

– Tyle – powiedział, podsuwając mi notes i wskazując sumę końcem ołówka.

– Jezu! – krzyknąłem. – Kogo na to stać!

– Nikogo – rzekł krawiec i zamknął notes. – Więc jak?

– Niech pan szyje zwyczajne.

„Tygodnik Powszechny”, 28/1983

## HODOWLA

Przyszedł do mnie Kogut, bardzo zdenerwowany.

– Podobno Lis zakłada hodowlę kur. To niedopuszczalne.

– Dlaczego? Hodowla to organizacja, czyli cywilizacja.

– Jak to, dlaczego. Przecież wiadomo, do czego Lisowi potrzebne są kury. To jest zbrodnicze przedsięwzięcie. Należy przeciwdziałać.

– Jak?

– Musimy rozmówić się z Lisem.

– Ja też?

– Chodź ze mną, potrzebuję cię jako świadka.

Lisa zastaliśmy przed lokalem dopiero co wynajętym. Właśnie przybijał do drzwi tabliczkę:

„Hodowla drobiu. Kierownictwo: Lis”.

– Zdejm to w tej chwili! – krzyknął Kogut.

– Dlaczego? To jest solidna firma i musi posiadać swoje biuro.

– Ty, powiedz mu – zwrócił się do mnie Kogut.

– Kogut obawia się, że zakładanie hodowli drobiu przez Lisa jest niewłaściwością.

– Tak myśli? – zmartwił się Lis.

– To może wywołać reperkusje. Krytycyzm, można sądzić, uzasadniony, to znaczy pewne podejrzenia, przypuszczenia co do rzeczywistych celów przedsiębiorstwa.

– Doprawdy? A czemuż to?

– Z uwagi na twój stosunek do kur.

– Ja mam czyste intencje, a ludzie mówią byle co. Mnie chodzi o dobro kur. Pragnę im zapewnić godziwe warunki egzystencji.

– Aha, czyste intencje! – oburzył się Kogut szyderczo. – A jaki będziesz miał personel?

– Też lisy, oczywiście. Sami fachowcy.

– Proszę – zwrócił się do mnie Kogut. – Czy to nie jest bezczelność?

– Obawiam się, że Kogut ma rację. Hodowanie kur przez lisy, tego opinia publiczna nie może przyjąć bez zastrzeżeń.

Lis zamyślił się głęboko.

– Ha, jeżeli obaj jesteście tego zdania... Mogę się wycofać. Ja osobiście nie mam żadnych ambicji. Ja tylko chciałem dobrze dla kur.

– Rezygnujesz naprawdę? – zapytał Kogut z niedowierzaniem.

– Oczywiście. Tylko mi żal, że upada tak piękny projekt mający na celu dobro społeczne.

– Ustępujesz bez sprzeciwu?

– Jak mam cię inaczej przekonać, że mnie wcale nie zależy ani na interesie, ani na kierowniczym stanowisku?

– Jakoś nie mogę ci uwierzyć.

– Wobec tego założmy hodowlę lisów przez kury.

– Poważnie?

– Jeżeli nie wypada, żeby lisy hodowały kury, to niech kury hodują lisy. W ten sposób opinia publiczna będzie zadowolona. Ja będę poza wszelkim podejrzeniem. Tym bardziej, że ciebie mianujemy dyrektorem.

– Dlaczego mnie? – zdziwił się Kogut, ale jakoś nie za bardzo.

– Nie widzę lepszej kandydatury. Jesteś wybitnie uzdolniony, energiczny, a przy tym piękny. Dyrektor powinien mieć dobrą prezencję.

– Muszę to przemyśleć – rzekł Kogut po chwili. – Ostatnio jestem bardzo zajęty.

– Czy możemy jednak liczyć?

– Niczego nie obiecuję. Ostatnio proponują mi wiele kierowniczych stanowisk.

– To zrozumiałe. Będziemy jednak czekać. Rozstaliśmy się. W parę dni potem przechodziłem tamtędy. Na drzwiach lokalu widniała tabliczka: „Hodowla lisów. Kierownictwo: Kogut”.

W poczekalni tłoczyły się młode, tłuste, smakowite kury.

– Czy jest pan dyrektor? – zapytałem kurę w sekretariacie.

– Zajęty. Właśnie angażuje personel. Poczekaj pan?

– Nie, może innym razem.

W parku spotkałem Lisa. Siedział na ławce i czytał gazetę.

– Co porabiasz? – zapytałem.

– Na razie nic. Czekam na otwarcie tego przedsiębiorstwa – odrzekł i oblizał się.

„Tygodnik Powszechny”, 24/1983



## ŚPIĄCA KRÓLEWNA

Na łożu wśród kwiatów, pod wiekiem z kryształu – spała Śpiąca Królowna.

Była piękna, dobra i rozumna, lecz jej uroda, dobro i rozum spały wraz z nią. Była, lecz spała, więc jakby jej nie było. Tylko jej uroda ukazywała się przez wieko przeźroczyste, ale nie zalety jej charakteru. Od niepamiętnych czasów pogrążona we śnie, a życzliwe krasnoludki otaczały ją kołem, broniły przystępu zbójcom i dzikim zwierzętom. One wiedziały, że tylko Wędrowny Królewicz miał prawo zbliżyć się do niej. Ale nie było pewne, że Królewicz przyjdzie ani też, że nie przyjdzie.

Jakaż więc była ich radość, kiedy pewnego majowego ranka zobaczyły wierne krasnoludki Królewicza, co wędrując, szczęśliwym trafem zapuścił się w te okolice. „Tutaj! Tutaj!” – zaczęły wołać i już zdejmują wieko kryształowe.

Zbliżył się Królewicz. Patrzy i widzi – jakże piękna jest ta Śpiąca Królowna. Ulegając przemożnemu odruchowi, nachylił się i złożył pocałunek na jej ustach bladioróżanych. Tak właśnie, jak było przewidziane.

Królowna oczy otwiera, budzi się i widzi pochylonego nad nią Królewicza. Zarzuca mu na szyję ramiona, a krasnoludki dookoła tańczą z radości. A równie z zadowolenia, że skończył się ich dyżur przy Królownie i nareszcie będą mogły się zająć swoimi sprawami.

Kiedy krasnoludki oddaliły się w podskokach, Królewicz nadal trwał w objęciach Królowny, a ona go obejmowała. Aż zaczęły go boleć plecy, nieznacznie przysiadł więc na krawędzi łoża kryształowego, lecz wciąż nad Królowną nachylony i wciąż przez nią obejmowany – zasadniczo pozycji zmienić nie mógł. Więc po jakimś czasie zapytał:

– Co teraz będzie?

– Teraz pozostaniemy tak na zawsze – odparła Królowna.

– Na zawsze? – zdziwił się Królewicz.

– Oczywiście. Czy nie po to mnie obudziłeś składając pocałunek na moich ustach bladioróżanych?

– Ależ, Królowno moja, czy nas to nie znudzi?

– Nie rozumiem, o czym mówisz. Przecież to jest szczęście.

Stropił się Królewicz i już nie dyskutował, bo mu nie wypadało. Aż po jakimś czasie znowu spróbował, lecz tym razem starając się swój subiektywny punkt widzenia przedstawić niejako obiektywnie.

– „Widzisz, moja droga Królowno, subiektywnie najzupełniej się z tobą zgadzam, ale obiektywnie rzecz przedstawia się tak: jestem Wędrownym Królewiczem, tak zaprogramowanym, to znaczy do tego przeznaczonym, żeby wędrować po świecie w poszukiwaniu Śpiących Królowien. Jak tylko jaką Śpiącą Królowną widzę, zbliżam się i składam pocałunek na jej ustach bladioróżanych. Wtedy ona się budzi, ale co potem, to już nie jest w moim zakresie. Więc mnie od początku w drogę by trzeba.

– Jakich Śpiących Królowien?... Przecież to ja jestem Śpiącą Królowną.

– O, tak! Oczywiście. To znaczy Królowna jak najbardziej, ale już nie Śpiąca. Ty już nie śpisz, podczas kiedy inne, biedaczki, wciąż jeszcze pogrążone są w głębokim śnie i czekają na przebudzenie.

– Jakże inne? – zapytała Królowna takim tonem, że Królewicz wołał już nie rozwijać tematu.

– A, jakieś tam. Mniejsza z tym.

Królowna poprzestała na tej niewystarczającej odpowiedzi, ponieważ jako się rzekło – była rozumna. Więc tylko, teraz ona z kolei, postarała się przedstawić Królewiczowi swój subiektywny punkt widzenia niejako obiektywnie:

– Masz rację, że jestem Królowną, ale już nie Śpiącą. Ale przecież to ty właśnie mnie obudziłeś i teraz już nie zasnę. Więc jeżeli teraz ty sobie pójdiesz i nie będę cię już trzymać w moich ramionach, to kim mam być i co ze sobą zrobić?

Zafrasował się Królewicz.

– To jest rzeczywiście problem i coraz silniejsze mam wrażenie, że ta bajka jest fatalnie napisana. Autor zaprogramował nas w taki sposób, że wszystko się zgadza tylko do pewnego momentu, a potem zaczynają się sprzeczności. Potrwajmy więc w tej pozycji, a może autor się zreflektuje, coś skreśli, coś doda, coś zmieni... I może rzecz się wyjaśni.

Tak powiedział Królewicz, choć plecy bolały go coraz bardziej, lecz rozumiał położenie Królowny i szczerze z nią sympatyzował. Trwali więc, lecz ani Królowna nie była szczęśliwa, bo nie miała pewności, że będą tak trwali wiecznie, ani Królewicz, bo nie był pewien, że tylko tymczasowo. Aż po pewnym czasie Królewicz tak się odzywa:

– Zapaliłbym sobie, ale mi się skończyły zapałki. Czy pozwolisz, że po zapałki sobie skoczę?

– Ale czy wrócisz? – zapytała Królowna, ponieważ była mądra.

– Oczywiście, że wrócę. Ja tylko po zapałki i z powrotem. Okropnie palić się chce.

Zamyśliła się Królowna. Z jednej strony jej mądrość nakazywała jej sceptycyzm, z drugiej strony jej dobroć – a była dobra, jako się rzekło – sprawiała, że było jej żal Królewicza gnębionego głodem nikotyny. Jakże tu tak męczyć ukochanego. Więc powiedziała ze smutkiem, bo mądrość z dobrocią się nie pogodziły:

– Idź.

Poszedł Królewicz. Palić mu się rzeczywiście chciało i zapałek rzeczywiście potrzebował – więc pod tym względem był prawdopodobny. Co do reszty... Miał nadzieję, że przy pomocy tej częściowej prawdy uda mu się zagłuszyć wyrzuty sumienia w sprawie całości. Bo cała reszta była kłamstwem. Więc Królewicz miał nadzieję, że częściową prawdą odkupi w sumieniu swoim kłamstwo całościowe. Płonną, oczywiście.

Jak płonna była to nadzieja, zaraz się przekonał. Bo za karę został zamieniony w żabę, w ohydną ropuchę. I tak długo ma tą ropuchą pozostać, aż – według innej już bajki – spotka pewną Królowną, która będzie miała aż tak dobre serduszko, że nie zważając na ohydę płaza złoży swymi ustami bladioróżanymi pocałunek na jego zawrzdziałej mordzie. Wtedy dopiero z powrotem się w Królewicza zamieni.

„Tygodnik Powszechny”, 12/1983

## W ŚRODKU TRANSPORTU

Tak, tego się spodziewałem, tego się bałem, to musiało się stać. Staruszka miała lat sto, czy tylko osiemdziesiąt, wszystko jedno – nie zaliczała się do osób, które mimo podeszłego wieku dość mają sił i zdrowia nie tylko żeby żyć, ale jeszcze żeby upominać się o prawo do życia. Zatrzymała się tuż przede mną i naprawdę słaba była i chora, chora ze starości i pewnie na dodatek na jakąś chorobę, zbyt słaba, żeby spojrzeć na mnie wzrokiem pełnym oburzenia, wyrzutu bodaj. Raz tylko na mnie popatrzyła, ale pokornie, z niepewną i nieśmiałą prośbą, a widząc, że bez skutku – zawstydziała się, jak gdyby zażądawszy prawa, które jej nie przysługuje, jak gdyby przeprasząc za bezczelność, i już tylko wpatrywała się w podłogę, a może w swoje własne wewnętrzne nieszczęście.

Stała nie tyle przede mną, ile nade mną, bo ja siedziałem wygodnie, młody i rumiany człowiek, i co gorsza, z rakieta tenisową na kolanach, co wskazywało, że byłem zdrowszy i silniejszy nawet od wielu ludzi w moim młodym wieku, nie wszyscy przecież uprawiają sport. Mój biały strój, niezwykły o tej porze i w tym autobusie wypchanym szarymi ludźmi, świadczył, że jestem wolny od codziennej, niewolniczej pracy i bez troski o źródła utrzymania. Jeżeli ktokolwiek powinien ustąpić jej miejsca – tym kimś byłem przede wszystkim ja.

Może dlatego właśnie nikt inny się nie pokwapił. Woleli skazać mnie na swoje powszechne oburzenie, na pęgiery swoich nienawistnych (jakże słusznie nienawistnych) spojrzeń, woleli swoje prawo do świętego na mnie oburzenia i swoje zadowolenie z egzekwowania tego prawa, niż ulżyć staruszkowej doli. Gdyby któryś z nich wołał miłosierdzie i solidarność – pozwoliłby staruszcze usiąść, ale wtedy właśnie osłabłoby to podniecające napięcie publicznego oskarżenia, któremu byłem poddany. Incydent byłby zażegnany niejako. A właśnie owej rozkoszy – rozkoszy słusznego oskarżenia, słusznego gniewu – nie chcieli się wyrzec. Ten gniew był ich nieoczekiwanym świętem, ich luksusem w pustej biedzie powszedniego autobusu. Krzepki, sprawiedliwy gniew ich wypełnił za moją przyczyną, a jeszcze przed chwilą – półdrzemiac – nie mieli pojęcia, czym by tu siebie wypełnić, szukali czegoś w sobie niemrawo i bez nadziei. Cóż za niespodziewana łaska, podarunek losu. Dlaczegoż by więc mieli się jej wyrzekać?

– Byle tylko nie skołała, zanim wysiądzie z autobusu – modliłem się udając, że obserwuję ruch uliczny i fasady kamienic, co mi pozwalało nie dostrzegać niby jej obecności ani obecności innych pasażerów. Wtedy bym się już w ogóle z tego nie wykręcił, pobiliby mnie na pewno, a kto wie, może i przed sąd powlekli? Społeczeństwo lubi uprawiać publicznie cnoty. „Skażany za współpracę ze zgonem”. I moja fotografia w gazetach, najpierw w tenisowym stroju, a potem w drelichu więziennym, z łopata, na tle pejzażu przedstawiającego jakieś na szeroką skalę zakrojone roboty wodno-melioracyjne powierzone ofiarnej pracy mieszkańców obozu pracy. Żeby podkreślić klasowy charakter mojego moralnego przestępstwa.

A może mi się poszczęści i nie tylko tu przede mną, siedzącym, nie umrze na stojąco, ale przeciwnie, wysiądzie na następnym przystanku, który właśnie się zbliża? Nie, oczywiście nie wysiadła, autobus znowu ruszył i jedziemy dalej w komplecie: ja, ona i oskarżycielski chór.

Jak zwykle nie spełniło się żadne skrajne przypuszczenie ani nadzieja, ani obawa. Ugodziły się między sobą, strach opuścił połowę, nadzieja połowę i ostatecznie staruszka wysiadła, żywa, ale dopiero na ostatnim przystanku.

Koło północy autobus zajechał do remizy. Poza kierowcą i mną nie było w nim już nikogo. Kierowca wysiadł, ja zostałem. Po czym weszli ci dwaj z narzędziami i odkręcili śruby, solidne, każda z podkładką pod mutrą, z głowicą typu „Philips”, zakręcone do maksymalnego oporu pneumatycznym, nie ręcznym śrubokrętem – dla większej pewności – przy pomocy których byłem przymocowany do siedzenia.

## KOEGZYSTENCJA

Ksiądz proboszcz zastał w domu diabła. Ten miał na głowie czerwoną, dżokejską czapeczkę, siedział przy stole i patrzył na człowieka – księdza w tym wypadku – uważnie. Bowiem diabeł, w przeciwieństwie do człowieka, nie jest roztargniony. Nie podzielony między dobro i zło, a tylko całkowicie poświęcony złu, wolny jest od rozterki, co pozwala mu zachować pełną koncentrację w każdej sytuacji.

Działo się to o zmierzchu, kiedy ksiądz wrócił do domu po spełnieniu codziennych obowiązków parafialnych. Ujrawszy diabła, westchnął jak drwal, który przez cały dzień ścinał sosny w lesie, a wieczorem zobaczył, że w jego izbie wyrósł tymczasem dąb.

Wiedział jednak z doświadczenia i wykształcenia, że diabeł trwa, to znaczy nie podlega fluktuacjom, przyptywom i odpływowom, wzmagananiu i zanikaniu, rytmowi pracy, i odpoczynku, snu i jawy. Więc nie zdziwił się aż tak, jakby się zdziwił drwal, a tylko – i tu odpowiednie jest porównanie z drwalem – podwójnie odczuł zmęczenie.

– Czego? – zapytał krótko i niezbyt gościnnie.

– Właściwie to niczego, po prostu jestem – odparł diabeł. Księdzu przyszły do głowy wszystkie interpretacje diabelskości, wszystkie możliwe spekulacje na temat natury diabła oraz egzorcyzmy. Odruchowo przymierzył do sytuacji ten, to znowu inny sposób na wypędzenie diabła. Było ich jednak tyle i po dniu pełnym czynności czuł się tak wyczerpany, że nie zdecydował się na żaden. Już chciał powiedzieć: „No to sobie bądź”, ale powstrzymał się, bo taka zgoda na istnienie zła byłaby niewłaściwością.

– Rozumiem – powiedział diabeł. – Ale się nie obawiaj. Ja też dam spokój, nie będę cię ani kusił, ani motał żadnych intryg i podstępów. Posiedzę sobie, to wszystko.

– Oczywiście kłamie – pomyślał ksiądz. – Kłamstwo leży w jego naturze. Należałoby go przepędzić. Jeżeli chce sobie posiedzieć i nic więcej, to dlaczego akurat u mnie, dlaczego nie gdzie indziej? Ale niech najpierw zdejmę buty i włożę pantofle. Gdybym był młodszy... Ale wiek robi swoje. Nie jestem już tak szybki jak dawniej.

Zdjął buty włożył pantofle, zaparzył herbatę. Kątem oka obserwował diabła. Ale ten dotrzymywał obietnicy. Nie odzywał się, siedział skromnie, nie zdjął nawet czapki, co wskazywało na to, że nie zamierzał się rozgościć, i w ogóle nie przejawiał żadnej z tych aktywności i przedsiębiorczości, z których był znany.

– Wypiwszy herbatę ksiądz, nie tyle z chęci lektury, ile żeby zyskać na czasie, wziął do ręki książkę o treści niekontrowersyjnej. Ale dzięki temu właśnie powieki, które z trudem utrzymywał nad źrenicami, zaciążyły mu jeszcze bardziej, nie mógł ich utrzymać. Kiedy drzemka zamieniała się w półdrzemkę, widział diabła bez zmian, grzecznie siedzącego przy stole, ale jakby w oddaleniu. „Ciekawe, że mi jednak nie przeszkadza. Powinien przecież czegoś chcieć ode mnie, a nawet jeżeli niczego na razie nie chce, podejrzenie, że to tylko podstęp, powinno mi nie dawać spokoju. Nigdy dosyć czujności wobec diabła. Zabiorę się do niego, ale nieco później, kiedy wypocznę”.

– Jeszcze tu jesteś? – zapytał, kiedy ponownie ocknął się z drzemki. Diabeł potwierdził tylko skinieniem głowy. Był oczywiście i najwidoczniej, to nie wymagało aż słownego potwierdzenia. Siedział nadal skromnie, jak gdyby w poczekalni, to znaczy jakby nie miał żadnego interesu w tym pomieszczeniu, w którym się znajdował, nie zdjawszy nawet tej swojej czerwonej, groteskowej czapeczki. „Nie jest napastliwy” – pomyślał ponownie proboszcz, a jeżeli coś knuje, zawsze będzie dość czasu, żeby temu zapobiec. A poza tym...” – i wtedy chciał proboszcz zażegnać pewne jednak wyrzuty sumienia – „Jeżeli nawet jest tutaj, to znaczy, że nie ma go gdzie indziej. Mnie on nie szkodzi, tu go mam na oku i dopóki tu jest, nie może szkodzić innym nie będąc tam, gdzie go teraz nie ma. Ostatecznie lepiej tak, niż go przepędzić, czyli wysłać go dokądś, gdzie nie wiadomo jakie szkody by poczynił. Niech sobie więc siedzi, bo jeżeli ktoś na tym traci, to tylko on sam”.

I ułożył się do snu już na dobre i spędził pierwszą noc z diabłem. Bo diabeł, kiedy ksiądz się obudził o świcie, siedział nadal przy stole, wciąż w tej błazeńskiej czerwonej czapeczce na głowie,

niezmiennie. Diabeł nie podlega zmęczeniu i nie potrzebuje wypoczynku. Ksiądz zdziwił się, że mimo obecności diabła spał jak zazwyczaj, głęboko i bez złych snów.

Kiedy ksiądz opuszczał domostwo, żeby odprawić mszę poranną, diabeł odprowadził go do drzwi spojrzeniem, nie ruszając się jednak z miejsca. Tym samym spojrzeniem powitał go wieczorem, gdy ksiądz powrócił do domu. Zachowywał się jak wierny, dobrze wychowany pies, z tą tylko różnicą na swoją korzyść w porównaniu z psem, że nie potrzebował żadnego starania i opieki. Ksiądz przypomniał sobie o wczorajszym postanowieniu, żeby diabła przepędzić, ale jednocześnie przypomniał sobie argumenty, które sprawiły, że nie przepędził go wczoraj. „On mi nic nie robi, to i ja mu nic nie robię. U mnie jest nieszkodliwy. Kiedy już musi być, to niech chociaż będzie beczynny. Lepiej, żeby siedział tu, gdzie mi nie szkodzi, niż żeby stąd poszedł i szkodził ludziom. A niech no tylko ze mną spróbuje, pokażę ja mu wtedy egzorcyzmy!”

Lecz diabeł nie próbował. Wystrzegał się jakiegokolwiek, najmniejszego bodaj konfliktu ze swoim gospodarzem. Wszystko, czego potrzebował, to tylko miejsce przy stole.

Kiedy nie był pytany, nie odzywał się, a ksiądz nie pytał go o nic. Spokój za spokojem. Może wydać się dziwne, że proboszcz nie korzystał z okazji, aby dowiedzieć się czegoś o przeciwniku w bezpośredniej i niejako towarzyskiej rozmowie. Czy nie chciał wdawać się w żadne z nim dyskusje pamiętając, że z diabłem dyskutować nie należy? Zapewne. Wiedział, że diabeł tylko na to czeka. Przecież dlatego właśnie chciał go wyrzucić na początku, obawiał się, że diabeł tylko po to przyszedł, żeby go wciągnąć w rozmowę. I później pozwolił mu zostać tylko dlatego, że diabeł się nie odzywał. Miał się więc na baczności, żeby nie zacząć tego, czego nie zaczynał diabeł. Ale też – ksiądz nie był już człowiekiem młodym i niedostateczna była już jego ciekawość. Zwłaszcza w porównaniu z wysiłkiem, jakiego by musiał dokonać, żeby ją zaspokoić. Nie podjąłby tego wysiłku nawet wtedy, gdyby zasadnicze względy nie wchodziły w grę. Wracał do domu zmęczony, znajdował diabła na swoim miejscu, nie odzywali się do siebie. Ksiądz szedł spać, diabeł czuwał. I tak się między nimi ułożyło.

Pewnego razu odwiedził parafię biskup. Znalazł kościół w doskonałym stanie, duszpasterstwo wzorowe. Nie darmo proboszcz trzymał się od świtu do nocy, dlatego przecież wracał do domu tak zmęczony, że nie zwracał uwagi na diabła.

– Chętnie byśmy obejrzeliby jeszcze i plebanie – powiedział biskup na zakończenie.

Proboszcz przypomniał sobie, jakiego to domownika biskup u niego zobaczy, i przeraził się. Ale odmówić nie mógł. Przekonany, że oto koniec wszystkiego, pewny nieuniknionego skandalu, bezgranicznej kompromitacji i nieobliczalnego nieszczęścia, przeklinając w myśli diabła i swoją własną lekkomyślność, dlaczego nie wyrzucił go z domu już pierwszego dnia, dlaczego zwlekał, na co czekał – otworzył drzwi. Więc jakież było jego zaskoczenie i ulga, kiedy mieszkanie okazało się puste. Diabeł zniknął. Proboszcz nie mógł się oprzeć uczuciu wdzięczności dla diabła, choć zdawał sobie sprawę, że uczucie to było w najwyższym stopniu niewskazane, poniżające i niegodne. Diabeł bo diabeł, ale kiedy trzeba, urnie zachować się przyzwoicie i po koleżeńsku.

Biskup rozejrzał się i już miał pochwalić skromne, samotnicze gospodarstwo, gdy dostrzegł czerwoną dżokejską czapkę, którą diabeł pozostawił na stole. Z niemym zapytaniem przeniósł wzrok na proboszcza, bo wydało mu się dziwne, aby czcigodny opiekun parafii używał tak niepoważnego, tak ośmieszającego stanu duchowny nakrycia głowy. Dziwne i niestosowne.

– To... to mój siostrzeniec. Odwiedza mnie czasami – skłamał proboszcz. Gdyby powiedział, że czapka należy do niego, byłoby to również kłamstwo.

Biskup pokiwał głową ze zrozumieniem i wyraził swoje ogólne zadowolenie z całością. Następnie odjechał, w dalszym ciągu bardzo zadowolony. Kiedy proboszcz został sam w mieszkaniu, diabeł wyszedł z szafy, w której się był ukrył. Zbliżył się do proboszcza i ohydny uśmiech tryumfu wykrzywił jego paszczę.

– Wujku! – zawołał radośnie i otworzył szeroko ramiona.

## PODEJRZENIE

Przyszedł do mnie Kogut, jakiś zmartwiony, ale i podniecony.

– Jest taka sprawa... – zaczął głosem poważnym.

– Ja też myślę, że jest – odparłem. – Ale jaka?

– Zdaje się, że Lis jest Żyd.

Aż mnie zatkało.

– Skąd wiesz? – zapytałem, kiedy mnie odetkało.

– To się wie.

– Ale dlaczego nie wiedziało się wcześniej?

– Bo najpierw się nie wie, a potem się wie. Zawsze tak jest, nigdy na odwrót.

– To co my teraz zrobimy?

– Przede wszystkim nie trzeba, żeby on wiedział, że my wiemy. Wprawdzie on jest Żyd, ale jednak Lis.

– Słusznie, jeszcze by pomyślał, że my jesteśmy antysemitami.

– Niechby tylko spróbował! – wykrzyknął Kogut.

– O czym tak rozmawiacie? – zapytał Lis nadchodząc.

– O tym, że my właściwie bardzo lubimy Żydów – zapał Kogut.

– Przestań... – szepnąłem. – Teraz mu już dałeś do zrozumienia.

– Dlaczego? – zdziwił się Lis. – Żydzi mają zły charakter i biorą kurczątka na mace.

– Ukrywa się – szepnął do mnie Kogut.

– Właściwie to masz rację – powiedziałem do Lisa. – Żydzi precz do Palestyny!

– Odwrotnie, Żydzi precz z Palestyny! Zapóźniony jesteś, czy co?

– Nie jestem zapóźniony, tylko mi się pomyliło.

– To przez Żydów – powiedział Lis. – Oni zawsze mylą.

– Widzisz, jak udaje? – szepnął do mnie Kogut.

– Mówi źle o Żydach, żeby odwrócić od siebie podejrzenie. Teraz już nie ma żadnej wątpliwości.

– No, są wyjątki – próbowałem załagodzić, bo mi żal było Lisa. Zawsze to kolega, choć Żyd.

– Niektórzy myślą nienaumyślnie.

– Zwariowałaś? – szepnął do mnie Kogut. – Przecież on naumyślnie nas myli.

– Wszyscy Żydzi myślą naumyślnie, bez wyjątku – stwierdził stanowczo Lis. – Właśnie po tym ich się poznaje.

Zrobiła się cisza. Lis przyznał się. Nie wiadomo, jak teraz zareagować.

– Co tak nic nie mówicie? – zdziwił się Lis. – Bronicie Żydów?

– My? Nie, tylko tak jakoś... – zaplątał się Kogut.

– Chyba będzie padało – próbowałem zmienić temat.

– Co ty mi tu o pogodzie – zdenerwował się Lis. – Kręcicie coś... A może... A może wy sami jesteście, co?

– My?! – krzyknęliśmy chórem.

– To czemu wy jakoś tak dziwnie...

– Chodźmy – powiedziałem do Koguta. – Nie będziemy z nim rozmawiać.

– Słusznie – potwierdził Kogut. – Muszą być jakieś granice.

Odwróciliśmy się i zaczęli oddalać.

– Chwileczkę! – zawołał za nami Lis. – Poczekajcie! Przecież ja tylko żartowałem!

Ale myśmy odeszli nie odwracając głowy. Co będziemy przestawać z tym Żydem.

„Kultura”, 11/1985

## KAPTUREK

„Czerwony Kapturek” szedł przez las. Niósł kosz z wiktuałami, był znudzony.

„Najgorsze, że kiedy dojdę do celu i zobaczę tego parszywego wilka, będę musiał udawać, że nie wiem, o co chodzi. Będę mu zadawał głupie pytania: Babciu, dlaczego masz takie szpiczaste uszy, dlaczego takie duże zęby... Potem dam się zjeść, aż do kretyńskiego epilogu, kiedy to dzielny leśniczy rozpruje wilkowi brzuch i wyzwoli mnie i babcię. A potem wszystko od początku. Cóż za grafoman z brudną wyobraźnią napisał całą tę bajkę”.

„Czerwony Kapturek” kopnął muchomora, który stał mu na drodze.

„To przynajmniej – pomyślał z satysfakcją obserwując zdeintegrowanego grzyba – nie było przewidziane programem. Ale takie małe dowolności nie rekompensują deterministycznej zasady”.

Oto już domek babci. „Czerwony Kapturek” westchnął i zapukał do drzwi.

„Wejść” – usłyszał głos. Wszedł. Niby-babcia leżała jak zwykle na łóżku. „Czerwony Kapturek” postawił kosz z żywnością na stole i usiadł na krześle obok łóżka.

„Babciu, dlaczego masz takie szpiczaste uszy” – zaczął recytować, myśląc o czym innym..

Babcia-wilk coś odpowiedziała, ale „Czerwony Kapturek” nawet nie usłyszał, bo wiedział już z góry, co miał usłyszeć. Przystąpił do drugiej kwestii.

„Babciu, dlaczego masz takie duże zęby”.

„... się” – powiedziała babcia.

„Co?” – zapytał „Czerwony Kapturek”, bo był tak znudzony i tak myślał o czym innym, że usłyszał tylko „się” na końcu, a to „się” nie zgadzało się z ustalonym tekstem. Rytualna odpowiedź powinna brzmieć: „Ażeby cię zjeść”.

„Powiedziałam: nie wygłupiaj się, drogie dziecko. Jeżeli ci się znowu wydaje, że to jest bajka, a nie rzeczywistość, i że ja nie jestem twoją babcią, ale przebranym wilkiem, to się mylisz. A teraz pokaż, co przyniosłaś mi do jedzenia”. – „Czerwony Kapturek” westchnął jeszcze ciężiej niż poprzednio i opuścił głowę. Zrozumiał, że prawdziwa nuda zaczyna się dopiero teraz.

„Tygodnik Powszechny”, 34/1983

## COLT PYTHON

O tej porze byliśmy jedynymi klientami. Instruktor odłożył gazetę i wydał nam naboje. Wystrzelaliśmy, każdy po magazynku dziesięć sztuk.

– Jaka pogoda na górze? – zapytał, kiedyśmy ładowali ponownie.

– Słońce, choć trochę się chmurzy.

– Wiosna – ująłem to bardziej całościowo, ponieważ mam umysł syntetyzujący.

Wróciliśmy na stanowiska. Znowu po dziesięć sztuk. Instruktor patrzył krytycznie.

– Te „Standard” mają słabą precyzję. Może panowie wezmą specjalne, „High Velocity”.

– Niech pan da – zgodził się Gerald.

– Znowu pan znosi w prawo – powiedział do mnie instruktor, siedząc pod ścianą na zydelku i popatrując na moją tarczę z umiarkowanym zainteresowaniem. Miał wąskie, szare oczka i bez lornetki widział, co się dzieje na bezpłciowej, białej sylwetce dziurawionej przeze mnie. Mogłem go słyszeć, bo nie nałożyliśmy kasków. Przy 22 RL nie jest to konieczne.

Po serii poszliśmy sprawdzić. Miał rację. Tylko jeden czarny otworek w czerwonym kółku. Biała sylwetka miała serce w formie kółka.

Obok Gerald studiował swoją ofiarę. Nie był szczęśliwy, choć miał rozrzut nieco mniej kompromitujący od mojego.

– Najlepiej to strzelają kobiety – powitał nas od niechcienia instruktor. Czekał na nas przy stanowiskach.

– Co pan powie! – zdziwił się Gerald.

– A tak. Takiej to wystarczy tylko pokazać co i jak i od razu umie.

– Ma pan coś większego? – zapytał Gerald.

– 38 Smith and Wesson.

– Bierzemy? – zwrócił się Gerald do mnie.

– Jasne.

Nałożyliśmy kaski. To znaczy Gerald i ja, instruktor nie potrzebował. Ten kaliber daje też błysk, a także już trochę szarpie. Nareszcie się czuje, że ma się coś w ręce. Ani porównania z tamtym. Poczułem się lepszy, znacznie lepszy. Dopóki nie oglądaliśmy tarcz.

Wróciliśmy. Instruktor czytał gazetę.

Pan mówił poważnie? – zapytał Gerald. – O tych kobietach. Naprawdę tak jest?

– Nieraz przy tym byłem. To fakt stwierdzony – odłożył gazetę. – Jeszcze po tuzinie?

– Może by zmienić... Co pan proponuje?

– Colt Python 357 Magnum.

Tak, to było to, o to chodziło. Poczułem ciepło w palcach, ładując ciężkie złote kluski do komór, potem ciężar w dłoni nagle jakby zdrobniał...

– Niech pan lewą trzyma bardziej od dołu – poprawił mnie instruktor. – Nogi bardziej ugięte i pamiętać o oddechu. Z tym nie ma żartów.

Błyskawica, huk, siwa mgiełka... Huk jakby basem i żywy stwór w dłoniach za każdym razem jakby spłoszony, a silny. Nie denerwuj się, obaj jesteście silni. Bo teraz dopiero czuję moją moc, za każdym wystrzałem wzrastającą, coraz to większą. I coś nowego... uświadamiam sobie przez nozdrza, że to zapach, cierpki, suchy, podniecający jak tekila albo pieprzówka. Zrobiło mi się gorąco.

Wreszcie zdejmuję kask. Ze stanowiska obok wyłania się Gerald. Oczy mu błyszczą.

Śmieje się i klepie mnie po plecach. Ja jego też i także się śmieję.

– Idziemy! – woła.

– Idziemy! – wtóruję.

Zwycięsko przemierzamy bunkier wzdłuż, ku tarczom.

Tam cichniemy.

– Rozregulowany mi dał, czy co... – powiada markotnie Gerald, oglądając swoją.



Moja też nie lepsza. A w ogóle to tylko kilka trafień w sylwetkę, reszta poza. Najgorzej jak dotąd. Wracamy przez beton. Teraz dopiero widzę, ile tu betonu.

– Powtórzyć? – pyta instruktor. Patrzymy na siebie z Geraldem.

– Ja chyba już muszę iść – powiada on. – A ty jak?

Udaję, że widzę, która godzina na moim zegarku.

– Ja także.

Podczas kiedy wypisuje rachunek, milczymy. Po chwili Gerald:

– Z tymi kobietami... Jak by pan to wyjaśnił? Dlaczego one są takie zdolne?

– Bo im nie zależy na strzelaniu. Mężczyzna się przejmuje, a kobieta nie, dlatego może się skoncentrować.

– Ale skąd to się bierze?

– Bo mężczyzna chce być mężczyzną. Chce się wykazać i się podnieca, a kobieta celuje spokojnie.

– Fakt – przyznaje Gerald. – Kobiecie nie zależy, żeby się okazać mężczyzną.

Po betonowych schodkach na górę, a tam po dywanach do kasy. W gablotach za szkłem oprawnym w mahoń lśnią rzędy broni. Firma założona w 1812 roku. Słoneczne światło z ulicy.

– Czy dobrze się panowie bawili? – zagaduje nas wesoła i ładna kobieta, inkasując.

– Dziękuję, wyśmienicie – odpowiada jej Gerald. Na ulicy sprawdziliśmy rachunek. Najdroższa oczywiście była amunicja do Colt Python 357 Magnum.

„Tygodnik Powszechny”, 30/1983

## EPIDEMIA

Kiedy byłem dzieckiem, a nawet młodzieńcem, nie podejrzewałem niczego. Może mi nie powiedziano, żeby mnie nie straszyć? Ale zauważyłem później, a teraz już wiem na pewno, że na świecie panuje jakaś dziwna zaraza.

Cholera, tyfus i jeszcze inne mają swoje nazwy i symptomy. Z nich nie robi się tajemnicy. Kiedy zdarzają się ich epidemie – wszyscy o nich mówią i w ogóle jest wielka sprawa. Ale – i to właśnie jest ciekawe – chorzy na te choroby zdrowieją, niewielu, ale jednak niektórzy – to znaczy, że te choroby nie są śmiertelne w każdym wypadku. Natomiast ta, którą ja odkryłem – zabija na pewno. Od niepamiętnych czasów nikt, ale to nikt jej nie przeżył. A jednak o niej się nie mówi, a nawet jeżeli się mówi, to nie nazywając jej po imieniu. Czy dlatego, że nikt nie wie, jak ona się nazywa? A nawet jakie są właściwie jej objawy?

Cholera czy tyfus wybuchają od czasu do czasu, wtedy ma się wielu znajomych, którzy na nie chorują, ale potem przez całe dziesiątki lat nie spotkasz nikogo, kto by chorował na tyfus czy cholere. Szukaj ze świecą, a nie znajdziesz. Natomiast ta dziwna zaraza, o której mówię, grasuje zawsze i nieustająco. Im więcej czasu mija, tym więcej masz znajomych, którzy – jak się okazało – na nią chorowali. Zapadli na nią dosłownie, pod ziemię.

Więc zaczynam przypuszczać, że ona ma coś wspólnego z czasem. Najlepiej to widać na przykładzie mojego dziadka. Kiedy był młody – żył. Tak samo w średnim wieku. Ale minęło jeszcze trochę lat – i co powiecie? Już go nie ma. Po prostu już nie żyje. Dlaczego żył, kiedy był młody, a później już nie? Dlaczego nie odwrotnie? Musi w tym być jakaś głęboka przyczyna.

Kiedy spojrzymy szerzej – ten związek między czasem a zarazą ukazuje się jeszcze wyraźniej. Na przykład ani jeden, powtarzam, ani jeden człowiek urodzony przed pierwszą połową ubiegłego stulecia nie żyje do dzisiaj. Jest to absolutna reguła. Poza pewną granicą ilość lat nie ma już znaczenia. Względem tych, co umarli pięćset lat temu, tak samo jesteśmy pewni, że nie żyją, jak względem tych, co umarli lat temu pięćset siedemdziesiąt trzy albo tysiąc. Tylko do setki możemy jeszcze coś rozróżniać. Tak, niewątpliwie czas ma coś z tym wspólnego.

Należałoby więc alarmować, może wybiec na ulicę i krzyczeć. Nieraz mam na to ochotę, zresztą to jest obowiązek jednostki – podnosić alarm, kiedy jednostka zauważy zbiorowe niebezpieczeństwo. Ostrzegać, wołać głośno, wskazywać na nie. Społeczeństwo powinno się zjednoczyć i wspólnie wystąpić przeciwko zagrożeniu. Czy ja wiem jak... Od tego przecież mamy rządy, partie polityczne i w ogóle organizację społeczną. Ale co wyjdę na ulicę, to nie mogę wydobyć z siebie głosu. Wydaje mi się, że panuje powszechna zmowa milczenia. Że kiedy zacznę, wezmą mnie za wariata, choć dobrze wiedzą, że to prawda, to, co bym krzyczał. A tylko udają, że nie wiedzą o niczym, i nikomu nie pozwolą o tym głośno mówić. Spisek jakiś czy co, sprzysiężenie? Ale spisek do spółki z kim, z zarazą? To się nie mieści w głowie.

Pozostaje mi więc samemu obmyślać środki zaradcze. Bo z wolna powstaje we mnie podejrzenie, że to wszystko odnosi się nie tylko do moich znajomych czy nieznajomych, do ludzi, którzy byli i już ich nie ma, którzy są i których nie będzie. A co, jeżeli ja sam jestem zagrożony? Dawniej wydawało mi się to niemożliwe, nie myślałem o tym po prostu. Ale teraz...

Bo żyję – może na tym właśnie polega ta choroba. Tak, chyba na tym.

Więc czyżbym ja także miał umrzeć z tego powodu?

„Tygodnik Powszechny”, 36/1983

## SEKRET

Późną jesienią przybył do naszego miasteczka profesor sztuk magicznych Diabolo. Zatrzymał się w hotelu „Pod Archaniołem” i wynajął salę teatru „Progres” na trzy wieczory.

Do najciekawszych punktów programu należało ucinanie głowy. Asystentka profesora Diabolo, młoda i piękna kobieta w czarnej, aksamitnej sukni z dużym dekoltem siadała na krześle, a profesor stał obok. W rękę trzymał stalową piłę.

Zdejmowała sznur pereł ze swej długiej, białej szyi i wręczała go profesorowi, który kłaniał się jej i wkładał perły do górnej kieszonki swego również czarnego stroju. Następnie przykładał piłę do jej białej szyi i zaczynał piłować.

Po przepiłowaniu głowa kobiety spadała na jej kolana, kobieta ujmowała ją oburącz, wstawiała i kłaniała się publiczności, trzymając w rękach swoją głowę. Profesor kłaniał się obok.

Wśród oklasków kobieta osadzała swoją głowę z powrotem na swojej szyi, a profesor, z tą samą wyszukaną galanterią co przed piłowaniem, oddawał jej perły. Ona zdobiła się nimi ponownie, profesor najprzejemniej podawał jej ramię i razem, uśmiechnięci, wychodzili za kulisy.

Jako początkujący współpracownik czasopisma „Kółko rodzinne” udałem się do hotelu „Pod Archaniołem”, aby przeprowadzić wywiad z parą artystów. Oznajmiono mi, że profesor wyszedł, zaś jego asystentkę zastanę w sali restauracyjnej, gdzie spożywa śniadanie. Pora była już prawie południowa, lecz artyści wstają późno i późno jedzą śniadania. Zastałem ją przy stoliku pod oknem, samą. Sala była już, jeszcze pusta.

Przeprosiłem za nie zapowiedzianą wizytę powołując się na obowiązki reportera. Nie była ani niechętna, ani szczególnie przychylna moim odwiedzinom. Przed nią stała filiżanka kawy, ale bułeczki były nietknięte.

Z dyskretną ciekawością patrzyłem na jej szyję, odsłoniętą, nie tak jak podczas występów na scenie (teraz miała na sobie prostą suknię z cienkiej flaneli, w drobny, kwiatowy wzorek), dostatecznie jednak. Choć nie aż tak gładka i biała jak poprzedniego wieczoru w teatrze, kiedy ją widziałem z pewnej odległości i w świetle reflektorów, była to nadal piękna szyja i przede wszystkim bez śladu okrutnej operacji, bez najmniejszej nawet blizny czy zdraśnięcia.

Pogratulowałem jej sukcesu, opowiedziałem o entuzjzmie publiczności wyrażonym nie tylko oklaskami, ale też w prywatnych komentarzach, które zasłyszałem wśród tłumu. Wszyscy byli jednomyślnie zachwyceni, ale większość uważała, że uznanie należy się przede wszystkim asystentce profesora, a nie samemu profesorowi. Bo ostatecznie – takie było zdanie ogółu – piłować potrafi każdy, ale dać się piłować, i to tak, żeby po każdym piłowaniu głowa zrastała się na powrót z ciałem, i to bez najmniejszego nawet śladu – to jest prawdziwa sztuka.

– Nie, to nie jest żadna sztuka – powiedziała patrząc w okno, za którym kilka krzewów na podwórku traciło ostatnie liście.

– Jak to, to przecież więcej niż sztuka, to jest po prostu cud!

– Cud? Mówi pan o cudzie? – Przeniosła spojrzenie szarych oczu z oddali na mnie. – Owszem, to jest cud, ale całkiem innego rodzaju. To, o czym pan mówi, nie jest żadnym cudem.

Stropiłem się.

– Ale przecież my wszyscy jesteśmy świadkami...

– Wszyscy... tak, wszyscy to widzą. I myślą, że to, co widzą, jest nadzwyczajne. A tymczasem...

Przestała patrzeć na mnie. Patrzyła teraz w dno filiżanki.

– To, czemu wszyscy tak bardzo się dziwią, wcale nie jest najdziwniejsze. To zrastanie się rozciętego ciała, to scalanie się na powrót jest trudne i nienaturalne, ale nie najtrudniejsze ani najbardziej przeciwne naturze. Umierać i żyć znowu, zmartwychwstawać – to drobnostka w porównaniu z czymś innym, z czymś, co jest naprawdę niezrozumiałe. Co jest cudem naprawdę.

Umilkła, a ja wstrzymałem oddech oczekując, że dowiem się sekretu, który – ogłoszony przeze mnie na łamach czasopisma „Kółko Rodzinne”, uczyniłby ze mnie sławnego dziennikarza i byłby początkiem mojej wielkiej kariery. Wreszcie, nie umiejąc już dłużej czekać, zapytałem:

– A co jest tym prawdziwym cudem? Podniosła wzrok i znów spojrzała na mnie, tym razem prosto w oczy, aż się zmieszałem.

– Prawdziwym cudem jest to – powiedziała wolno i dobitnie – że sama, dobrowolnie zgadzam się na takie cierpienie. Wciąż na nowo i od tyłu już lat. Za każdym razem przysięgam sobie: już nigdy więcej, to już ostatni raz. Odejdę od niego i to będzie ostatnia moja tortura. Odejdę i nie wrócę już nigdy. A jednak nie odchodzę i zgadzam się na tę mękę znowu i znowu. Na co liczę? Że następnym razem nie będzie mnie już bolało? To przecież musi boleć. Wiem, że musi, a mimo to... Czy łudzę się aż tak bardzo, że choć wiem, że się łudzę – łudzę się mimo to? Ja tego nie rozumiem, nie pojmuję, nie chcę, a jednak na to się zgadzam. Sama, z własnej woli...

Przerwała i zobaczyłem, że już nie patrzy mi w oczy, ale ponad moim ramieniem.

Odwrociłem się w kierunku jej spojrzenia. W drzwiach stał profesor w eleganckiej narzutce z wielbłądziej wełny, w kapeluszu. Widocznie dopiero co wrócił z miasta.

Spojrzałem znowu na nią i stwierdziwszy, że przestałem już być dla niej obecny, wstałem, ukloniłem się i wyszedłem, mijając profesora, który uprzejmie usunął się z drogi dając mi przejście.

Niczego nie opublikowałem w „Kółku Rodzinnym”. Bo właściwie nie dowiedziałem się niczego.

„Tygodnik Powszechny”, 38/1983

## ARTYSTA

Kogut przeczytał ogłoszenie: „Potrzebujemy zwierząt – Cyrk”.

– Zgłoszę się – powiedział składając gazetę. – Zawsze chciałem być artystą.

Po drodze snuł wielkie plany:

– Sława i pieniądze. A może nawet wyjazdy za granicę.

– I z powrotem – dodał Lis.

– Dlaczego z powrotem? Za granicą podpiszę kontrakt z Metro Godwyn Meyer.

Dyrektor przyjął go na świeżym powietrzu, gdzie urzędował. Właśnie rozwijano namiot cyrkowy. Ja i Lis zatrzymaliśmy się opodal.

– Bardzo mi miło, że pan się do nas zgłasza. Można poznać godność?

– Lew – przedstawił się Kogut krótko.

– Lew? – zdziwił się dyrektor. – Czy jest pan tego pewny?

– Ewentualnie tygrys.

– No dobrze. Wobec tego niech pan zaryczy. Kogut zaryczał jak umiał.

– Owszem, nieźle, ale są lepsze lwy od pana. Gdyby pan się zgodził na koguta, to co innego.

Wtedy mógłbym pana zaangażować.

– Ja dla pana przyjemności nie będę udawał ptaka – obraził się Kogut.

– Żegnam wobec tego.

W drodze powrotnej Kogut milczał ponuro. Wreszcie nie wytrzymałem.

– Co ci strzeliło do głowy, dlaczego chciałeś grać lwa?

– Jak to, dlaczego... – odpowiedział za niego Lis. – Czy widziałeś kiedy artystę bez ambicji?

„Tygodnik Powszechny”, 22/1983

## ANTROPOCENTRYZM

Nowy nasz dziedzic przyjechał na świętego Jana. Wielki był, gruby, czerwony na karku i z nosem czerwonym, a głos miał jak trąba. Dwór sobie obejrzał, dukata Batkowi dał, do czworaków zaglądnął, Magdę w olszynie przydusił, do gumien kazał się prowadzić, Wojciecha w pysk strzelił, do obór zaszedł, prosiaka zjadł, potem Wojciecha w pysk strzelonego zawołać kazał, zegarek francuski mu podarował i jeszcze raz w pysk go strzelił. Zasnął, a kiedy się obudził, do sań kazał zaprzęgać.

– Jakże do sań, proszę łaski pana – zasumował się Józef stangret. – Przecie lato.

– Do sań, mówię, durniu, bo taką mam fantazję i moja woła pierwsza, a lato potem.

No i saniami okolicę zaczął objeżdżać, przez zboża i łąki zielone.

Przed kamienną figurą na rozstajach zatrzymać kazał.

– A cóż to za dziwadło? – zapytał.

Objaśnili go, że ta figura Kamiennym Pielgrzymem jest zwana. Kamień rzeczywiście do człowieka podobny, na kolanach klęczącego. Nikt nie wie, skąd się wziął, od niepamiętnych czasów był, ale podobno nie kamień to, tylko pielgrzym, do Ziemi Świętej zmierzający, za jakieś grzechy w kamień zamieniony. Co sto lat o jedną tylko piędź do przodu się przesuwa, tak że chyba przed samym końcem świata dopiero do Palestyny zajdzie.

– Zajdzie?! – krzyknął dziedzic i aż spurpurowiał ze złości. – No to zobaczymy, czy zajdzie.

U mnie tak nie ma, żeby ktoś, jak sobie chce, przez moje pole łąził. Ja tu jestem panem. Zaraz mi tu przysłać ludzi z dragami, sznurami i cztery pary wołów w jarzmach.

Tak się też i stało. Kamień podkopali, woły do niego przyprzęgli i dobre cztery mile do tyłu, hen aż za górkę go odwlekli.

– Popamięta sobie – sapnął dziedzic mściwy. – Niech sobie teraz jeszcze raz te cztery mile przeleci. Ze sto tysięcy lat mu to znowu zabierze, albo więcej.

Dziedzic szczególnie kołduny lubił. Raz mu kucharka takie kołduny zrobiła, że bardzo był po obiedzie zadowolony. Usiadł na ganku, garniec piwa przed nim, po brzuchu się gładzi, aż wreszcie karbowego woła i tak powiada:

– A niech mu tam... Poślijcie no ludzi do tego Pielgrzyma i ruszcie go do przodu.

– Na stare miejsce? – zapytał karbowy.

– Nie na stare, ale jeszcze ze dwie mile dalej w stronę Palestyny. Jak mogę go do tyłu, to mogę i do przodu, i to jeszcze dalej niż był przedtem. Niech zna pana.

Spełnili polecenie i Kamiennego Pielgrzyma aż za Borek przenieśli, ku Palestynie.

Tydzień nie minął, jak dziedzica podagra zaczęła męczyć. Spać nie mógł i w taki zły humor wpadł, że kto mógł, schodził mu z drogi. Przypomniawszy sobie o Pielgrzymie.

– Do tyłu mi go zaraz dać, i nie cztery mile od rozstajów, ale sześć! I niech go wszyscy diabli!

Uuu, jak mnie boli!

Cofnęli Pielgrzyma o dwie mile i jeszcze o sześć, razem osiem. Wyzdrowiał dziedzic. Już znowu po olszynie za Magdą goni, a za przepiórkami po polach z flintą. Idzie sobie tak ze strzelcami przez pole, pogwizduje wesoło, patrzy, a tu Kamienny Pielgrzym stoi.

– Co on tutaj robi? – zapytuje swoich strzelców.

– Dlaczego on nie za Borkiem?

– A dyć wielmożny pan sam kazał go tu cofnąć – strzelcy odpowiadają.

– Kazałem? A może i kazałem. No to co z tego, że kazałem?! A teraz każę, żeby go znowu za Borek przenieść. Ale żywo, bo on mi się za Borkiem bardziej podoba!

I wtedy wszyscy usłyszeli, jak Kamienny Pielgrzym do dziedzica powiedział, głosem kamiennym, ale wyraźnym:

– Odpierdól się.

Dziedzic na kolana padł, a potem cały majątek na fundusz kościelny oddawszy dla wdów i sierót, sam do klasztoru trapistów wstąpił, gdzie ponoć całkiem chudy i błydy się stał. Jako pokorny mnich, w pracy i modlitwie żywota dokonał. Tak go ze szczętem ten cud nawrócił.

Zaś Kamiennego Pielgrzyma myśmy na jego dawne miejsce u rozstajów w uroczystej procesji przenieśli. Nie bliżej i nie dalej, tylko tam, gdzie nie ludzką samowolą, ale boskim wyrokiem mu było sądzone.

Na tym miejscu, gdzie ten cud się zdarzył, kaplicę zbudowano. Tylko był ambaras, pod jakim wezwaniem. Aż uczeni teologowie na pomysł wpadli i na froncie kaplicy napis wryto:

*Quod dicis Domine?*

„Puls”, 18

## HRABIA

Hrabia stanął przy oknie. Był mężczyzną w średnim wieku, ze śladami życia na twarzy. Właśnie powziął był decyzję.

– Dość tego. Dążenie ku doskonałości wyczerpuje mnie, w niczym nie zmieniając niczego. Doskonałość to idea, zaś żadna idea nie może być osiągnięta, czyli wcielona w rzecz, ponieważ wtedy przestaje być ideą. Między ideą a rzeczywistością – wieczna, nieprzebyta przepaść. Skończone.

Oczekiwał, że na ulicy pojawi się ktoś czy coś, co zajmie go przez następną chwilę, która go prawdopodobnie dzieliła, podobnie jak szereg dalszych chwil, od śmierci. Nie miał ustalonego sposobu oczekiwania, więc improwizował.

Ujrzał, jak wytworny ekwipaż zatrzymał się przed jego *Hotel Particulier*. Pomyślał z litością o niższych sferach, które na skutek niedostatecznej znajomości języka francuskiego tłumaczą *Hotel Particulier* jako „Hotel Szczególny”, *Hotel de Ville* jako „Hotel Miejski”, a *Hotel de Poste* jak o „Hotel Pocztowy”. On, jako Hrabia, od dziecka wychowany po francusku, był wyższy ponad takie gminne błędy. Myśl o tej wyższości sprawiła mu teraz pewne zadowolenie, kiedy uświadomił sobie: oto księżniczka Gizela wysiadzie z ekwipażu przed *Hotel'em Particuller'em*.

Zazwyczaj na widok księżniczki Gizeli doznawał uczuć mieszanych. Doceniał rozkosz zmysłów, której doznawał za jej pośrednictwem, jednak przeżycia psychiczne, których doznawała ona, a których nie doznawał on – z czego ona czyniła mu gwałtowne wyrzuty – uważał za uciążliwość. Księżniczka Gizela kochała go bowiem bez wzajemności.

Niemniej Hrabia odszedł od okna i stanął przed lustrem, aby zażegnać wątpliwości, czy jego uroda rzeczywiście odpowiada oczekiwaniom zbliżającej się księżniczki Gizeli. Ponieważ jednak nie wiedział właściwie, co ona w nim widzi, taka konfrontacja skazana była z góry na brak rezultatu.

Teraz więc niecierpliwie oczekiwał wejścia księżniczki Gizeli do salonu, ponieważ ona była nim zawsze zachwycona.

Powrócił do okna i to, co zobaczył, przerosło jego oczekiwania. Niestety, w drugą stronę. Bowiem księżniczka Gizela skierowała się w stronę *Hotel'u Particulier'u* wprawdzie, ale tego, który znajdował się naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy i należał do Barona.

Hrabia poczuł pustkę.

Otworzył mahoniowe pudełko, w którym znajdowała się para pistoletów inkrustowana perłową macią.

– Tym lepiej – odezwał się Hrabia w pustym salonie. – Umieram, czyli odchodzę definitywnie. Zaś tylko rzeczy ostateczne godne są uwagi.

– Tak Hrabia sądzi? – zapytał Hrabia. Lubił bowiem, kiedy go tytułowano.

Lecz odpowiedź była przesądzona.

– Oto dwa pistolety, a przecież nie mogę zastrzelić się z dwóch pistoletów naraz.

Zamknął pudełko i padł bezsilnie na kanapę. Zbudziły go dopiero dźwięki cygańskiej orkiestry, którą kazał być sprowadzić, lecz zapomniał o tym na śmierć.



## PRAXIS

Spotkałem bliźniego mego, który ni stąd ni zowąd dał mi w pysk. Chciałem mu oddać, ale Dobro wzięło górę, opanowałem się, odwróciłem prawym policzkiem do niego i powiedziałem:

- Teraz proszę z tej strony.
- Coś pan, masochista?
- Nie, chrześcijanin.
- Nie szkodzi. Ja osobiście do chrześcijan nic nie mam.
- Pan mnie źle zrozumiał. Chrześcijański nakaz brzmi: „Gdy cię ktoś uderzy w jeden policzek, nadstaw mu drugi”.
- Żeby mniej bolało?
- Nie, tylko żeby bił dalej. To znaczy na znak pokory. Pan rozumie.
- Nie. Ale ostatecznie to nie moja sprawa.
- Więc niech pan bije. W prawy, ponieważ w lewy już pan bił.
- Kiedy mi się już odechciało.
- Gdyby pan jednak to zrobił dla mnie... Pan rozumie, kiedy już wszedłem na drogę cnoty, to chciałbym coś z tego mieć. Inaczej wszystko na nic, będzie się tylko nazywało, że dostałem po mordzie i koniec. Zwyczajnie, bez żadnej zasługi.
- Zmęczony jestem.
- Jeszcze tylko raz, dla kompletu. Niech się pan wstawi w moje położenie, wyniki połowiczne to nie są żadne wyniki, a ja już zainwestowałem pięćdziesiąt procent. Albo w oba policzki, albo wyjdę na zero.
- No, ostatecznie... mogę. Ale w prawy będzie mi nieporęcznie. Nie jestem przecież mańkutem.
- To może nogą?
- Nogą w policzek? Pan mnie przecenia. Nie dosięgnę.
- Mógłbym się nachylić.
- Ale wtedy nie będę miał rozmachu. A poza tym, jeśli już chodzi panu o symetrię, to nogą nie to samo co ręką. Inne uderzenie.
- To może zaczniemy od początku? Tym razem wyłącznie nogą.
- Jak?
- Ja się odwrócić, pan mnie kopnie, a potem ja się znowu dowrócę i pan mnie jeszcze raz kopnie.
- Naiwny pan jest. Każde dziecko wie, że człowiek z tyłu nie ma tego samego, co z przodu. To też by nie była żadna symetria.
- Zmartwiłem się. On miał rację.
- Już wiem – rzekłem po chwili zastanowienia. – Znalazłem wyjście. Jest taki inny nakaz chrześcijański: „Kto w ciebie kamieniem, ty w niego chlebem”. Pan weźmie ten kamyczek, o tu jest, nawet dosyć spory, i pan mnie tym kamyczkiem. A ja panu oddam chlebem.
- Ma pan chlebuś przy sobie?
- Nie, ale tu za rogiem jest piekarnia. Skoczę i przyniosę.
- Nie bardzo mi się to podoba ze względu na rzucanie chlebem. Chlebem jakoś nie wypada, to dar Boży.
- Ale tak jest wyraźnie powiedziane w instrukcji.
- No, dobrze. Ale co będzie z tym jednym policzkiem, co go pan już zainwestował?
- Trudno. Tamten interes się nie udał, otwieramy nowy. Odpiszę na straty, a teraz pierwszy ruch należy do pana.
- Kamień był rzeczywiście dosyć spory i najpierw należało zaopatrzyć się w chleb, a dopiero potem przystąpić do operacji. Bowiem po drodze do piekarni zataczałem się nieco na skutek uderzenia kamieniem w głowę.
- Poproszę o kilo chleba – powiedziałem w piekarni.

– Chleba nie ma. Są tylko bułki.

Tego nie przewidziałem. Ale ostatecznie pieczywo jest pieczywo. Nabyłem więc kilka bułek i wróciłem do mojego partnera, który, trzeba to przyznać, czekał cierpliwie.

– Teraz ja w pana bułeczką i już pan jest wolny.

Od razu pierwszą bułką trafiłem go między oczy. Upadł do tyłu i nie ruszał się. Podszedłem do niego, miał oczy w słup.

Taka czerstwa bułeczka państwowego wypieku ma swoje zalety.

Kiedy odchodziłem, nie ruszał się w dalszym ciągu. Dobrze tak skurwysynowi. Po co ze mną zaczynał.

„Puls”, 21

## AUTOPORTRET

Hrabia nie bał się śmierci, ale bał się nie wyczyszczonych butów, ściślej mówiąc butów zakurzonych, butów zabłoconych, a nawet takich, na których dostrzegalna była plamka jakiegokolwiek pochodzenia. Takie buty wprawiały go w stany lękowe tak silne, że mógł umrzeć natychmiast.

Na wyjście kompromisowe, to znaczy na usunięcie skazy z obuwia, zgadzał się tylko pod warunkiem, że następowało bez chwili zwłoki. Jego życie wisiało więc na włosku.

Można by przypuścić, że komplet szczotek i past, z którym się nie rozstawał – na polecenie lekarza – chronił go od nagłej śmierci. Ale tak sądzić, to by znaczyło nie brać pod uwagę innej cechy hrabiego, mianowicie jego skłonności do nudy. Schylanie się, szczotkowanie i pastowanie obuwia, ponowne szczotkowanie – nudziło go niezmiernie. Istniała obawa, że wstręt do nudy lada chwila przeważy nad wstrętem do zanieczyszczeń i pośrednio stanie się przyczyną jego zgonu.

Można oczywiście zadać pytanie, dlaczego nie towarzyszył mu lokaj lub jakakolwiek inna osoba, która by go w tej czynności wyręczała, czy to na zasadzie odpłatności, czy też bezinteresownego poświęcenia. Otóż hrabia znosił obecność ludzi z takim samym trudem, z jakim znosił nudę, i tylko z niewiele mniejszym od tego, z jakim znosił zanieczyszczone, a choćby tylko bez połysku obuwie, którego nie znosił wcale. Jedynie nieustające przebywanie w pomieszczeniu suchym, kurzo-szczelnym i zaopatrzonym w parkiet łagodzi ostrość tego dylematu. Lecz tylko do pewnego stopnia. Bowiem nawet niewielka przechadzka hrabiego po tak ograniczonej i zabezpieczonej przestrzeni prowokuje wzbijanie się, a następnie osiadanie na obuwiu pyłków mikroskopijnych wprawdzie, lecz niemniej powodujących pewną matowość. Drobin, wynikających z tarcia skóry podeszwowej o podłogę. Hrabia nie opuszcza więc fotela zainstalowanego w pomieszczeniu wyżej opisanym. Pozostaje w pozycji siedzącej bez przerwy przez dobę lub dwie. W ten sposób zachowuje swe obuwie – a zatem swoje życie i zdrowie – w stanie maksymalnego połysku przy minimum komplikacji.

Jakież było więc moje zdziwienie, kiedy onegdaj znowu spotkałem hrabiego na ulicy. Wprawdzie pogoda była słoneczna, ale warunki uliczne różnią się przecież od tych, jakie hrabia znajduje w domu. Dlaczego więc przechadza się aleją w to słoneczne, lipcowe popołudnie?

– No cóż – gdy zapytałem go o to. – Lubię żyć niebezpiecznie.

## BABA

*Siedzi baba na cmentarzu*

*Trzyma nogi w kałamarzu*

Wyjrzałem przez okno. To gromadka dzieci na podwórku recytowała wrzaskliwie ten absurd. Zdenerwowałem się. Co wyrośnie z pokolenia, które od dziecka przywykło do absurdu. Nie takich obywateli potrzebujemy.

Nic tak nie uspokaja jak kontakt z rzeczywistością, więc poszedłem na cmentarz. Wśród nagrobków spostrzegłem sylwetkę baby, a zbliżywszy się ujrzałem, że jej odnóża spoczywają w kałamarzu.

Przeprowadziłem krótki wywiad z babą. Skarżyła się przede wszystkim na trudności wynikające z dysproporcji między objętością jej stóp, a pojemnością kałamarza.

– Jakby pan mógł załatwić choć miednice, to wdzięczna bede – powiedziała.

Poruszony do głębi obiecałem interwencję. Mieliśmy do czynienia z jaskrawym wypadkiem naruszenia Praw Baby.

Wróciwszy na podwórko, przystąpiłem do pertraktacji z dziecinną gromadką. W żywych barwach odmalowałem dolę baby i zaapelowałem do sumień. Dzieci naradziły się między sobą, po czym wyłoniły przedstawiciela.

– Zgoda na miednicę, ale musi być guma do żucia – oświadczył przedstawiciel.

Ubolewając nad brakiem bezinteresowności wśród młodzieży, wyasygnowałem odpowiednią kwotę na zakup gumy do żucia. Dzieci wygłosiły ochoczo:

*Siedzi baba na śmietniku*

*Trzyma nogi w pojemniku*

Na zwróconą im uwagę, że nastąpiła nie przewidziana umową zmiana w lokalizacji baby, dzieci odpowiedziały, że taka zmiana była konieczna ze względów wersyfikacyjnych.

Celem skontrolowania wyników w nowo zaistniałej sytuacji udałem się na śmietnik, gdzie istotnie stwierdziłem obecność baby. Przeniesiona z cmentarza, skarżyła się na pogorszenie środowiska naturalnego, natomiast trzymanie nóg w pojemniku zamiast w kałamarzu przyjęła jako poprawę warunków bytowych.

Żeby tylko tak nie śmierdziało, i może by jaki dach nad głową... – sformułowała dezyderaty.

Niezwłocznie wróciłem na podwórko i zażądałem dla baby godziwego miejsca w cywilizacji. Poniósłszy kosztą piętnastu porcji lodów, doprowadziłem do porozumienia. Dzieci zadeklamowały:

*Siedzi baba w kamienicy*

*Trzyma nogi w jajecznicy*

Rozwiązanie to nie zadowoliło mnie ze względu na niehigieniczny charakter drugiej linijki. W konfrontacji z babą okazało się jednak, że była zupełnie zadowolona. Druga linijka pozwalała jej nawet na rozwiązywanie trudności aprowizacyjnych.

– Nic, tylko się schylić – mówiła.

Ja jednak nie mogłem jej tak pozostawić. Baba powinna być zadowolona, owszem, ale nie absurdalnie. Z absurdem należy zerwać, z absurdem trzeba skończyć, z absurdu musimy wydobyć babę raz na zawsze. Nie ufając już młodzieży, sam sporządziłem ostateczną wersję. Była to wersja realistyczna, uwzględniająca zarówno potrzeby baby, jak i społeczeństwa.

*Stoi baba przy stanowisku wydajnej pracy,  
Nie przeszkodzą jej w tym wrogowie ani tacy, ani tacy.  
To stanowisko pracy jest w pięknej kamienicy,  
Za swą pracę baba nakupi sobie jajecznicę.*

Pozostaje mi tylko przekonać dzieci, aby przyswoiły sobie tę pozytywną, naukowo opracowaną wersję, zamiast szkodliwych nonsensów. Niestety, biorąc pod uwagę antyrealistyczne nastroje panujące wśród młodzieży oraz działalność sił antyrealistycznych, przewiduję poważne trudności.

„Kultura”, 7-8/1985

## NAUCZYCIELE

Do szkoły mnie wzięli. Cóż w tym dziwnego? – zapytacie. Dla was może nic, dla mnie wiele. To co dla wszystkich jest nic, dla każdego z osobna to dużo. Przeważnie za dużo. Przynajmniej dla mnie.

Przede wszystkim za dużo nauczycieli, aż się od nich roi, gdzie spluniesz, to nauczyciel. A tymczasem ja mam tylko jedną głowę.

Więc gdy ona tylko jedna, trzeba ją między nich dzielić jak arbuza. Jednak żaden nauczyciel nie zadowolony się ósemką, ćwiartką, ani nawet połową, kiedy chce całego arbuza. „Jest Pan Bóg” – naucza mnie ksiądz katecheta. – „Nie ma żadnego Pana Boga” – naucza mnie profesor biologii. Jak tu wierzyć jedną połową głowy, że Pan Bóg jest, a drugą, że go nie ma? Śni mi się nocami, że jestem arbuzem na grządce i ze wszystkich stron skradają się nauczyciele, każdy uzbrojony w nóż. „Zaraz zaczną mnie krajać” – myślę sobie. Im jednak nie o skrawki chodzi, tylko każdemu o całość. Rzucają się więc na siebie nawzajem i ten, który zarżnie wszystkich pozostałych, zabierze mnie całego. Nigdy nie wiem, który to będzie, bo ze strachu, że mnie przedtem rozdepczą w zamieszaniu, budzę się i już nie mogę zasnąć.

W sprawie Pana Boga pomyślałem sobie tak: jeżeli jest, to nawet jeżeli nie będę w niego wierzył – będzie w dalszym ciągu, nie zniknie przecież tylko na skutek mojej niewiary. Jeżeli go nie ma, to go i nie będzie, nawet jeżeli uwierzę, że jest. W ten sposób zobaczone zagadnienie „wierzę – nie wierzę” straciło na znaczeniu, a nawet stało się komiczne, ponieważ przypisywanie sobie aż takiej mocy, żeby od mojej wiary czy niewiary zależało istnienie czy nie – istnienie aż samego Pana Boga, to doprawdy czysty komizm, nie mówiąc już o bezczelności. Ale nie mówiłem o tym ani księdzu, ani profesorowi biologii, tylko zapisywałem ich lekcje albo udawałem, że zapisuję. Nie zawsze jednak byłem taki mądry, na początku zadawałem pytania i próbowałem dyskutować.

– Proszę księdza, czy ja mam duszę?

– Oczywiście, mój synu, co za pytanie. Każdy ma duszę.

– A po mojej śmierci moja dusza idzie do nieba?

– Jeżeli na to zasłuży, naturalnie.

– Wobec tego ja to co innego, a moja dusza to co innego. Ja mam duszę, czyli ona nie jest mną, a ja nie jestem nią, skoro istniejemy rozdzielnie. Więc ja się zapytuję, co to jest to ja, kim jestem? Co to jest dusza, nawet się nie pytam, ewentualnie mogę się zapytać w drugiej kolejności, bo przede wszystkim chciałbym wiedzieć, kim jestem ja sam.

Ksiądz postawił mi niedostatecznie i tyle skorzystałem. Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Próbowałem znaleźć odpowiedź samodzielnie, ale bezskutecznie. Ja bym się nie pytał, gdyby mnie nie uczono, że „człowiek jest duszą”, ale nie, słyszę tylko, że „człowiek ma duszę”. Wobec tego, kto to jest, ten człowiek? Przecież ważniejszy jest ten, kto ma, niż to, co on ma. To znaczy – owszem, też bym się pytał, wtedy bym się pytał „co to jest dusza”, a nie „kim ja jestem”. Wyszłoby na to samo i też byłby kłopot z odpowiedzią.

Z profesorem biologii też miałem przeprowadzić. Mówił mi o ewolucji, że niby od białka do coraz wyższych, coraz to bardziej złożonych form. Zapytałem:

– A dlaczego formy skomplikowane mają być wyższe niż nieskomplikowane?

– Ponieważ najpierw są nieskomplikowane, a potem dopiero się komplikują.

– To znaczy wszystko zależy od tego, jak się umówimy. Jeżeli umówimy się, że to, co było najpierw, jest zawsze gorsze od tego, co nastąpiło potem – wtedy zgoda. Ale jeżeli tak się nie umówimy? Co wtedy? Bo niby dlaczego komplikacja jest lepsza od niekomplikacji? Gdzie są na to dowody?

Postawił mi niedostatecznie. Ale moim zdaniem, zamiast wyklądać po prostu to, co wiedział o ewolucji, pomieszał ją z ideą postępu, która głosi, że to, co wyniknęło, jest zawsze lepsze od tego, z czego wyniknęło, tylko dlatego, że wyniknęło. W dodatku przyplątał mu się ateizm. Cóż by mu

szkodziło zajmować się biologią, do czego przecież był powołany, bez wyciągania z niej wniosków tyleż ogólnych, co arbitralnych.

Więc już wolałem profesora wszytkologii, bo u niego wszystko było wymyślone od początku do końca, przynajmniej czysta sprawa i wiedziałem, z czym mam do czynienia. Wszytkologia bardzo była ceniona i wszytkolog był jednocześnie dyrektorem szkoły. Kamieniem węgielnym wszytkologii była polityka, kamieniem węgielnym polityki była teza ekonomiczna, a kamieniem węgielnym tej ekonomicznej tezy był jeden Żyd z Trieru, bardzo zdenerwowany. W ogóle, jak każdą sprawę poskrobać, to okaże się, że pod niejedną siedzi jakiś jeden Żyd z jakiegoś miasta czy miasteczka. Co tyleż świadczy za Żydami, co przeciwko nim.

Ten Żyd był namiętny i takim będąc nie mógł się powstrzymać od ogłoszenia swojej nauki nie jako tezy tylko, jeżeli już nie hipotezy, lecz ogłosił ją jako prawdę absolutną, która zawiera w sobie wszystkie inne prawdy. Takie zapewnienie stało się podstawą jego sukcesu, ponieważ tezą zainteresowałyby się tylko ten czy ów, i to ze zrozumiałą rezerwą, natomiast prawdy absolutnej potrzebują wszyscy. Istotą wszytkologii jest to, że odpowiada ona wszystkim, choć nie każdemu, ale to jej wcale nie przeszkadza, bo nie-każdy nic nie znaczy wobec wszystkich. Z wszytkologiem nawet nie próbowałem dyskutować, nie tylko ze strachu, lecz także z pewności, że dyskusja z nim nie miałaby sensu, dyskusja może dotyczyć tylko określonego tematu, ale nie wszystkiego. Wszytkolog czuł się więc bezpiecznie i najsilniej, z tego dobrego samopoczucia, pouczał.

Jakich to nauczycieli nie było w tej szkole. Był nawet profesor od anarchii. Ten zaczynał lekcję od tego, że wywoływał ucznia i rozkazywał: „Daj mi w pysk”.

– Jakże to, w pysk pana profesora?

– Siadaj, niedostatecznie.

I wywoływał następnego. Tylko ten, który go bił w pysk bez wahania, otrzymywał dobrą notę.

Doszło do tego, że tylko najbardziej niezależne, najbardziej odporne i buntownicze jednostki nie były go po pysku. Wolały znosić prześladowanie, niż stosować się do rygorów tej nauki, ulegać anarchistycznym autorytetom. Tylko silne charaktery były do tego zdolne. Reszta konformizowała.

Z miłości bliźniego też były ćwiczenia. Od tego był nowoczesny instytut wyposażony w urządzenia video. Prawie wszyscy lubili ten przedmiot, bo najpierw asystenci rozdawali uczniom ciasteczka, a potem pokazywali trupka z jakiegoś wygłodzonego afrykańskiego kraju. „Nie wstyd wam?” – pytał profesor od HaPeeMBe (Humanistycznej Postawy i Międzyludzkiego Braterstwa). „Wstyyyd”, odpowiadali uczniowie chórem. „Bardzo dobrze” – chwalił profesor i stawiał klasie odpowiednią notę. My zaś rzeczywiście czuliśmy się bardzo dobrze, bo i ciasteczka były bardzo dobre, i wstyd, że my tu sobie je zjadamy ze smakiem, a tam na video trupek, też był w pierwszorzędym moralnym gatunku. Więc czuliśmy się wrażliwi i szlachetni. Dopiero kiedy zwymiotowałem na profesora, zrobił się skandal i omal nie wyrzucono mnie ze szkoły, czego gorąco pragnąłem, ale nic z tego. Ze szkoły nikogo się nie wyrzuca, przeciwnie, ze szkoły nie można nawet uciec. A więc to było tylko udawanie, że się mnie ze szkoły wyrzuci, za karę niby. Oczekiwano więc ode mnie, żebym okazał tę samą hipokryzję, czy skrucę, a kiedy nic nie okazałem, postawiono mi tylko niedostatecznie z wrażliwości i minus niedostatecznie z sumienia, poczym zostawiono mnie oczywiście w szkole.

Byłem więc nadal nauczany, pouczany, przyuczany, douczany, poduczany i wyuczany. Miałem tylko tę jedną nadzieję, że nauczyciele się nawzajem wygryzą. Pamiętałem bowiem, co przepowiadał mój sen. Ale nawet sny nie mówią prawdy ostatecznej i nie można na nich polegać. Nienawidzili się między sobą wszyscy, ale do wojny powszechnej między nimi nie dochodziło, ponieważ łączył ich wspólny cel: mnie nauczyć. Różnych wprawdzie i sprzecznych nauk, ale nauczyć. Dobrze zaś wiedzieli, że podczas wojny nastąpiłaby przerwa w lekcjach i ja miałbym spokój.

W tych warunkach jedyną ulgą była dla mnie przyjaźń z Myszką Miki. Mieszkała sobie na podwórku szkolnym w mysiej dziurze i niczego mnie nauczyć nie chciała, czy to dlatego, że taki miała charakter, czy że sama nic nie wiedziała, to znaczy nie reprezentowała żadnego światopoglądu, ani nawet żadnej gałęzi wiedzy i nauki. Na początku naszej znajomości ją też

podejrzewałem, bo wydawało mi się niemożliwe, żeby ktoś kogoś o czymś pouczać nie chciał. Wkrótce jednak przekonałem się, że to był wyjątkowy wypadek, i nabrałem do niej zaufania. Odtąd stała się moim jedynym przyjacielem. Wymykałem się do niej w krótkich chwilach między lekcjami i tylko przebywanie z nią dodawało mi sił, aby przetrwać kolejny wykład o jakiejś kolejnej Prawdzie. Już myślałem, że – dzięki Myszce Miki – jakoś się żyć da, kiedy zdarzył się wypadek, który zburzył tę moją ostatnią i jakże skromną nadzieję.

Pewnego razu siedzę sobie z Myszką Miki w jej mysiej dziurze, wesoło jest tam i przyjemnie, kiedy słyszę przed dziurą szelesty jakieś, tupoty i szepty. Wyzieramy, ja i Myszka Miki, ostrożnie, przez peryskop (Myszka Miki była bardzo pomysłowa i miała takie różne urządzenia na zawołanie) – i widzimy, że przed dziurą zebrało się całe ciało pedagogiczne. I jednocześnie słyszymy:

- Ha! Tu jest, w tej dziurze!
- Ha! Tu, w tej dziurze ukrywa się Myszka Miki!
- Ha, tu ją złapiemy!
- Ha! Teraz ją nauczymy!
- Światopoglądu materialistycznego!
- Idealistycznego!
- Gimnastyczno-metafizycznego!
- W każdym razie odpowiednio-całościowego!

– Albowiem – podsumował profesor wszystkologii i wzniosł palec do góry – ostatnie to jest stworzenie na świecie, które go nie posiada i w towarzystwie nie wyraża opinii. A zatem, koledzy, do dzieła!

Nie było czasu do stracenia. – Uciekaj! – krzyknąłem do Myszkki Miki. Ale Myszka sama wiedziała, co jej grozi. Wyskoczyła z dziury i pomknęła przed siebie.

– Za nią! – krzyknęli pedagodzy i popędzili za Myszką. Nie wiedzieli, że ja przypadkowo też znajdowałem się w dziurze, i nie oglądali się za siebie. Korzystając z tego chwyciłem karabin maszynowy (znaleźć w królestwie Myszkki Miki jakakolwiek rzecz – to drobiazg) i popędziłem za tym tłumem. Kiedy tylko Myszka Miki uskoczy gdzieś w bok – bo zrobić jej krzywdy przy okazji nie chciałbym za nic na świecie – otworzę ogień ciągły.



## STEP

Pędziliśmy stepem, jechaliśmy stępa, Kogut, Lis i ja.

I *Jabłoczko* piosnkę trzymaliśmy w zębach. To znaczy Lis – bo miał zęby. Kogut wymawiał się brakiem uzębienia, a ja, choć miałem jeszcze parę trzonowych, też wolałem się tym nie zajmować.

Nie zawsze tak było. Kiedyś *Jabłoczko* piosnka ślicznie brzmiała, jabłuszko było dorodne, rumiane, świeże i pachnące – prościuteńko z naddnieprzańskich sadów. Każdy chciał je mieć w pysku.

– Eśooie... – powiedział Lis.

– Mów wyraźniej, bo nie rozumiem – odpowiedziałem.

Lis wyjął *Jabłoczko* piosnkę z organu mowy i ponownie sformułował:

– Weź to ode mnie.

– Jakże wezmę, kiedy mam tylko trzonowe, a trzymać trzeba w przednich. Może Kogut by wziął?

– Jam ptak, a nie pterodaktyl – na to Kogut. – U mnie już żadnego w ogóle zęba na skutek ewolucji. Jam trzymał w dwudziestym pierwszym, kiedyśmy Kaukaz tłumili, ja na Ukrainie trzymał przy rozkułaczaniu w trzydziestym trzecim, ja w czterdziestym czwartym w republikach bałtyckich też trzymałem, ale nie puścił tylko przez wierność Partii. Bo jabłoczko jest okrągłe i ptak tylko przez wierność Partii w dziobie utrzymać je może. I teraz też – jasne – potrzynam, kiedy Partia wezwie, ale Lis nie Partia, tylko zwykły kozak, czyli darujcie, bracia, lecz dziób u mnie zmęczony.

– Wwa-asza-ać... – powiedział Lis, znowu niewyraźnie, bo chcąc nie chcąc znowu sobie *Jabłoczko* piosnkę między zęby wsadził.

Pędziliśmy stepem, jechaliśmy w kłębach kurzu, a trawa pomięta co dawno pomięta, nie podnosiła się, bo się jej podnosić już nie opłacało, i tylko malachit stepowy jako materia nieożywiona nic z nas sobie nie robił i trwał w stosunkowo dobrym stanie.

Popatrywałem na Lisa z niepokojem. Bowiem jabłuszko tak niegdyś jędrne i pachnące, od dawna robaczywym już się stało, a wiadomo, że robaczki będąc częścią przyrody temu samemu co historia prawu dialektycznemu podlegają – to znaczy rozwijają się.

Kogut też ku Lisowi zezował i pewnie też odczuwał ten sam co ja niepokój: potrzyna Lis *Jabłoczko* piosnkę w zębach czy nie potrzyna. Bo jak on puści, to któryś z nas będzie musiał.

Jechaliśmy stepem, pędziliśmy w kłębach...

Słońce jak zwykle ku zachodowi się miało, choć nie powinno, ale ono nie uświadomione przecież – i Lis jakiś zielony na pysku się stał. Ja z Kogutem widzimy, że choć źle z nim już przedtem było, to teraz jeszcze jest gorzej, a lada chwila najgorzej będzie. To znaczy wcale już nie o to chodziło, żeby owocek potrzynał, już nie o to nawet, żeby go wytrzymał, lecz o to już jedynie, żeby się wstrzymał.

Więc się rozglądamy, czy w stepie nadal pusto, żeby jakiego świadka przy tym nie było. Ja i Kogut nie doniesiemy przecież na kolegę, malachit stepowy, murawa pomięta – być może także nie, ale obcy na pewno doniesie.

No i widzimy, że nie pusto. Na widnokręgu kurzawka jakaś, malutka najpierw, ale zaraz coraz większa kurzawa i już automobil przy nas. Zaś w automobilu Michał Swietłow, poeta radziecki, oraz Julian Tuwim, poeta polski – siedzą. Ten pierwszy napisał wiersz pod tytułem *Grenada*, bardzo ładny wiersz, który tak się zaczyna:

*Jechaliśmy stępa,  
Pędziliśmy w kłębach  
I „Jabłoczko” piosnkę  
Trzymaliśmy w zębach.  
Ach, piosnkę tę dotąd  
Na pewno pamięta*

*Malachit stepowy,  
Murawa pomięta.*

...w tłumaczeniu Juliana Tuwima.

A teraz obaj wychylają się ku nam z samochodu.

– Co on taki zielony? – zapytuje Tuwim, który jako poeta znany był z wrażliwości na kolory – i wskazuje na Lisa.

– Bo on chłopską, niezależną Partię zakłada, a kolor zielony sztandarem ludu na roli pracującego jest – objaśniłem.

– Co on zakłada, co? – zainteresował się Michał Swietłow, bohater socjalistycznej pracy literackiej.

– Niezależną, samorządną Partię Ludu Wieśniaczego Wszechrosji. Ponieważ odtąd pluralizm, czyli wielopartyjność w Związku Radzieckim będzie.

Zaś Swietłow:

– A?

Wiadomo, że A samogłoską jest i jako taka wymaga, żeby jamę ustną otworzyć. Więc otworzył i Swietłow swoją, ale tak szeroko – bo szczęka mu przy tym opadła – że nawet arbuz by się w niej zmieścił – i z tak otwartą już pozostał. Więc nawet śpieszyć specjalnie się nie musiałem, tylko wyjąłem *Jabłoczko* piosnkę Lisowi – a czas już najwyższy był – i włożyłem Swietłowowi. Jak Tuwim też będzie chciał, to niech poprosi Swietłowa, może się z nim podzieli.

Odjechaliśmy stepem, pędząc sobie w kłębach, a oni zostali, trzymając to w zębach.

„Kultura”, 9/1985

## RANO, RANO, RANIUTKO

Hrabia obudził się i pomyślał, co zrobi tego dnia.

– Zrobię postępowanie – postanowił.

Ale uświadomił sobie, że jego plan, wyrażony w takiej formie gramatycznej – w pierwszej osobie liczby pojedynczej czasu przeszłego dokonanego – przedstawia się wątpliwie pod względem stylistycznym, śmiesznie wręcz. Spróbował więc w czasie również przyszłym, lecz niedokonanym – będę robił postępowanie – ale wyszło jeszcze śmieszniej.

– Co u diabła, postępowanie to rzecz dobra, chcę zrobić dzisiaj dobrą rzecz, a brzmi głupio.

– Zobaczmy, jak to wygląda w czasie teraźniejszym. – I rzekł głośno:

– Robię postępowanie.

Zabrzmiało tak niezręcznie, że aż się rozejrzał, czy ktoś go nie słyszy, choć wiedział, że jest sam. – To może w czasie przeszłym? – zaproponował sobie ostrożnie. Ostrożność okazała się wskazana. Bowiem ani „robiłem postępowanie”, ani „zrobiłem postępowanie” dobrze nie brzmiało.

Hrabia nie dał za wygraną. Przyszło mu do głowy, aby użyć postępowania w liczbie mnogiej. „Zrobię postępowania” – coś nie tak. „Będę robił postępowania” – też niedobrze. A więc nawet w liczbie mnogiej postępowanie nie nadawał się do przyszłości. Dopiero kiedy Hrabia rozważył zastosowanie postępowania obecnie: „Robię postępowania”, oraz w czasie przeszłym: „Robiłem postępowania”, „zrobiłem postępowania” – zgadzało się.

– Ciekawe – pomyślał Hrabia. – Postępowanie zmierza ku przyszłości, a tymczasem za nic nie da się zastosować w czasie przyszłym. Tylko w czasie przeszłym, czyli w przeszłości czuje się dobrze. Ale przeszłość to przecież wsteczność. Doprawdy, nie rozumiem tego.

Lecz zaraz napadła Hrabiego jeszcze poważniejsza wątpliwość.

– Przecież jeden jest tylko Postępowanie, jak jeden jest Allah. A jednak nie da się go zrobić ani w czasie przyszłym, ani teraźniejszym, ani przeszłym. Czyżby więc jednak było wiele rozmaitych postępowania? Nie, nie, to herezja. Ale i na rozum biorąc, wiele rozmaitych postępowania to czysty nonsens. Bo każdy postępowanie musi być do przodu, inaczej nie byłoby postępowaniem, a więc wszystkie postępowania są w tym samym kierunku. A jeżeli w tym samym kierunku, to niczym się nie różnią między sobą i wszystkie razem tworzą jeden tylko, ogólny i niepodzielny na boki Postępowanie.

To jasne. Ale dlaczego w takim razie tylko w liczbie mnogiej da się zrobić, a w pojedynczej - w żadnym wypadku? I dlaczego nawet w liczbie mnogiej nie da się użyć w przyszłości, dlaczego nie da się zaplanować?

– Jak się nie da, to się nie da – pomyślał Hrabia. A głośno powiedział:

– Ja chciałem dobrze.

Następnie wstał z łóżka i zajął się czym innym.

„Kultura”, 6/1985

## CZUWANIE W GÓRACH

Nowosądecki Majer i ja wynajęliśmy domek w górach, by spędzić wakacje.

Majer zamierzał zbierać grzyby. Nowosądecki – opalać się, a ja nie miałem ustalonych zamiarów.

Dobrze zrobiliśmy. Cisza, spokój, natura, żadnych ludzi dookoła. Dopiero kiedy zapadł zmierzch, zauważyliśmy światełko w oddali. Nawet nie światło. Punkcik świetlny.

Najpierw myśleliśmy, że to gwiazda, ale za nisko na gwiazdę. I świeciło nawet przy pochmurnym niebie, gdy gwiazd nie użyczysz.

Więc może domek jakiś inny? Ale domku żadnego innego nie było w całej okolicy, a tylko nasz jeden jedyny. Ognisko wędrowcy sobie rozpalili? Ale ognisko czerwone jest i miga, a to świeciło złościście i równo.

– Denerwuje mnie to – powiedział Nowosądecki.

– Niech sobie świeci – zajął inne stanowisko Majer. – Daleko, nam nie przeszkadza.

– Nie denerwuje mnie, że świeci – uściślił Nowosądecki. – Tylko, że ja nie wiem, co świeci.

– Typowy głód poznania – skomentowałem. – Właściwy ludzkiej naturze. Człowieka nie tyle interesuje fenomen jako taki, ile przyczynowość. Człowiek chce znać przyczynę.

– Jak już o naturze mowa – denerwował się Nowosądecki – to nas oszukali. Miała być tylko natura, tymczasem okazuje się, że tu są jacyś ludzie. Ja chciałem samotności.

– Skąd wiesz, że to światełko nie jest zjawiskiem naturalnym?

– Właśnie tego nie wiem i to mnie denerwuje.

Nazajutrz poszedł na grzyby, a Majer się opalał. Ja niczego szczególnego nie robiłem i nie mam o sobie nic do powiedzenia.

Nowosądecki wrócił z grzybów zdenerwowany.

– Jakoś mi nie szło, nie mogłem się skoncentrować.

– Dlaczego, przecież pogoda odpowiednia i grzybów mnóstwo.

– Ale ja przez cały czas myślałem, że dzień przeminie, wieczór nadejdzie i to światełko znowu się pojawi.

– Może się nie pojawi.

– Właśnie, nie wiadomo czy się pojawi, czy nie, ta niepewność mnie męczy.

– Więc przypuśćmy, że się nie pojawi. Lepiej ci?

– Jak się nie pojawi, to jeszcze gorzej. Wtedy będę myślał: dlaczego przedtem było, a teraz nie ma?

– Zapomnisz.

– Nie zapomnę, wspomnień się nie zapomina. W dodatku już nie będę mógł go obserwować, tylko we wspomnieniu.

– Poczekaj do wieczora, to się okaże. Nie przejmuj się zawczasu.

Im bliżej wieczora, tym niecierpliwszy stawał się Nowosądecki, choć powinno być przecież na odwrót. Im bliższy kres oczekiwania, tym mniej powinien się niecierpliwić. Zebraliśmy się przed zmierzchem na przyzbie.

– Alem się opalił, co? – rzekł Majer.

– Cicho – zganił go Nowosądecki. – Czekamy, nie rozpraszaaj uwagi.

Zmierzch powoli zapadał, dla Nowosądeckiego za wolno.

– Nie ma – stwierdził Nowosądecki nerwowo. – Już nie będzie.

– Może nam się wczoraj tylko wydawało? – próbowałem go uspokoić. – Czasem się człowiekowi coś wydaje.

– Jednemu, ale trzem? Jeden z nas mógł się pomylić, ale nie wszyscy trzej.

– Zdarzają się halucynacje zbiorowe. Wprawdzie doświadczenie zbiorowe jest normatywną podstawą naszej wiedzy, ale consensus nie wytrzymuje filozoficznej próby.

– Gadanie! – oburzył się Nowosądecki. – Nie próbuj mi zamącić w głowie.

– Ja nie próbuję, tylko analizuję.

– Jest! – krzyknął Majer, który nie brał udziału w naszym sporze, a tylko wypatrywał. – Jest, zapaliło się.

Nowosądecki i ja przestaliśmy teoretyzować i też spojrzeliśmy. Istotnie, w ciemnym masywie gór tkwił świetlny punkcik.

– O Boże! – jęknął Nowosądecki. – Znowu!

– Przecież o to ci właśnie chodziło. Gdyby nie pojawiło się znowu, byłbyś jeszcze bardziej zdenerwowany.

– Co się mnie czepiasz, jego się czepiaj! – i wskazał na światełko.

– Nie mogę. Ty jesteś moim kolegą, a to... Przecież ja nawet nie wiem, co to jest.

– Właśnie – zgodził się Nowosądecki. – Jest, ale co?

Po kolacji Majer smarował się kremem „Nivea”, ja nic nie robiłem, a Nowosądecki wyszedł przed dom. Wpatrywał się w noc, a raczej w ten tylko świetlny punkcik w tej całej nocy. Trudno mu się dziwić. Noc wprawdzie była ogromna, niezmiernie i nieobjęta, ale cała zawieszona tylko na tym jednym punkciku jak na gwoźdźniku.

Rano Majer pojawił się do śniadania wypoczęty, zaś Nowosądecki blady i niewyspany.

– Nie mogłem spać – skarżył się.

– Patrzyłeś w dal do późna, więc nic dziwnego.

– Nawet kiedy się położyłem, też nie mogłem spać. Wciąż rozmyślałem, co to jest, co to być może.

– Masz jakieś hipotezy?

– Żadnej. Jest, świeci i tyle.

Tego dnia już nawet na grzyby nie poszedł. Marudził po domu, łąził z kąta w kąt, w południe dopiero wyszedł na podwórko, gdzie na leżaku rozciągał się Majer.

– Teraz najlepiej chwytą – rzekł Majer wskazując na słońce stojące w zenicie.

– Co mi tam – mruknął Nowosądecki i zawrócił do izby. Najwyraźniej wyczekiwał zmierzchu i dzień mu się dłużył.

O zmierzchu znów zasiedliśmy na przyzbie. Ale, rzecz szczególna, i jak rozmaici są ludzie – Majer i ja już nie w takim napięciu jak wczoraj – czyżbyśmy się zaczęli przyzwyczajać? – natomiast Nowosądecki jeszcze bardziej podniecony.

Majer najmniej okazywał zainteresowania, martwił się, że w południe słońce go za bardzo przypiekło i skóra mu pewnie się złuszczy.

– Ta „Nivea” jest do niczego – narzekał.

– „Pizbuin” jest lepszy – poradziłem. – Próbowałaś?

– Cisza! – krzyknął Nowosądecki.

– Dlaczego? Czekamy na zjawisko optyczne, a nie akustyczne. Jak się ma zaświecić, to się zaświeci, choćbym ja hałasował na bębnie, a Majer na puzonie.

Jakby na potwierdzenie moich słów, w niebieszczejącym, szarzejącym, granatowiejącym obszarze ukazał się złoty punkcik.

– No to idę gotować makaron – powiedział Majer i wstał.

Nowosądecki nie przyszedł na kolację. Został na przyzbie zapatrzony; kiedyśmy, ja i Majer, już się kładli, on siedział w dalszym ciągu.

– Żeby mu tylko co od tego nie odbiło – zatroszczył się Majer. – Dobranoc.

Przy śniadaniu spotkaliśmy się tylko ja z Majerem.

– Wciąż siedzi? – zapytałem Majera.

– Ani drgnie. Siedział przez całą noc.

Wyniosłem Nowosądeckiemu kubek gorącej kawy. Dygotał z zimna, bo w górach noce, a zwłaszcza poranki są chłodne, nawet latem.

– Czemu żeś kocem chociaż się nie nakrył – zapytałem.

– Nie mogłem pójść po koc, bo nie chciałem tego spuszczać z oka. Obserwacja musi być dokładna.

– I zobaczyłeś coś nowego?

– Nie, wszystko, co się da ustalić, to że zapala się wieczorem i gaśnie o świcie. Poza tym ani mrugnie.

– No to czemu jeszcze siedzisz, przecież już zgasło, dzień biały.

– Rzeczywiście – przyznał Nowosądecki i spojrzał na mnie przytomniej.

Przespał ten dzień. Majer tymczasem nabrał pięknej opalenizny, jego obawy co do skóry okazały się płonne.

Nowosądecki obudził się dopiero przed kolacją.

– Jesz dzisiaj? – zapytał Majer.

– Tylko suchy prowiant. Biorę na drogę.

– Na jaką drogę? – zdziwiliśmy się.

– Pójdę i zobaczę, co to jest.

– Daj spokój – próbował go powstrzymać Majer. – Co będziesz chodził po nocy.

– W dzień nie znajdę.

– Niech idzie – poparłem go. – Ma nam głowę zawracać, to już niech lepiej idzie i zobaczy, inaczej zepsuje nam całe wakacje.

Poszedł. Wrócił nazajutrz koło południa.

– No i co? – powitaliśmy go, Majer i ja.

– Nic, za daleko. Przez jedną noc się nie dojdzie. Majer spojrzał na mnie, a ja na Majera. Już wiedzieliśmy, co nastąpi.

I rzeczywiście. Nowosądecki znowu przespał dzień, a nad wieczorem spakował plecak.

– Nie wiem, kiedy wrócę, może dopiero za kilka dni. Wy, chłopcy, zostańcie tutaj i czekajcie na mnie.

Czekaliśmy dzień, potem dwa. Pierwszej nocy spaliśmy jak zwykle, drugiej też żeśmy się nie martwili o Nowosądeckiego, bo wiedzieliśmy, że co najmniej dwóch nocy potrzebował. Pod wieczór drugiego dnia zaczęliśmy się niepokoić.

– Nie ma obawy – dowodził Majer. – Może mu dłużej zejdzie niż przypuszczamy.

– Pewnie, dwie noce w jedną stronę, to i z powrotem dwie, albo dzień i noc, jeżeli będzie wracał bez odpoczynku. Możemy się go spodziewać najwcześniej dopiero nad ranem.

Mimo tej logiki jakoś nie ruszaliśmy się z miejsca, patrzyliśmy w tę stronę, gdzie w górskiej i nocnej czeluści tkwił świetlny punkcik. Jakoś nie chciało nam się rozmawiać i tak siedzieliśmy długo.

– Która godzina? – zapytałem wreszcie.

– Będzie koło północy.

– No, to lepiej iść spać. Przed świtaniem na pewno nie nadejdzie.

I już się odwróciłem, żeby wejść do domu, gdy Majer zawołał:

– Ty, zobacz!

Zobaczyłem – w ciemności, w pustce, nie jeden teraz punkcik światła, ale dwa. Jeden tuż obok drugiego, jednakowe, aż nie wiadomo, który był wcześniej, a który później. Majer też nie wiedział, choć twierdził na początku, że to lewe światełko zapaliło się koło prawego, ale kiedy go przycisnąłem, zmienił zdanie i utrzymywał z kolei, że to prawe koło lewego. Przedłożyłem mu, że ani lewe nie mogło się zapalić koło prawego, ani prawe koło lewego, bo póki było tylko jedno, to nie mogło być ani prawe, ani lewe. Wtedy musiał się przyznać, że też właściwie nie odróżnia, a tylko próbował dla jakiegoś porządku. Wyglądały jak para oczu.

Źle spaliśmy tej nocy.

Nowosądecki nie wrócił ani trzeciego dnia, ani piątego. Gdy przyszedł i minął siódmy – Majer powiedział:

– A może by mu wyjść naprzeciw?

– Czekać nam kazał. A poza tym...

– Co poza tym?

Siedzieliśmy jak zwykle na przyzbie patrząc na te dwa światełka.

– Jeżeli najpierw świeciło tylko jedno, a teraz, kiedy Nowosądecki nie wrócił, świecą dwa, to nasuwa się przypuszczenie...

- Jakie przypuszczenie? – ponaglił mnie Majer, ponieważ zwlekałem z dokończeniem.
- Że jako drugie świeci Nowosądecki. Majer zastanowił się.
- Bardzo możliwe – powiedział wreszcie. – Ale w takim razie, co świeciło najpierw?
- A skąd ja mogę wiedzieć! – odparłem ze złością. – Nowosądecki też był tego ciekawy.

A jak już tak bardzo chcesz, to chodźmy i przekonajmy się.

- Nie ma mowy – uspokoił mnie Majer. – My tu jesteśmy tylko na wakacjach.

„Tygodnik Powszechny”, 5/1985

# PAMIĘĆ

- Warto by odsłonić jakąś tablicę pamiątkową – powiedział Kogut.
  - Kiedy ja nic nie pamiętam – zmartwił się Lis. – A ty? – zwrócił się do mnie.
  - Ja pamiętam różne rzeczy, czasem to, czasem owo, ale przeważnie nic takiego.
  - Na przykład co?
  - Wyleciało mi z głowy.
  - Najlepszy dowód, że tablica pamiątkowa jest konieczna – stwierdził Kogut. – Bez niej niczego nie pamiętacie.
  - Ale w jakiej sprawie tablica, kiedy każdy z nas nie pamięta czego innego?
  - Nie szkodzi. Odsłonimy tablicę pamiątkową *in blanco*.
  - To znaczy?
  - Na okaziciela. My wmurujemy tablicę, a każdy, kto na nią spojrzy, wspomni sobie, co będzie chciał. Najważniejsze, żeby była tablica.
- Jak pomyślano, tak zrobiono. Wmurowaliśmy piękną tablicę. Na niej wyryty napis: „Ku pamięci” i trzy kropki.
- Ładnie to wypadło. Nazajutrz wróciliśmy, żeby zobaczyć, jak działa.
- Przed tablicą stało dwóch.
- To panowie wmurowali tę tablicę?
  - My. Ładna, co?
  - Prosimy z nami.
- Zaprowadzili nas do urzędu. Nie był to urząd pocztowy.
- Panowie wmurowali tablicę ku pamięci tego, czego nie trzeba.
  - Niekoniecznie, przecież tablica jest ku pamięci czego kto chce.
  - My dobrze wiemy, czego kto chce.
  - Ale to mogą być rozmaite rzeczy. Nie wszyscy chcą tego samego.
  - My już dobrze wiemy, czego wszyscy chcą.
  - Wobec tego my całkiem przeciwnie.
  - Co przeciwnie?
  - Przeciwnie do tego, co panowie myślą, że myśmy myśleli.
  - My już wiemy, co wyście myśleli.
  - No właśnie. To my akurat odwrotnie.
  - Co odwrotnie?
  - Odwrotnie niż to, co panowie mają na myśli, że myśmy mieli na myśli.
  - Acha, to znaczy przyznajecie się, żeście mieli na myśli?
  - Tak, ale co innego.
  - Bez wykrętów. Żeby pomyśleć co innego, trzeba najpierw pomyśleć to.
  - Co?
  - To właśnie, czego nie trzeba. Musieliśmy im przyznać rację, chociaż byliśmy niewinni. Logika jest logiką.
- Wypuścili nas pod warunkiem, że w ogóle nic nie będziemy myśleć. W drodze powrotnej przechodziliśmy koło tablicy. Ale tablicy już nie było.
- Myślisz coś? – zapytał mnie Lis półgłosem.
  - Ja? Skądże – odpowiedziałem głośno: – Może Kogut?
  - Ja myślę... – zaczął Kogut, też głośno.
  - To lepiej przestań – przerwał mu Lis szeptem.
  - Dlaczego? – sprzeciwił się Kogut głośno. – Ja sobie tylko myślę, że dobrze by było wmurować tablicę pam...
- Nie dokończył, ponieważ Lis łapą zamknął mu dziób. Kogut jednak uwolnił się energicznie.
- O co chodzi?! – zawołał, stając w miejscu. – Ja tylko proponuję, żeby wmurować tablicę pamiątkową na pamiątkę tablicy pamiątkowej!



Nie zdążyliśmy wyrazić naszego stosunku do tej propozycji, bo podeszło do nas dwóch.  
– Nie stać i nie robić zgromadzenia – powiedzieli. – Przechodzić, przechodzić!  
No tośmy przeszli, przeszli.

„Kultura”, 5/1985

## DON JUAN

Kiedy rzuciłem mu wyzwanie, byłem młody. W przyszłości widziałem siebie tak: W pustym pałacu, przy stole obficie zastawionym – ja czekam. Płoną świece, a naprzeciwko miejsce dla kamiennego gościa. I widziałem siebie, jakim wtedy byłem, wyprostowany, oczy błyszczące, zachwycone własną zuchwałością. Rosnącą aż do upojenia w miarę jak zbliża się północ.

Nie przewidziałem, że minie czas. To znaczy, że wszystko będzie tak samo, jak miało być, ale ja nie będę ten sam.

Noc, a w pustym pałacu przy stole obficie zastawionym ja czekam. I świece płoną, a naprzeciwko miejsce dla kamiennego gościa. I choć wyprostowany, to jakże chętnie bym się pochylał i wsparł łokciami o stół. I rośnie znużenie w miarę, jak zbliża się północ.

Oczy, tak, widzą jeszcze, ale niczego już widzianemu nie narzucają ani nie odmawiają niczego. Zastawa, owszem, wielka, ale jednakowa z migotaniem srebra jest ta ciemna plamka na skórze tej brzoskwini, mała jeszcze.

Przeciagi. Czy wtedy myślałem o przeciagach? Na pewno nie. Komnaty otwarte na przestrzał, z ogrodu nocny chłód. Płomienie świec skłaniają się w powiewie, krąży ćma. Ale przede wszystkim ukłucia w czaszce. Czy dawniej miewałem newralgie? Nie.

Kiedyś chciałem się bać, bo strach przetwarzałem w zuchwalstwo. Im większa groza, tym wspanialsze moje bluźnierstwo, pyszne i złotogłowe. Dzisiaj strach do niczego mi nie służy. Pozostaje strachem powszednim i nudnym jak newralgia.

Czy dotrwam? Odejdę przed czasem? Ach, nie ze strachu nawet, tylko ze zwątpienia. Bo ja w to wszystko już nie wierzę. Kiedyś potrzebowałem świata, a świat potrzebował mnie. Dlatego rzuciłem mu wyzwanie. Bez tej wzajemnej potrzeby nie miało ono sensu, a teraz jej już nie ma. Więc dzisiaj – dla kogo to przedstawienie? Bo ono już nie dla mnie, ani nie dla świata.

Przychodzi myśl, żeby je odwołać, jakoś załatwić to z Komandorem. Pomówić z nim, jak dojrzały mężczyzna z mężczyzną. Wyjaśnić okoliczności, przedstawić, jak teraz wygląda początek tej sprawy z jej obecnego, prawie już obecnego końca. Jak inaczej. Może i Komandor już nie ten sam co wtedy, może i on się zmienił, więc zrozumie? Ale on przecież kamienny, a kamień się nie zmienia. Kiedy go zabiłem w pojedynku, skamieniał w posąg nagrobny i takim już pozostał. Kamienny już był, gdy go zaprosiłem na ucztę i potem też, w ciągu tych wszystkich lat, kiedy ja się starałem, bo wciąż byłem żywy, niezmienny, kamienny przyjdzie za chwilę. Wciąż taki sam, El Convivador de Piedra. Więc ludzić się nie należy.

Mysz chrobocze. Co robi mysz w tym marmurowym, bezludnym pałacu? To, co musi, żyje, a że wypadło jej żyć akurat tu, tym gorzej dla niej. Czym ona tutaj się żywi? Ciężko jej chyba.

Więc ostatecznie mysz ma być świadkiem tego przedstawienia? Tak kosztownego, bo przeznaczonego dla tak wielkiej publiczności. Zapłacę życiem doczesnym i potępieniem wiecznym, oto jest cena. A teraz, tutaj – mysz, tylko mysz.

A czemu by właściwie do Dony Anny nie wrócić, nie prosić jej o przebaczenie. Przecież mylą się ci, którzy sądzą, że porzuciłem ją tak łatwo, jakbym nie był człowiekiem. To tylko część mojej legendy, której – przyznaję – nie starałem się zaprzeczyć. O wiele łatwiej by mi było przy niej pozostać, niż od niej odejść mi było. Więc czemu nie, z ambicji, z dumy, honoru? Z wierności własnej legendzie?

Jakiej legendzie, nie bądźmy śmieszni. Co do honoru, od dawna wiem, że tak nazywa się pycha, czyli nicość. Przynajmniej w tym wypadku. Ale jakżeby wyglądał ten powrót? Oto pojawia się pod murami jej klasztoru postarzały, były kochanek. „Znów jestem” – woła – „Wyjdź do mnie, razem odkopimy trupa naszej miłości. Przebacz mi, że ją zabiłem, posadzimy ją między nami i przytulimy się do niej, bo osłabły już moje kolana i przygarbiły się moje plecy, zimno mi”. Czy tak mam jej powiedzieć?

A nawet jeżeli inaczej, bo żywe są wspomnienia... Właśnie: wspomnienia, w tym sedno. Myślę o niej, o takiej, jaką zostawiłem, obecna jest dla mnie, jak była przed laty, tak samo. Tak samo – i to właśnie, ta prawda, nie może być prawdą, bo ona przecież już nie ta sama, dziś Dona

Anna nie może być tą samą, jaką była przed laty. Ona także. Spaliło, przepaliło ją cierpienie. Więc czego chciałbym od niej, czego chcieć miałbym prawo?

Lecz nawet gdyby mnie przyjęła, co dalej i jak? Tyleż wtedy żądać od dłoni odciętej od ramienia, żeby odnalazła rękawiczkę rzuconą w morze. Wymagać od wiosny, żeby nastąpiła po lecie, spodziewać się, że minie przemijanie.

A nawet, a nawet...

Jeżeli wszystko co było, nie przeminęło, to nie przeminęło również i to, co sprawiło kiedyś, że ją porzuciłem.

Więc wytrwam, ale bez przekonania. Uczynię zadość legendzie. Ale moje zatracenie, tak pełne znaczącej grozy dla potomnych, dla mnie będzie puste. Pójdę do piekła w znużeniu i nijakości, choć chciałem inaczej. Chciałem coś za coś, okazało się, że oddałem coś za nic. I sam stałem się niczym. To nawet i lepiej, bo piekło pochłonie nicość. Nie tylko ja, piekło też będzie oszukane.

Pozostanie tylko mysz. Pożywi się, tego jadła na stole wystarczy dla całego dworu, cóż dopiero dla jednej myszy, choćby i wygłodzonej. I tylko ona jedyna będzie miała z tego pożytek.

Lecz nie, nawet i ona nie... Przecież ten stół zapadnie się w piekielne otchłanie razem ze mną. Bo przewidziane jest tak: gdy wybije północ, z najdalszych komnat rozlegną się kamienne kroki, kamienne echo odbije je od kamiennych ścian, głośniejsz i głośniejsz, bliżej i bliżej. Tu wreszcie, tuż obok, aż go zobaczę w drzwiach. Wtedy uniosę się z miejsca, ażeby go powitać. Gdy stanie przede mną, wyciągnę rękę, podam mu swoją. Jego kamienna dłoń zaciśnie się na mojej ludzkiej dłoni. Błyskawica, grom. Rozstąpi się ziemia, buchną płomienie i wśród zapachu siarki całe to bogactwo, te srebra, owoce, wina, aksamity i ja sam w uścisku Komandora runiemy w głąb. Dla myszy nie zostanie nic.

Więc póki czas biorę chleb ze stołu, odkładam na uboczu dla myszy, poza piekielny krąg. Niech ma i niech będzie szczęśliwa. Nie mnie sądzić, czy to mało znaczy czy wiele. A nawet jeżeli niewiele, lepiej tyle niż nic.

„Tygodnik Powszechny”, 10/1984

## PILNA SPRAWA

„Bawmy się, bo nie wiadomo, czy świat potrwa jeszcze dwa tygodnie” – powiedział Hrabia i nieomal kupił sobie lody.

Nieomal, ponieważ lodów zabrakło.

Wobec tego postanowił oddać się rozpuście. Lewą ręką ujął tę część aparatu telefonicznego, która niezbędna jest, aby owym aparatem się posłużyć, zaś prawą, przy pomocy palca wskazującego tejże, dokonał odpowiedniej czynności. Głos znajomej pani oznajmił, że jest zajęta. A był to trzynasty dzień przed końcem świata.

W dwunastym Hrabia kontemplował możliwość zmiany upodobań. Jednakże te nie poddały się pracy wyobraźni. Nieubłagany kaprys natury skazywał go na heteroseksualność.

Z równym brakiem powodzenia rozważał Hrabia uroki współżycia ze światem zwierząt, a później nawet roślin i materii nieożywionej – w dniu jedenastym.

Ponieważ konieczność zabawy rosła proporcjonalnie do czasu, który mijał, w dniu numer dziesięć Hrabia postanowił zabawić się w chowanego. Schował się, ale znaleziono go od razu przy pomocy Ewidencji Centralnej (Central Intelligence Data). Następne trzy dni spędził w areszcie śledczym, zanim udowodnił, że ukrył się tylko dla zabawy.

W dniu szóstym odpoczywał, co było zupełnie zrozumiałe.

W piątym wyszedł na miasto i odwiedzał znajomych, których błagał, aby mu opowiadali dowcipy. Nie wszystkie były zabawne, a te, które były – Hrabia znał je wszystkie, podobnie jak i tamte, należące do pierwszej kategorii. Bowiem nowych dowcipów już nie było.

W czwartym – na zabawę taneczną. Lecz miał za ciasne buty.

W trzecim – do cyrku. Lew nie chciał skakać przez płonącą obręcz.

W drugim – czytał gazety. Formy byłyby zabawne, gdyby nie ich treści i na odwrót.

W ostatnim dniu przed końcem świata Hrabia przygotował kanapki z jajkami na twardo, postawił krzesło na balkonie, owinał się w koc i usiadł, aby nie przegapić momentu, w którym świat się skończy. Miał nadzieję, że przynajmniej to zdarzenie, tak wyjątkowe, nie będzie pozbawione elementu rozrywki.

Nazajutrz świat trwał nadal.

Hrabia z ulgą zaprzestał usiłowań. Okazało się, że zabawa to nic pilnego.

„Kultura”, 4/1987

## JEZIORO

Wiosłuję. Wiosła zanurzają się w wodę, a kiedy się wynurzają, woda pozostaje ta sama, nie jej to nie szkodzi. Żółte kaczeńce płyną ku mnie, czy ja ku nim. Kołyszają się, kiedy trafiają pod wiosła, ale nie tracą równowagi. Też im to nic nie szkodzi. Dziwna rzecz, nikomu nie szkodzę, a jest mi przyjemnie.

Dzień letni, jezioro sobie, a niebo sobie. Nawzajem sobie nie szkodzą, a są. Wiosła chrobocą w dulkach, ale ich głos też jest na miejscu. Na swoim. I ja też jakbym tu powinien być, choć nie muszę. Przymusu nie ma, ale już kiedy tu jestem – wszystko w porządku.

I nie, żeby mi skądś albo dokądś płynął. To znaczy, ani się nie śpieszę, ani nie płynę powoli. Płynę poza tymi słowami. Może właśnie dlatego tak jest przyjemnie? Ale po co nad tym się zastanawiać, jakieś niepotrzebne przyzwyczajenie. I co mi z tego przyjdzie, nawet gdybym się domyślił, dlaczego jest tak przyjemnie? Chyba nic, może być tylko mniej, zajęty domyślaniami się nie zobaczę wierzby, jak pochylona na brzegu zanurza wiotkie, zielone – warkocze jakby – w wodę. Ani trzech burych ptaków z szafirowymi szyjami, unoszących się tam i sam wśród trzciny, od czasu do czasu kryjąc te szyje pod wodą. I choć ptaki, nikt im nie może zarzucić, że są w wodzie, a nie w powietrzu. Jak im się zechce, to polecą.

Chyba popołudnie, ale nie późno, słońce wysoko, ale uprzejmie, bo nie wprost nad głową, tak że się z nim jest, ale mu się nie podlega.

Tylko że światło szybko jakoś robi się niemiłe, mdłe, a ostre jednocześnie, woda twardnieje, ptaków nie ma, jeziora nie ma, a tylko ja siedzę w krześle i wiosłuję, ale bez wiosła. Obok mnie stoi jakiś pan we fraku i wyciąga do mnie rękę. A przede mną bardzo dużo ludzi, siedzą w rzędach i śmieją się.

– Dziękuję – powiada do mnie hipnotyzer. A potem do sali: – Kto z państwa następny?

Próbuję jeszcze rękami, choć już bez wiosła i bez niczego, parę razy. Jeszcze większy śmiech na sali. Więc przestałem, wstałem z krzesła i zszedłem ze sceny pośród wielkiego śmiechu.

W głowie mi się trochę kręci. Jak przestanie, spróbuję zrozumieć, z czego oni się właściwie śmieją.

## PROKURATOR

– Znałem jednego – powiedział Lis – który codziennie podpisywał na siebie wyroki śmierci.  
– To znaczy zgadzał się z wyrokami sądu? – zdziwił się Kogut.  
– I dlaczego codziennie – zawtórowałem. – Przecież jeden wyrok śmierci jest zupełnie wystarczający.

– Miałbyś rację – odpowiedział Lis – gdyby ten pierwszy wyrok został wykonany. Albo drugi, czy którykolwiek z następnych. Ale to nie sąd go skazywał, ale on sam siebie. Sam sobie wytaczał procesy przed samym sobą, sam się oskarżał, sam uznawał się za winnego i sam siebie skazywał.

– Nie lubił siebie?

– Nie, ale lubił pisać. Bowiem wszystko to robił na piśmie. Ledwo skończył jedną sprawę, a już zaczynał następną, zawsze stosował najwyższy wymiar kary, ale na egzekucję zabrakło mu czasu.

– To znaczy powtarzał się?

– Można by tak uznać, gdyby nie różnorodność oskarżeń. Przypisywał sobie najrozmaitsze winy, a w przewodzie sądowym był niezwykle skrupulatny. Każde oskarżenie starał się ująć do głębi i w najdrobniejszych szczegółach.

– Był perfekcjonistą?

– Więcej, estetą. Pisał tylko na welinowym papierze, japońskim pędzelkiem. Inicjały i numery paragrafów malował. Oczywiście nie znosił, żeby jakaś plamka albo kleks... Wtedy zaczynał proces od początku. Zabierał się do następnego tylko wtedy, kiedy był zupełnie zadowolony z poprzedniego, i to pod każdym względem.

– Jakby był zupełnie zadowolony z poprzedniego, toby się nie zabierał do następnego – zauważył Kogut.

– Czyli poprzednie wyrzucał – zauważyłem ja.

– Ależ skąd! Wszystko przechowywał w szafie. Po latach narosło tego tyle, że musiał kupić drugą szafę. Był do tych swoich wyroków bardzo przywiązany. A już najbardziej był przywiązany do swojego podpisu. Przez wprawę i staranie nauczył się podpisywać imponująco. Pięknie się podpisywał, powiadam wam, prawdziwe dzieło sztuki.

– I cóż się z nim stało?

– Poślizgnął się na psim gównie, upadł i umarł. Na ulicy.

– Zawsze mówiłem – westchnął Kogut – że trzeba sprzątać ulice.

## POGRZEB EKSTERMINATORA

Przykra wiadomość. Kiedy przyszedłem rano do biura, koledzy mi powiedzieli, że zmarł Naczelnik Wydziału Asenizacji, sąsiednie drzwi w korytarzu.

Zmarły był jednym z najdawniejszych pracowników Magistratu. Zaczął od skromnego eksterminatora, był z tych, co chodzą po domach i gazują karakony. Dzięki pilności i energii doszedł do najwyższego stanowiska w resorcie. Nam, młodym, zawsze stawiano go za przykład.

Pogrzeb zapowiadał się więc bardzo uroczysty, z udziałem Prezydenta Miasta i wszystkich władz według hierarchii, no i oczywiście wszystkich pracowników.

Cmentarz mamy przesłiczny. Pełen starych drzew i krzewiny, szczególnie bżów i czeremchy jest dużo, a że było to w maju, naturalne kwiecie zdobiło ściółkę bujnych ziół i traw. Ta ostatnia okoliczność zwłaszcza pożądana była. Bowiem odprowadzając zmarłego na ostatni spoczynek nie wypada podnosić wzroku, który tym samym pada w dół i tam przebywa na znak żałoby. A cóż widzimy pod nogami, gdy uczestniczymy w jesiennych pogrzebach? Tylko błocko, a w najlepszym wypadku mokry żwir, zaś po bokach nic tylko zgniłe żdźbła i badyle. O ileż raźniej, kiedy widzimy coś miłego na poboczach ścieżki. Również słończko lepsze jest niż bury deszczyk, nie mówiąc o temperaturze. A że dzień wypadł rozkosznie wprost słoneczny, nie mogło być lepszego pogrzebu z punktu widzenia żywego uczestnika.

Zasłużony zmarły chowany był w reprezentacyjnej części cmentarza, gdzie same tylko grobowce murowane i wysokie, a w nich Prezydenci, Profesorowie, Poeci. Przyszła kolej na mowy żałobne, a ja wszedłem między dwa, jeden jakby kamieniczka, drugi indywidualny, z postacią marmurową wielkości naturalnej, prawdopodobnie kobiecą. Trudno stwierdzić, twarz ukryta w dłoniach, a szaty luźne. Wyrażała zadumę i żal. Przy trumnie ścisk i tylko tak, bokiem i między grobami, mogłem mieć jakąś szansę. Nie tylko przestronnie tam było, ale i całkiem przyjemnie, bo między grobowcami rosły stokrotki i mlecze dmuchawce.

W imieniu magistratu i całego miasta głos zabrał Naczelnik Wydziału Kultury. Z racji tej specyfiki resortowej najbardziej był powołany do wyrażenia myśli i uczuć stosownych do okoliczności. A przemówił tak:

„Żegnamy dzisiaj naszego kolegę, który od dziesiątków lat był z nami w naszej pracy i walce. Po raz pierwszy opuścił posterunek. Ach, nie z własnej woli, lecz z przyczyn niezależnych. Gdyby mógł, zostałby na pewno wśród nas, nie dobrowolnie wypuścił z ręki sztandar postępu”.

Ładnie zaczął, więc zebrani ścisnęli się jeszcze bliżej wokół trumny i mówcy, żeby lepiej słyszeć. Mnie zaś przestronnie, bo na uboczu, było.

„Tak, postępu. Bowiem cóż jest właściwszego cywilizacji, jak nie opanowanie przyrody. A ta, jak wiadomo, roi się od przeróżnych insektów, w większości szkodliwych, w rolnictwie zwłaszcza. Los rzucił naszego kolegę na inny szaniec tej walki, nie na odcinek rolniczy. Jednak czy mniej ważny to odcinek?”

Zawiesił głos, a wszyscy zadrżeli w oczekiwaniu na odpowiedź.

„Nie! Bo miasto jest cytadelą postępu, czyli cywilizacji. Cywilizacja zaczęła się dopiero wtedy, gdy nasi przodkowie porzucili łono natury i przestając być pasterzami czy rolnikami, założyli miasto. Dlatego jeden karakon w mieście jest nam bardziej wrogi niż milion chrząszczy na wsi. Tam ostatecznie możemy go jeszcze tolerować jako nieunikniony relikwiarz barbarzyństwa na terenie nie dość jeszcze ucywilizowanym. Ale w mieście? Karakon w mieście jest szyderstwem z naszych osiągnięć i naszych ideałów, ze wszystkiego, co jest nam najświętsze, jest wyzwaniem rzuconym przez wroga nam siły natury. Karakon w naszym mieszkaniu z windą i water-closetem jest, że tak powiem, desakralizacją świątyni postępu. Nie ma i nie powinno być miejsca dla karakona w sercu cywilizacji, gdzie rzuca jej wyzwanie w twarz!”

Okropnie wstyd mi się zrobiło, że dotąd na stokrotki i mlecze dmuchawce, bądź co bądź przedstawicielei występnej natury, przyjaźnie spoglądałem, i nie wiedząc, gdzie teraz wzrok ze wstydu podziąć, umieściłem go na grupie społeczeństwa.

„Kolega, którego dzisiaj żegnamy, wcześniej pojął doniosłość zagadnienia. Zrozumiał, że nawet gdybyśmy wytępilli wszystkie insekty na polach i w lasach, dopóki jeden karakon, szpieg natury, przemyka się chyłkiem po wielkowiejskim parkiecie, dzieło nie zostało ukończone. Dopóki jedna pchła, jedna mucha, jedna stonoga skacze, leci lub pełza przez obronne wały, nie wolno nam spocząć na laurach. Kultura, Nauka i Technika wnoszą wysoko pochodnię postępu, lecz pchła poniżej może sprawić, że zadrzy im ręka. Stonoga stokrotnie kpi sobie z wynalazku koła, a mucha bezcześci ser powszechnej oświaty”.

Miał rację. Ale to ostatnie porównanie wykonał na takich wyżynach myśli, że zakręciło mi się w głowie, i żeby nie upaść, wsparłem się dłonią o płytę grobowca.

„Prześledźmy teraz drogę, jaką przebył nasz Nieodżałowany Kolega. Już jako młode chłopię nie lubił insektów, łapał muchy i – oczekując chwili, kiedy społeczeństwo postawi do jego dyspozycji wszystkie środki, w jakie wyposażyla nas nowoczesna wiedza – obrywał im skrzydełka. Chłopięce igraszki? Lekkomysłność dziecka? O, nie! Przeczucie misji, pierwsze odruchy powołania. Lubiał obserwować lepy, owe taśmy papieru nasyczone klejem podobnym do miodu, które nęcą to skrzydlate robactwo i je gubią wśród przewlekłych bzyków. Studiował skład chemiczny fioletowej trucizny, jaką nasyczone są krążki bibuły wykładane na talerzykach. Przemysłne karafki-pułapki, do wnętrza których mucha trafia, ale nie znajduje wyjścia i topi się w wodzie. Nie mówiąc o prostej pacce, używanie której nie tylko mucha tępi, lecz także ćwiczy bystrość oka i sprawność ręki. Ta była jego ulubioną, dziecinną zabawką.

Mijały lata, rósł i dojrzewał. Talent i zdrowa ambicja nieomylnie skierowały go do szeregów, które w codziennym trudzie strzegą Metropolię przed nawałą robactwa. Już jako prosty eksterminator zwrócił uwagę przełożonych. Rychło...”

Tu zaswędziała mnie ręka, którą wsparłem był o płytę, więc wzrok od grupy oderwałem i wbrew postanowieniom opuściłem go, aby stwierdzić swędzenia przyczynę. Mrówki to były, które przez moją rękę przelazły. Ale przez to straciłem wątek i gdy go odzyskałem, mówca był już przy słowach: „...Rycerz antyowadziej krucjaty, Aleksander Macedoński asenizacji”.

Strzepnąłem mrówki i już miałem wzrok podnieść, gdy zauważyłem, że więcej niż parę ich było. Pędziły mianowicie przez płytę grobowca na skos, jakby autostradą, po linii widać ściśle wytyczonej, bo ani jedna nie zboczyła, a moja ręka była im tylko po drodze. Ruch na tej autostradzie był wielki i dwukierunkowy.

„Bliski jest dzień zwycięstwa. Bowiem pod wodzą naszego Nieodżałowanego Kolegi wygraliśmy decydującą bitwę. Jak po Termopilach i Maratonie greckie zastępy wiedzione przez wielkiego Macedończyka ścigając pobitych Persów wtargnęły do Persepolis i spaliły pałac Kserksesa, tak i ludzkość, po czasach, gdy omal nie została pokonana przez naturę, po okresie, gdy udało jej się uzyskać równowagę w tej wojnie z naturą, a później odnieść świetne nad nią zwycięstwa, teraz szykuje się do zadania naturze ostatecznego ciosu. Godzina tryumfu wybiła.”

Trochę rozproszony byłem, bo wzrokiem wiodąc po mrówczanej ścieżce do nóg moich go skierowałem, bo i ona tam się kierowała, aby w trawie ją zgubiwszy odnaleźć ją na murze sąsiedniego grobowca, tego w formie kamieniczki. Mrówki pędziły prostopadle, z szybkością bardzo wielką, zwłaszcza gdy zważymy, że są bardzo małe, w obie strony i ciągle jak po sznurku.

„Powiedziałem: żył wśród nas, ale nie powiedziałem: umarł. Bowiem jego dzieło żyje, więc on żyje w swoim dziele. I gdy padnie ostatni bastion natury...”

Dalej w tę stronę kierować wzroku się nie dało, ponieważ mrówcza ścieżka, pionowo mur przebywszy, urywała się na górnej krawędzi, a na dach przecież wylazić nie mogłem. Więc zawróciłem go do płyty i od tego punktu, w którym po raz pierwszy mrówianą drogę spostrzegłem, puściłem spojrzenie w drugą stronę. Tam biegła do skraju płyty, potem nikła z pola mojego widzenia na skutek uskoku w optyce, ale ją odnalazłem, jak przez zwirowaną alejkę na drugą jej stronę leciała, wprost pod nogi zgromadzonych. Tam mi się gubiła wśród cholewek i obcasów na glanc wypucowanych.

„...Jak niegdyś stolica barbarzyńskiego cesarstwa...”

Wyszedłem więc z mego stanowiska i zbliżywszy się do społeczeństwa tyłem do mnie zebranego przykucnąłem, aby dalszy ciąg mrówczego pochodu śledzić. Ale nawet z bliska nic



zobaczyć nie mogłem prócz obuwia, nogawek i dolnych rąbków sukni. Wsunąłem się w ten wysokopienny las odnóży, na kształt węża, powiedziałbym, gdyby nie to, że posuwałem się w przysiadzie.

„...On będzie z nami!”

Coraz to mrówiąca się nitka urywała się pod jakimś obcasem, ale ją odnajdywałem, jak po drugiej stronie obuwia, od szpica czy bocznie, znów się ukazywała, żeby zgubić się następnie pod czyjąś podeszwą. Niektórzy przestępywali, albo następowali się, czując moje się przeciskanie dołem, ale czynili to tylko dolną połową ciał, bez świadomego udziału górnej, ponieważ górna zajęta była tym, co się działo na górze. A głos mówcy, choć teraz powinien być przytłumiony masą skupioną nade mną, coraz to silniejszy był.

„...On będzie z nami, gdy ostatecznie ujarzmimy przyrodę i zaprzagniemy ją do rydwanu ludzkiego umysłu, ten zaś uniesie nas ku słońcu Rozumu i Higieny. Boś zwycięzcą jest, rydwanu owego kierownikiem, zwycięzcą nad ciemnymi siłami przyrody! Pogromcą bakterii i dezynfekcji tytanem!”

Najwyraźniej zbliżał się do końca przemowy, podczas gdy ja mrowiego tropu wciąż do końca wyśledzić nie mogłem.

„Ślubujemy za twoim przewodem dalej prowadzić twoje dzieło. Będziemy nieustępliwie dezynfekować, sterylizować, owadobić i asenizować, dopóki nie wytępiemy wszelkiego robactwa. Nie spoczniemy, dopóki ostatni karakon nie padnie na kolana, ostatnia mucha nie wyda łabędziego śpiewu, ostatnia stonoga nie straci gruntu pod nogami. Tak nam dopomóż Ty, nasz niezapomniany przykładzie i wodzu!”

Oni go nie zapomną, ale ja, śpiesząc się teraz gwałtownie, zapomniałem o ostrożności. Mrówki zniknęły mi znowu pod czyjąś stopą, a ja, zamiast opełznąć tę stopę dookoła, chwyciłem przeszkadzającą nogę, do której ta stopa należała, oburącz i przestawiłem ją w bok niecierpliwie. Mrówki ukazały się na tak uwolnionej powierzchni natychmiast, ale jednocześnie chycono mnie za kołnierz i podciągnięto z półmroku wśród odnóży na pełne światło dnia. I zobaczyłem tuż przede mną, w promieniach słońca, nowiutką, czyściutką trumnę dębową, lakierowaną na wysoki połysk, słońce igrało w srebrnych jej okuciach i tylko mrówki przez nią przełaziły psując estetykę mebla eksportowej jakości.

– Ssskandal! – syknął do mojego ucha, szeptem, bo nie mógł głośniej z uwagi na podniosłość chwili, Naczelnik Wydziału Handlu i Przemysłu, do którego przedstawiona noga i trzymająca mnie ręka należała – policzymy się później.

I przekazał mój kołnierz innym, co za nami stali, ci zaś następnym, odśrodkowo, coraz to dalej od ośrodka uroczystości, jedni drugim mnie sobie przekazywali z coraz to mniejszą oględnością, aż ci, co byli najdalej, na obwodzie grupy, wręcz czyli wnoź mnie wykopali poza zgromadzenie, na wolną przestrzeń.

Nie miałem głowy, żeby się tym przejmować. Odkryłem, dokąd idą mrówki, ale nie wiedziałem skąd, czy też odkryłem, skąd idą, ale nie wiedziałem dokąd? Sprawa nie ustalona, ponieważ ruch był obustronny. Odprowadzany w kierunku bramy przez dwóch krzepkich woźnych, wciąż nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie.

„Tygodnik Powszechny”, 41/1988

## DEMIURG

Wczesny ranek, aleja kasztanów. Tej nocy znowu opadły liście. Później przyjdą czyściciele miasta i będzie porządek. Na razie go nie ma.

Ja idę, naprzeciw mnie idzie mała dziewczynka. Liliowe pończochy, tornister szkolny, brodzi w tych liściach umyślnie, żeby słyszeć, jak szeleszczą? Żeby iść z szelestem? Ja idę normalnie, nie szeleszcząc.

Ona idzie w tę stronę, ja w tamtą. Ona mnie mija, ja mijam ją, oboje mijamy ogródek, w ogródku jest kawiarnia. Przy stoliku siedzi jakiś pan, raczej starszawy, i kiwa na nas.

Normalnie bym nie zwrócił uwagi i poszedł dalej. Ale mała dziewczynka przystanęła, więc przystanąłem i ja. Przystanęliśmy razem, choć niezależnie.

– Usiądźcie państwo ze mną na chwileczkę – woła tamten. – Oboje zapraszam.

Normalnie bym nie usiadł. Nie lubię natrętów, przeważnie mają jakiś interes, kiedy zaczepiają, dlaczego mam załatwiać czyjeś interesy. Ale ona weszła do ogródka i usiadła przy tym panu. Więc też wszedłem i usiadłem. Nie mogłem przecież zostawić jej samej z pierwszym lepszym nieznajomym.

Ona machała nogami swobodnie, nie sięgały do ziemi. Ja machałem jedną nogą założoną na drugą nogę, nerwowo, i nie rozglądałem się. Od dawna już się nie rozglądam, ponieważ wiem z góry, co zobaczę. Albo mi się wydaje, że wiem.

Zamówił lody dla mnie, piwo dla małej dziewczynki.

– Chyba pomyłka – sprzeciwiłem się. – Powinno być odwrotnie.

– Normalnie byłaby pomyłka, ale robię eksperyment. Pan pozwoli, że się przedstawię.

Reżyser jestem.

– Od teatru?

– Nie, od ludzi. Rodzaj demiurga, reżyseruję sytuacje.

„Rodzaj wariata” pomyślałem i powiedziałem:

– Bardzo mi przyjemnie.

Normalnie bym wstał i poszedł, ale byłem już jego gościem i zależało mi na małej dziewczynce.

– Pan wie, co to jest demiurg?

– Coś z greckiego.

– Duch stwarzający. Według zwolenników szkoły Platona – wszystko tak, aby było jak najlepiej. Według gnostyków, odwrotnie, wszystko tak, aby było jak najgorzej.

– To pan jest ten czy tamten? – zapytałem, aby podtrzymać rozmowę. Mała dziewczynka niczego nie podtrzymywała, tylko wyjęła z kieszeni małego, pluszowego tygrysa i położyła go na stole, obok solniczki.

– Ani jeden, ani drugi. Mnie interesują tylko eksperymenty.

Tygrysek był nieco wyliniąły.

– Pan wie, co to jest eksperyment?

– Coś, co jest tak, żeby nie było normalnie.

– Mnie normatywność nie obchodzi. Biorę dwa elementy, które zazwyczaj się nie spotykają, zestawiam je i patrzę, co z tego wyniknie.

Niech mu będzie. Wolałbym rozmawiać z nią, niż z nim, ale choćby posiedzieć przy niej było dobrze. Machinalnie zapytałem:

– A po co?

– Pan tego nie zrozumie, pan nie jest demiurgiem.

– Nie – zgodziłem się. – To nie jest moja specjalność.

– To nie każdemu jest dane. Wyższa rasa.

– Niewątpliwie – przytaknąłem. Mała dziewczynka położyła przed tygrysiem okruszynę bułki, ale tygrysek nie jadł. Musiałem rozmawiać z tym osobnikiem za wszelką cenę.

– To pan tak już od dawna? – zapytałem przymilnie.

- Od zawsze.
- A jak pan na to wpadł?
- Ja nie wpadłem – odparł obrażony. – Ja się z tym urodziłem.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Gdyby kelnerka wróciła z zamówieniem, wybawiłaby mnie z kłopotu, choćby chwilowo. Ale im dłużej nie wracała, tym dłużej mogłem przebywać z małą dziewczynką.

- Sam się pan urodził? – zapytałem głupio, byle coś rzec.
- Tak jest. Ja osobiście.
- Tak, tak, własnoręcznie.

Dziewczynka przestała się zajmować tygrysem. Coś zobaczyła w koronie drzewa, bo wpatrywała się tam uważnie. Niezmiernie chciałem zobaczyć, co to było takiego, ale nie mogłem się wpatrywać, ponieważ grzeczność wymaga, aby nie odrywać wzroku od rozmówcy.

– Zazwyczaj ludzie zachowują się mechanicznie, to znaczy według przyjętych obyczajów i konwencji. W ten sposób ukrywają prawdę o sobie.

- Święta prawda – westchnąłem. Co to mogło być? Wiewiórka?
- Ja, wytrącając ich z konwencji, pozwalam im tę prawdę odkryć.
- Pewnie wiewiórka – powiedziałem mechanicznie.
- Słucham?
- Nic, nic, przepraszam, tak mi się wyrwało.
- Pan mnie nie słucha uważnie.

– Ale nie, skądże...

Czy o tej porze roku pokazują się jeszcze wiewiórki, zanim udadzą się na spoczynek zimowy? Czy śpią w zimie? Jaka szkoda, że nie byłem pilnym uczniem w szkole, kiedy mnie tego uczono.

– A, nareszcie! – wykrzyknął i zatarł ręce. – Zaraz się przekonamy!

Odwróciłem się i zobaczyłem kelnerkę. Niosła kawę i butelkę wody mineralnej. Postawiła wodę przede mną, kawę przed małą dziewczynką.

– Co pani robi! – krzyknął.

Przestawiła, kawę stawiając przede mną, a wodę przed małą dziewczynką i poszła.

– Ale nie, nie o to chodzi! Ja zamówiłem zupełnie co innego, zamówiłem wyraźnie, miało być piwo i lody! Proszę pani! Proszę pani!

Kelnerka zniknęła.

– Co za obsługa, skandal! Przepraszam, zaraz wrócę, muszę to załatwić z kierownictwem lokalu.

Wstał, pobiegł i również zniknął. Nastąpiła niezręczna cisza.

– Lubisz wiewiórki? – zapytałem.

Mała dziewczynka spojrzała na mnie. Po czym zabrała tygrysa ze stołu i włożyła go do kieszeni fartuszka. Wstała i poszła w kierunku wyjścia z ogrodu.

Nie ruszyłem się z miejsca. Jak bym wytłumaczył przechodniom, że nie jestem zbrojeńcem. I przed nią też było mi wstyd.

Doczekałem, aż wyszła na ulicę, przeszła wzdłuż ogrodzenia, i dopiero kiedy zniknęła, zerwałem się z krzesła. Bardzo się bałem, że on wróci, zanim ja ucieknę, ale nie wrócił na szczęście. Na pewno wrócił, ale mnie już tam wtedy nie było.

Kiedy znalazłem się znowu w alei, nie zobaczyłem jej już nigdzie. Poszedłem swoją drogą, szeleszcząc krokami w suchych liściach.

„Tygodnik Powszechny”, 36/1988

## TRÓJKĄT

– Rozejdźmy się – powiedziałem. – Dosyć już tej historii. Jesteśmy razem już od tak dawna, razem mieliśmy wiele przygód, ale to trwało za długo i mamy siebie nawzajem dosyć. Po co więc ukrywać? Ja na was patrzeć już nie mogę.

– Przepraszam – odezwał się Lis. – Ale to ja nie mogę już patrzeć na ciebie. Ani na niego – dodał i wskazał na Koguta.

– A ja ani na niego, ani na ciebie – rzekł Kogut.

– Powiedziałem: wzajemnie. Więc jedno nie wyklucza drugiego, drugie trzeciego, a trzecie drugiego ani pierwszego. Grunt, że wszyscy mamy już dosyć tego towarzystwa. Pozostaje tylko się rozejść.

– Dobrze – zgodził się Lis. – Ale kto ma odejść od kogo?

– Właśnie – potwierdził Kogut. – Zgoda, ale kto odejdzie pierwszy?

– Nikt nie odejdzie pierwszy. Rozejdziemy się wszyscy jednocześnie.

– Niemożliwe – rzekł Lis.

– Dlaczego?

– Bo jak się rozejdziemy wszyscy naraz, to kto zostanie, żeby stwierdzić, że nas tu nie ma?

– Otóż to. Ktoś musi zostać, żeby to stwierdzić – poparł Lisa Kogut.

– Wobec tego zostaną ja.

– O, nie – sprzeciwił się Kogut. – Ty sobie zostaniesz jakby nigdy nic, a ja mam sobie pójść?

Niedoczekanie.

– To nie będzie sprawiedliwie również w stosunku do mnie – zastrzegł Lis.

– No to ja sobie pójdę, a wy zostaniecie. Kogut spojrział na Lisa, a Lis na Koguta.

– I mam dalej patrzeć na tę lisią mordę?

– I mam dalej patrzeć na ten głupi dziób?

– No to zostanemy wszyscy razem.

– Tak, to jest jedyne wyjście – powiedział Kogut po chwili milczenia.

– Tak, to jest jedyna możliwość – przyznał Lis po chwili rozważenia.

– Ale wobec tego kto pójdzie sobie gdzie indziej? – zapytałem.

– Nie martw się – rzekł Lis. – Wprawdzie tutaj będziemy razem, ale za to gdzie indziej nas nie będzie.

„Tygodnik Powszechny”, 33/1983



## ÓSMY DZIEŃ

Pan Bóg pracował przez sześć dni, odpoczywał siódmego. Człowiek nie Pan Bóg, szybciej się męczy, więc uznał, że sobota też mu się należy jako dzień odpoczynku. To postanowienie nie spotkało się z wyraźnym sprzeciwem ze strony Instancji Najwyższej.

– Jeżeli udało się z sobotą, to może uda się z piątkiem – pomyślałem i wystosowałem do Pana Boga podanie tej treści:

„W związku ze zmęczeniem, jakie odczuwam po poniedziałku, wtorku, środzie, czwartku i piątku, proszę uprzejmie o przyznanie mi również piątku jako dnia wolnego od pracy. Homo Sapiens”.

Odpowiedzi nie było, więc uznałem, że piątek też mi przyznano.

Jednak między środą a resztą tygodnia pozostawał fatalny czwartek. Nic tak nie męczy jak praca w ostatnim dniu tygodnia pracy. Więc napisałem, tym razem śmieiej:

„»Człowiek to jest trzcina myśląca« (Blaise Pascal, 1623-1662). Ja myślę, że w czwartek też nie muszę pracować”.

Teraz kończyłem pracę już w środę po południu. No, ale ta środa... Milczenie Pana Boga dodało mi odwagi.

„Domagam się likwidacji środy jako dnia roboczego. Prometeusz”.

W sprawie wtorku zbuntowałem się już otwarcie:

„»Człowiek to brzmi dumnie« (Maksim Gorki, 1868-1936). Wtorek uwłacza mojej godności. Odmawiam kategorycznie i kończę w poniedziałek”.

Nie było odpowiedzi, więc z poniedziałkiem poszło już zupełnie łatwo. Wystarczył telegram:

„Poniedziałek też wykluczony”.

Teraz miałem wolne przez siedem dni w tygodniu i byłem dumny z mojej rewolty (*L'Homme revolté* Albert Camus, 1913-1960). Ale po pewnym czasie zauważyłem, że tydzień ma tylko siedem dni i dlatego więcej niż siedem dni wolnych w tygodniu mieć nie mogę. Takie ograniczenie mojej wolności wydało mi się niedopuszczalne. Zatelegrafowałem więc do Pana Boga:

„Natychmiast stworzyć ósmy dzień”.

Nie odpowiedział, co mnie ostatecznie utwierdziło w przekonaniu, że Nietzsche miał rację (Friedrich Nietzsche, 1844-1900) i Pana Boga nie ma. Ale w takim razie kto jest winien, że tydzień ma tylko siedem dni i więcej niż siedem dni wolnych w tygodniu mieć nie mogę?

Wziąłem pałę i zacząłem się na schodach. Jak będzie sąsiad przechodził, to mu przywalę.

Ktoś przecież musi być odpowiedzialny za moją krzywdę.

„Tygodnik Powszechny”, 19/1989

## CIERPIENIA MŁODEGO WERTHERA

Dyrektor filharmonii przyjął nas uprzejmie.

– Czym mogę służyć? – zapytał.

– Należy się nam pięćdziesiąt tysięcy.

– To jest zupełnie możliwe, niemniej nie jestem pewien, czy się orientuję, z jakiego to powodu. Czy mógłbym prosić o wyjaśnienie?

– Jako zaliczka – wyjaśniłem.

– Owszem, to się praktykuje. Ale zaliczka na poczet czego?

– Naszego występu w filharmonii.

– Tak, to już jest pewna podstawa. Jednakże, o ile mnie pamięć nie myli, widzimy się po raz pierwszy. Czyżbyśmy podpisali kontrakt zaocznie?

– Jeszcze nie, ale możemy zaraz podpisać.

– Niewątpliwie. Chciałbym tylko poznać zarys waszej propozycji. Panowie są zespołem muzycznym?

– Chwilowo nie, ale będziemy.

– A jaki repertuar, mniej więcej?

– To się okaże, kiedy nauczymy się grać.

– Grać?

– Na jakichś instrumentach muzycznych, oczywiście.

Tępotą tego osobnika zaczęła mnie irytować.

– To panowie jeszcze nie umieją?

– Jeszcze czy już, co za różnica? Przyszłość i tak należy do nas. Nie widzi pan, że jesteśmy młodzi?

– O, na pewno. Czy wolno mi jednak coś zasugerować? Najpierw panowie nauczą się grać, potem trochę pograją, a potem zobaczymy. Przyszłość niewątpliwie do was należy.

I nie dał nam zaliczki faszysta. Wyszliśmy pokrzywdzeni społecznie. Na murze był afisz, że dają grać jakiemuś Mozartowi.

– Kto to jest? – zapytał... ale nie pamiętam, który z nas, bo mi pamięć nie dopisuje, zwłaszcza przed południem.

– Pewnie jakiś stary.

Przestaliśmy myśleć o sztuce i zajęliśmy się robieniem bomby. Trzeba ją będzie podłożyć w filharmonii. Walka o sprawiedliwość ma pierwszeństwo.

„Tygodnik Powszechny”, 16/1989

## NADZIEJA

Czasami chcę sobie z kimś pogadać. Wtedy odwiedzam znajomego, który też chce sobie z kimś pogadać. Dyskutujemy o pogodzie, o tym, gdzie taniej, a gdzie drożej i która drużyna wygra mecz piłki nożnej w najbliższą niedzielę.

Kłócimy się, bo on woli Niebieskich, a ja Zielonych. Właściwie to nie wiem, dlaczego wolę Zielonych. Pewnie dlatego, że on woli Niebieskich, a bez sprzeczki byłoby nudno. Ale dlaczego on woli Niebieskich? Może dlatego, że ja wolę Zielonych.

Przychodzę raz do niego i już w progu mówię: Zieloni wygrają.

A on nic. Siedzi tylko i patrzy na pudełko zapalek, co leżało na stole. Więc powtarzam:

– Zieloni wygrają, a Niebiescy to szmaciarze. On dalej nic.

– Szmaciarze! – krzyczę. – Kaleki futbolowe po prostu!

Zamiast odpowiedzi wziął to pudełko i upuścił je na podłogę.

– Co ci jest – zapytałem.

– Spadło.

– Pewnie, że spadło, boś je upuścił.

– Wczoraj też spadło.

– No to co z tego?

– Normalnie nic, ale jak pomyśleć... Wczoraj straciłem je ze stołu przypadkowo i ta myśl mi przyszła. No to podniosłem je, upuściłem, a ono znów spadło. Próbowałem dalej, bo myślałem, że może choć raz będzie inaczej, jak nie tym razem, to następnym. Ale nie, całą noc przesiedziałem, a ono zawsze tak samo spada.

– A jakie to zmartwienie?

– Takie, że wynik meczu nie ma żadnego znaczenia. Czy Zieloni wygrają, czy Niebiescy, jemu jest wszystko jedno, ono zawsze spadnie jednakowo. A jeżeli nawet głupie pudełko nic sobie nie robi z tego, kto wygra, a kto przegra, to ty chcesz, żebym ja się tym interesował?

– No to czym będziesz się interesował?

– Niczym.

Żał mi się go zrobiło, ale jeszcze bardziej siebie. Z kim ja się będę teraz kłócił? Więc powiedziałem:

– Może jutro spadnie, może pojutrze, ale nie w niedzielę.

– Skąd wiesz?

– To proste. Niedziela jest dopiero za trzy dni.

– Ale dzisiaj spadło tak samo jak wczoraj!

– Bo dzisiaj jest czwartek.

– Jesteś pewien?

– Wystarczy zajrzeć do kalendarza.

– Masz rację, rzeczywiście jest czwartek.

No i pokłócił się ze mną o ten mecz, normalnie. On nie jest głupi, tylko czasami za dużo myśli.

„Tygodnik Powszechny”, 50/1989



## MUZEUM

Zaginął nam pies i dziecko było niepocieszone, bo bardzo psa lubiło. Więc zabrałem dziecko do muzeum sławnego pisarza. Niech się rozerwie i podkształci przy okazji.

Kupiłem bilety wstępu, potem czekaliśmy, aż się zbierze grupka zwiedzających i przewodnik zabierze nas na pokoje pisarza. Bowiem pisarz umarł ze sto lat temu i muzeum to było jego mieszkanie, które zamieniono na muzeum.

Obok kasy było stoisko z książkami, które pisarz napisał. Książki jak książki, nic ciekawego.

Grupka się zebrała i przewodnik wprowadził nas do przedpokoju.

– Na prawo łazienka – poinformował przewodnik.

Zajrzeliśmy do łazienki, bo drzwi były otwarte, tyle że wejść nie było można, bo wejście zagrodzone purpurowym sznurem z brokatu. Na umywalce była mydelniczka, a w niej mydło. Na mydle tabliczka: „Ulubione mydło pisarza”.

– Można powąchać? – zapytała jedna pani.

– Wzbronione – oznajmił przewodnik. – Ale badacze ustalili, że mył się codziennie.

– Uszy też? – zapytało dziecko przerażone.

– Cicho bądź – poskromiłem małego. – Nie przeszkadzaj starszym, kiedy zwiedzają. Pewnie, że uszy też. Jak będziesz mył uszy, to także zostaniesz sławnym pisarzem.

Dalej był salon i sypialnia. Meble z orzecha, dosyć dobre, ale nic szczególnego. Ta pani chciała wypróbować materac, ale też było wzbronione, nawet za dopłatą.

– Gabinet pisarza – oznajmił przewodnik i wpuścił nas przodem.

Przy biurku siedział pisarz naturalnej wielkości. Odrobiony był jak żywy, chyba z wosku. W szlafroku. Trzymał pióro, a na biurku leżał jakiś zapisany papier.

– Rękopis, bo pisał ręcznie – objaśnił przewodnik. – Badacze ustalili. Tu jest przedstawione, jak pisze swój najślawniejszy wiersz. Pamiętacie państwo?

*Narodzie mój, gdym w twoich ramionach*

*Jak dziecko kołysany ssął twojego ducha...*

– Popatrz, tato – krzyknęło dziecko. – Całkiem jak u nas!

Popatrzyłem. Istotnie, pod biurkiem stała pusta butelka po wódce.

– Malarze zostawili po remoncie – wyjaśnił przewodnik. – To nie należy do eksponatów.

W tej samej chwili zauważyłem, że pisarz ma napisane na łysinie: „Byłem tu. Kazik”.

– Pewnie robił sobie notatki, nawet jak nie miał papieru pod ręką – pomyślałem. – Prawdziwy pisarz. Ale co tu jest pod spodem?

Pod spodem, na łysinie pisarza, była druga notatka: „No to co z tego, ty gnoju?” I podpis: „Przyjaciel Literatury”.

– To chyba już nie on napisał – pomyślałem. – Jakiś inny charakter pisma.

Rozejrzałem się. Dziecko było zajęte otwieraniem szuflady, a przewodnik niedopuszczaniem, żeby otworzyło. Tymczasem pani fotografowała, a inni się sprzeczali, czy mieszkanie było własnościowe, czy podnajęte. Przewodnik nie mógł niczego wyjaśnić, bo gonił dziecko, które ślizgało się po podłodze, pięknie wyfroterowanej, jak to zwykle w muzeum. Wyjąłem długopis i napisałem pod „Przyjacielem Literatury”:

„Zaginął pies. Odprowadzić za wynagrodzeniem...” I adres.

Sporo ludzi przychodzi do tego muzeum i każdy przeczyta. To może pies się znajdzie.

„Tygodnik Powszechny”, 52-53/1989

## TAJEMNICA ŻYCIA

Przyszedł do mnie kolega i – jak to w życiu bywa – usiedliśmy przy pełnej butelce, która po pewnym czasie przestała być pełna.

– Życie jest tajemnicą – powiedział kolega. – Ot, ta butelka na przykład. Kto wie, czy ona jest do połowy pusta, czy do połowy pełna.

– Może jedno i drugie? – zaproponowałem.

– Właśnie na tym polega tajemnica, wszystko jest względne, bo wszystko zależy od punktu widzenia. O niczym nie możemy sądzić kategorycznie.

– To może ją opróżnimy, żeby nie było wątpliwości.

– Opróżnić możemy, ale względność pozostanie. Co z tego, że ta butelka będzie pusta, kiedy była pełna. Była, ale nie będzie, będzie, ale nie była. Czas też jest pojęciem względnym.

Poczęstowałem go papierosem w nadziei, że zapomni o tajemnicy życia. Wziął, ale nie zapalił od razu, tylko trzymając papierosa między palcami zapatrzył się w niego w zadumie.

– Cóż z tego, że zapalę... Popali się, popali i zgaśnie.

Zapalił jednak, ponieważ zawsze palił tylko moje papierosy. Również tylko moją wódkę pił. Widocznie uważał, że wszystko jedno, kto płaci. Nie mogłem mu mieć tego za złe, ponieważ z filozoficznego punktu widzenia miał rację.

– A nie mówiłem? – powiedział, kiedy już wypalił mojego papierosa. – Zgaśł. Zniknął, popiół, proch... Jak egzystencja. Nie masz drugiego?

Miałem, dałem. Popołudnie mijało. „Jak życie”, powiedziałby kolega, gdyby nie był zajęty szukaniem czegoś w mojej szafie. Siedziałem sam na sam z butelką, niewątpliwie już pustą. Chciało mi się palić, ale nie miałem już papierosów.

– Ten mógłby być – powiedział kolega, stanąwszy w moim płaszczu przed lustrem. – Ale trochę za ciasny. Nie masz innego?

– To mój jedyny.

– Trudno, biorę w takim razie. Tylko guziki musisz zmienić.

– A po co?

– Wolę beżowe.

– Czy to nie wszystko jedno, beżowe czy inne...

– Właśnie! Gdyby tylko inne być mogły, tobym nie chciał beżowych. Ale ponieważ wszystko jest względne, robię, co mi się podoba. Chyba mi nie powiesz, że nie masz beżowych guzików...

W tej chwili rozległ się dzwonek u drzwi. Poszedłem otworzyć. W drzwiach stał profesor Einstein, wynalazca Teorii Względności. W rękę trzymał rewolwer.

– Niech mnie pan puści do niego – błagał. Uległem jego prośbie. Ostatecznie nie można odmawiać starszemu człowiekowi.

Sąd nie dał mi wiary, że to Einstein zastrzelił mojego kolegę, a nie ja. Ale i tak mnie uniewinniono. Bowiem przekonanie, że – ponieważ wszystko jest względne – nie można winić jednostki za jej czyny, stało się przekonaniem powszechnym.

Nikogo nie można sądzić kategorycznie, jak mawiał nieboszczyk.

„Tygodnik Powszechny”, 51/1989

## ŻYCIE I MYŚLI

Błądząc wśród ruin opuszczonego teatru trafiłem do pomieszczenia, które niegdyś było zapewne garderobą artystów. Pęknięte lustro i stara peruka w kącie, stolik na trzech nogach, co stało się z czwartą? Tego nigdy się już nie dowiemy. W szufladzie stolika znalazłem puste pudełko i zeszyt, na okładce zeszytu starannie, choć niewprawnie wykaligrafowano: „Życie i myśli artystki kabaretowej Amor Fatti”.

Otworzyłem zeszyt. Cytuję na wrywki, całość opracuję kiedyś, gdy dostanę stypendium UNESCO i będę mógł się poświęcić kulturze, również w całości.

„Spotkałam Roberta. Robert mówi, że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni. Muszę do niego zadzwonić, bo zapomniałam go się zapytać za co. Ale na pewno ma rację. On jest taki słodki...”

„Z Edwardem na kolacji. Chciał mnie odprowadzić, ale byłam umówiona z P. Powiedziałam mu, że każdy umiera w samotności”.

„Lila widziała Geralda z Dubą. Zapytałam go, czy to prawda. Odpowiedział: »Nie pytaj, gdzie jest pies pogrzebany, on zawsze pogrzebany jest tutaj«. Wykręca się. On myśli, że ja nie czytałam Chewingumwaya!”

„Ta małpa Zizi znowu ma nową bluzkę od Kawakubo! I to teraz, kiedy była powódź w Bangladesz!”

„Zizi poznała mnie z asystentem Metropolitan. On mówi, że mogę zagrać w *My Fair Lady*. W Bangladesz już wyszło”.

„Dzwonił Kamil. Powiedział, że się żeni z Dubą. Życie jest zagadką, jak powiedział Gandhi”.

Szkoda, że ta Amor Fatti ma już po pięćdziesiątce, jeśli jeszcze żyje. Chętnie bym zawarł z nią znajomość, żeby wymienić z nią myśli. Życie – niekoniecznie.

„Tygodnik Powszechny”, 49/1989

## HERBATA I KAWA

– Herbatę czy kawę? – zapytała pani domu.

Ja lubię jedno i drugie, a tu każą mi wybierać. To znaczy, że oszczędzają albo na kawie, albo na herbacie.

Jestem dobrze wychowany, więc nie dałem poznać po sobie, jak brzydzi mnie takie skąpstwo. Właśnie byłem zajęty rozmową z Profesorem, moim sąsiadem przy stole, którego przekonywałem o wyższości idealizmu nad materializmem, i udałem, że nie dosłyszałem pytania.

– Herbatę – odpowiedział Profesor bez wahania. Naturalnie, ten bydlak był materialistą i pchał się od razu do koryta.

– A pan? – zwróciła się do mnie.

– Przepraszam, muszę wyjść.

Odłożyłem serwetkę i wyszedłem do toalety. Wcale nie potrzebowałem, ale chciałem się zastanowić i zyskać na czasie.

Jeżeli zdecyduję się na kawę, to stracę herbatę i odwrotnie. Jeżeli ludzie rodzą się wolni i równi, to kawa i herbata też. Jeżeli wezmę herbatę, to kawa poczuje się upośledzona i odwrotnie. Takie pogwałcenie Prawa Naturalnego kawy czy też herbaty było sprzeczne z moim poczuciem Sprawiedliwości jako Kategorii Nadrzędnej.

Nie mogłem jednak siedzieć w toalecie bez końca, choćby dlatego, że nie była to Idea Czysta Toalety, tylko toaleta poszczególna, czyli zwyczajna toaleta z kafelkami. Kiedy wróciłem do jadalni, wszyscy już pili albo herbatę, albo kawę. O mnie najwyraźniej zapomniano.

Dotknęło mnie to do żywego. Żadnej uwagi, żadnej tolerancji dla jednostki. Niczego tak nie znoszę, jak bezdusznego społeczeństwa, poleciałem więc do kuchni upomnieć się o Prawa Człowieka. Zobaczywszy na stole samowar z herbatą oraz maszynkę do parzenia kawy przypomniałem sobie, że jeszcze nie rozstrzygnąłem pierwotnego dylematu: herbata albo kawa, czy też kawa albo herbata. Oczywiście należało zażądać jednego i drugiego, zamiast się zgadzać na kompromis jakiegoś wyboru. Jestem jednak nie tylko dobrze wychowany, ale również delikatny z natury. Więc powiedziałem grzecznie do pani domu, która krzątała się po kuchni.

– Poproszę pół na pół. Po czym krzyknąłem:

– I piwo!

„Tygodnik Powszechny”, 48/1989

## NOC W HOTELU

Już miałem zasnąć, gdy za ścianą rozległ się głośny stuk.

– No tak, teraz się zaczniesz – pomyślałem. – To będzie zupełnie jak w znanej anegdocie. Sąsiad zdjął z nogi buta i upuścił go na podłogę. Teraz nie zasnę, dopóki nie zdejmie drugiego buta, a czekać tak mogę długo.

Jakaż więc była moja ulga, gdy niezwłocznie nastąpiło drugie stuknięcie.

Zasypiałem ponownie, gdy za ścianą rozległ się łoskot trzeci i pozbawił mnie snu.

Tego się nie spodziewałem. Czyżby mój sąsiad miał trzy nogi? Niemożliwe. Więc włożył jednego buta z powrotem i jeszcze raz go zdjął? Mało prawdopodobne. Więc widocznie mam dwóch sąsiadów.

I zaczęła się moja męka, dokładnie tak jak przewidziałem. Jedyne, co pozwalało mi przetrwać, to nadzieja, że przecież drugiego buta kiedyś zdjąć musi. Jednak noc mijała, a drugiego, to jest czwartego, hałasu jak nie było, tak nie było.

Nie zmrużyłem oka i rankiem zszedłem na śniadanie doszczętnie wyczerpany. Spotkałem mojego sąsiada. Rozglądałem się za drugim, ale go nie było, tylko jeden. Ten drugi pewnie zasnął pijany i śpi do tej pory w jednym bucie.

– Są u pana myszy? – zagadnął mnie sąsiad. – Bo u mnie są. Tak chrobotają, że musiałem w nie rzucić butem, żeby przestały.

Od tej pory przestałem myśleć logicznie. Jedna głupia mysz jest silniejsza od całej logiki, a logika powoduje tylko bezsenność.

„Tygodnik Powszechny”, 47/1989

## EMANUEL

– Co to jest? – zawołał producent, gdy spojrział na pierwszą zaledwie stronę skryptu. – Stoi i myśli? I dlaczego w nocy?

– Myśli, bo od tego się wszystko zaczyna. I musi być w nocy, bo on musi widzieć gwiazdy. W książce pisze wyraźnie: „Niebo gwiaździste nade mną, a prawo moralne we mnie”.

Chodziło o przeróbkę filmową *Krytyki czystego rozumu* Emanuela Kanta.

– Stoi! – W filmie musi być ruch, debiutant pan jesteś, czy co? Niech przynajmniej idzie, albo lepiej biegnie, zdyszany jest, bo może ktoś go goni. To daje dynamikę i zaciekawia widza. Noc ewentualnie może być.

– Ale jak biegnie, to nie myśli, bo nie ma czasu. Producent zamyślił się, podobnie jak kiedyś Kant.

– Już wiem. Zmienimy sytuację. Kant stoi przy barze, nie ogolony, bo ma problemy. Zaraz, zaraz, dlaczego on w peruce? Łysy był, czy co?

– To jest film kostiumowy, historyczny.

– Coś pan zwariował? *Trzech Muszkieterów* robimy, czy co? Przeniesiemy we współczesność. Noc, bar, dookoła różne typy, pan rozumie. Samo życie.

– Ale co z gwiazdami!

– Proste. W barze jest telewizor, dają akurat *Star Wars*, Kant to ogląda, to znaczy widzi gwiazdy.

– A prawo?

– Jakie prawo...

– „Prawo moralne we mnie”. Napisał wyraźnie.

– Nie ma problemu. Do baru wchodzi szeryf i Kant się boi, bo ma coś na sumieniu. Najlepiej narkotyki.

Przerzucił parę stron skryptu.

– „Imperatyw kategoryczny”? Co to jest? Coś od imperializmu? To byłoby niezłe.

– Nie wiem, ale zdaje mi się, że to coś, jak się to coś musi.

– Pewnie, że się musi. Musi się zmienić ten skrypt. Tutaj Kant mówi: „To jest mój imperatyw kategoryczny”, zaraz potem, jak już jej powiedział, że się z nią nie ożeni. Tak nie może być, to jest za słabe.

– Dlaczego za słabe, przecież ona do niego nie strzela.

– Ale zwyczajny seks już nikogo nie interesuje. Kant musi być przynajmniej obojnak. Dodamy mu siostrzeńca.

– Dlaczego siostrzeńca?

– Bo nieletni. Kant jest jego wujem i przy okazji mamy też kazirodztwo. Teraz wszystko się zgadza: siostrzeniec jest narkomanem, Kant mu dostarcza narkotyków i dlatego boi się szeryfa.

Film zakończyliśmy w dwa tygodnie. Nazywał się *Na imię mi Byt*, bo od początku chodziło o film intelektualny, dlatego żeśmy się zabrali do Kanta. Ale i tak mieliśmy masową publiczność. Upowszechnianie kultury zaczyna się opłacać.

„Tygodnik Powszechny”, 46/1989

## ZE WSPOMNIENIŃ KAPELANA

Po bitwie było wielu zabitych i rannych. Zabitych pogrzebano, a rannych złożono w lazarecie, wśród nich kaprala Dupaka. Zdziwiłem się, gdy mi doniesiono, że kapral Dupak chce mnie widzieć natychmiast. Był zatwardziały bezbożnikiem, a nawet bluźniercą.

- Chcesz się wyświadczyć? – zapytałem.
- Gówno. Ale chcę porozmawiać z klechą.
- O co chodzi?
- Powiem, jak mi ksiądz przyrzeknie, że nikomu nie powie.

Przyrzekłem.

– No więc było tak: trafiło mnie, kiedyśmy szli do ataku. Upadłem i wiedziałem, że to koniec, że idę na tamten świat.

– Oczywiście.

– Chwileczkę. Pomyślałem sobie: na życiu mi nie zależy, a tamtego świata i tak nie ma, więc czym się tu przejmować. Wtedy usłyszałem śmiech. Przerywa mi ksiądz?

– Nie.

– Ktoś najwyraźniej śmiał się ze mnie. Co jest, rozmyślałem sobie, co we mnie jest śmiesznego. Może spodnie mam nie zapięte, albo rozdarte w jakimś miejscu nieprzyzwoitym dla podoficerskiego honoru, pod nosem mi coś wisi, czy co... Ale nie, mundur miałem jak należy, wszystkie guziki pozapinane, wąs przyczesany, wszystko jak w regulaminie. Więc z czego tu się śmiać?

– A kto się śmiał?

– Właśnie o to chodzi. Rozejrzałem się, ale koło mnie nie było nikogo, koledzy już dawno poszli naprzód, sam byłem, i tylko ten śmiech. No to księdza zawezwałem, bo może ksiądz wie, kto się ze mnie śmiał.

– Diabeł.

Zamilkł, pomilczał, potem powiedział:

– Diabła nie ma. Ja tylko chciałbym wiedzieć, dlaczego on się ze mnie śmiał.

– Bo ty myślałeś, że go nie ma, a on tymczasem jest.

– No to źle ze mną.

– Pewnie, że źle, ale gdybyś się wyświadczył...

– A po co? Ja się nie boję diabła. Źle ze mną, bo następnym razem jak pójdziemy do ataku, to ja nie pójdę. Nie boję się śmierci ani diabła, ale nie lubię, jak ktoś się ze mnie śmieje. I co wtedy? Powiedzą, że jestem tchórz.

– Tak będzie, jeżeli się nie wyświadcysz.

– Ja księdzu coś więcej powiem. Ja tylko dlatego wtedy nie umarłem, bo nie lubię być śmieszny. Jak usłyszałem ten śmiech, to się ze złości tak zawzięłem, że przeżyłem. Doktor mówi, że to cud, ale ja wiem lepiej. Ale nie wiem, czy następnym razem mi się uda. I co wtedy? Diabeł będzie się ze mnie śmiał przez całą wieczność i potem też.

– A więc nie ma innego sposobu, jak tylko się wyświadczyć.

Zamyślił się.

– Jest. Już wiem, co zrobić. Kiedy znowu będę umierał i diabeł będzie się śmiał ze mnie, to ja też będę się śmiał z niego.

– I co ci to pomoże?

– Jasne. Diabeł pomyśli, że to jemu coś wyłazi, wisi albo wystaje, że ma coś rozpięte, jakąś plamę na dupie, czy co... Tak się zmiesza, że przestanie się ze mnie śmiać, skurwysyn.

– A nie wyświadczyłbyś się zamiast tego?

Ale on zamknął oczy i przestał się do mnie odzywać. Odczekałem jeszcze chwilę, ale widząc, że mnie już nie potrzebuje, odszedłem.

Później znowu była bitwa i kapral poległ. Wzięliśmy jeńców i ci opowiedzieli niezwykłą historię. Oto ona:

Gdy bitwa była w pełni, ujrzeli, jak jeden z naszych rzucił się do ataku, sam jeden na całą baterię. Kuła armatnia urwała mu głowę i ta głowa lecąc nad polami wydawała z siebie śmiech okropny, śmiech szyderczy. Tak się przerazili, że się rzucili do ucieczki i przegrali bitwę.

Kaprala odznaczono pośmiertnie za bohaterstwo, choć koledzy twierdzili, że kapral się śmiał z dowcipu, który mu opowiedzieli poprzedniego dnia na kwaterze. Kapral zrozumiał dowcip dopiero nazajutrz i dlatego jego głowa się śmiała.

Ja jeden znałem prawdę. Ale związany przysięgą, nie mogłem jej wyjawić.

„Tygodnik Powszechny”, 40/1989



## OPOWIEŚĆ STAREGO AGENTA

Zadzwoił do mnie kapitan Bryczes i wyznaczył mi spotkanie w kawiarni. Tym razem miał być przebrany za garbuskę w ciąży. Na wypadek gdyby w kawiarni były dwie takie, podał mi swój szczególny znak rozpoznawczy: prawą nogę miał mieć krótszą od lewej o siedemnaście centymetrów. Miałem przy sobie podziałkę, włożyłem pod stoliki i dyskretnie mierzyłem gościom nogi. Była jedna, ale krótsza tylko o dwa i pół. Wreszcie trafiłem na właściwą. Wylazłem spod stolika i szepnąłem:

– Kapitan Bryczes?

Nie zaprzeczył, choć i nie potwierdził. Jeśli kobieta nie zaprzecza, to znaczy, że potwierdza, więc się domyśliłem, że to on.

Dla ostrożności zmieniliśmy stolik. Usiedliśmy przy innym stoliku, w kącie, pod palmą w donicy.

– Mam dla pana zadanie – oznajmił kapitan Bryczes. – Nawiąże pan kontakt z kontrwywiadem obcego mocarstwa i zaproponuje mu pan swoje usługi. Oczywiście będzie to podwójna gra.

– Nic prostszego – ja na to. – Widzi pan tę małpę?

– Gdzie?

Nieznacznie wskazałem mu małpę, która siedziała na palmie.

– Zaraz z nią pomówię. Jestem pewien, że to ktoś z obcego kontrwywiadu przebrany za małpę.

Kapitan Bryczes zamyślił się dyskretnie.

– Dobrze, niech pan spróbuje, a ja tymczasem zamówię ciastka.

Misja była tajna, nie mogłem przecież krzyczeć do małpy, o co mi chodzi, cała kawiarnia by usłyszała. Więc zacząłem włożyć na palmę. Palma złamała się pod zdwojonym ciężarem i zrobił się skandal. Przyszedł kierownik kawiarni.

– Panowie natychmiast opuszczają lokal – zażądał ode mnie i od małpy.

– Pan nie wie, kto ja jestem! – wstawił się za nami kapitan Bryczes.

– Pani także!

Na ulicy sytuacja zrobiła się niezręczna. Małpa zaczepiała przechodniów, a ci mieli do nas pretensje, bo myśleli, że jesteśmy jej właścicielami. Kapitan Bryczes spojrzął na zegarek.

– Na mnie czas. Niech pan do mnie zadzwoni, jak pan będzie miał wyniki.

Zostałem sam z małpą. Nie wiedziałem, co z nią zrobić, i zabrałem ją do siebie. Próbowałem nawiązać z nią kontakt, ale bez skutku. Milczała. Nie mogłem zadzwonić do kapitana Bryczes, bo co bym mu powiedział? Że nie mam mu nic do powiedzenia? Że nie wykonałem zadania? U nas, na służbie, takich rzeczy się nie toleruje.

Więc zacząłem z nią pić wieczorami. Może po pijanemu się zdradzi, coś powie... Ale nie, piła, ale milczała. Dolewałem jej, a ona nic. Wpadłem w desperację, zacząłem nawet podejrzewać, że małpa jest prawdziwa, ale nie ustępowałem.

I wicie panowie co? Przyzwyczała się. Dalej nic nie mówi, ale teraz jak nie dostanie alkoholu, to jej się ręce trzęsą. I ogon.

Dlaczego jej nie przyprowadziłem? Co za pytanie! Ona jest delikatnego zdrowia, tropikalne stworzenie, a u nas klimat surowy. Nie mogę jej narażać na przeziębienie. Siedzi biedaczka u mnie w domu i czeka. Więc gdyby panowie byli tak łaskawi zamówić coś dla mnie jeszcze, na wynos, jakieś pół litra powiedzmy, to byłbym bardzo wdzięczny. Nie dla siebie proszę, tylko dla niej.

Nie? To może chociaż ćwiartkę bym jej zaniósł...

Też nie?

Trudno, niech będzie tylko jeden kieliszek. Tak, na miejscu oczywiście. Ja tu wypiję, a jej znów powiem, że dostanie jutro. Ona nigdy nie traci nadziei, przyzwyczajona.

## PRZESTROGA

Spotkałem na ulicy kogoś, z kim przed wielu laty zawarłem znajomość bliską, choć z mojej strony mimowolną, a nawet niedobrowolną. Nie chciałem z nim rozmawiać i przeszedłem na drugą stronę ulicy. Ale on przeszedł także i zabił mi drogę.

– Dobrze, że cię widzę! – wykrzyknął radośnie – Mam dla ciebie ważną nowinę.

– Jaka? – zapytałem, bo ciekawość jednak przemogła.

– Sensacja! Gdyby ci to powiedział ktoś inny, nie uwierzyłybyś, ale teraz usłyszysz to ode mnie. Z pierwszej ręki, że tak powiem.

– Niech będzie, mów.

– Czy pamiętasz, jak cię kiedyś okradłem?

– Założmy, że pamiętam. No i co z tego.

– No to ja teraz mam wyrzuty sumienia.

– To znaczy, że chcesz mi zwrócić pieniądze?

– Nie, ale cierpię męki moralne. Postąpiłem jak ostatnia świnia, jestem podły. I co ty na to?

– To może być jednak zwrócił..

– Nie mówmy o drobiazgach. Najważniejsza jest wrażliwość moralna. Pod tym względem jestem w porządku.

– Naprawdę?

– Ty nie masz pojęcia, jak ja się męczę! Zrujnowałem cię, wpędziłem w nędzę! Serce mi pęka, kiedy teraz o tym myślę.

– Bardzo mi przykro.

– No chyba! Nic gorszego niż wyrzuty sumienia. A pamiętasz, jak zaskarżyłeś mnie o kradzież i dostałeś wyrok za oszczerstwo? Mój szwagier, świec Panie nad jego duszą, był wtedy Ministrem Sprawiedliwości. Teraz szwagier śni mi się po nocach, kiwa głową i mówi: „Nieładnie, oj nieładnie.”

– Szwagier przesadza.

– Ja nigdy sobie tego nie wybaczę. A pamiętasz, jak uwiodłem ci żonę?

– Chwila słabości.

– Żadna chwila, ja to zrobiłem z premedytacją. Zagroziłem jej, że jeśli mi nie ulegnie, to dostaniesz dziesięć lat zamiast pięciu. To był szantaż!

– Drobiazg...

– Jak to, drobiazg...

– Zdarza się, nie ma o czym mówić.

– Nie ma o czym mówić?

– Tak, nie przejmuj się, jesteś po prostu przewrażliwiony. A teraz żegnaj, przepraszam cię, ale nie mam czasu na błahostki.

Dogonił mnie, złapał za klapy i krzyknął:

– Ty gnoju! To ja przeżywam dramat moralny, a ty mówisz, że to drobiazg? Że to nic? Że nie ma o czym mówić?! Mojego dramatu moralnego nie szanujesz?!

I zamierzył się na mnie. Byłby mnie ciężko pobił, gdybym nie zdążył wyrwać mu się i uciec.

Dramaty moralne trzeba szanować. Inaczej mogą być niebezpieczne.

„Tygodnik Powszechny”, 37/1989

# SAMOTNOŚĆ

Przepełowaliśmy kratę i wyskoczyliśmy na podwórko. Potem przeskoczyliśmy mur i znaleźliśmy się w lesie. Bieglśmy przez las. Mój towarzysz biegł coraz wolniej.

– Co ci jest? – zapytałem – Nogi cię bolą?

– Nie.

– To dlaczego zwalniasz?

– Bo nas nie gonią.

– Zaraz zaczną, jak tylko zauważą, żeśmy uciekli. No, prędzej!

Ale zamiast przyspieszyć, przystanął.

– Nie zauważyli, powiadasz?

– Widocznie nie. A ty czemu stoisz? Ruszaj się i to szybko!

Usiadł pod drzewem.

– Nikt o mnie nie dba – powiedział ponuro.

– O czym ty mówisz?

– Nikt się nie interesuje, nikomu nie zależy.

– Kto? Komu?

– Jakby im na mnie zależało, toby mnie lepiej pilnowali.

– Żałujesz?

– Człowiek nie zwraca uwagi na człowieka, nawet jak mu za to płacą. Mogliby zauważyć przynajmniej.

– Ruszysz się czy nie?

– Nie. Po co uciekać, kiedy nikt nie goni? Po co się starać, kiedy nikomu nie zależy? Ech, co za życie...

– Wiesz co? Mam dla ciebie propozycję. Wróc. Zerwał się i krzyknął:

– O, nie! co to, to nie! Ja mam swoją godność, nie będę się nikomu narzucał. Odejdę w moją egzystencjalną samotność!

I wolnym krokiem, z podniesioną głową, poszedł przed siebie, w las. A ja za nim. Jakoś wstyd mi było się spieszyć.

„Tygodnik Powszechny”, 36/1989

# HAMLET

Wezwał mnie dyrektor i powiedział:

– Gratuluję, postanowiliśmy powierzyć panu rolę Hamleta.

Jak każdy aktor zawsze marzyłem, żeby tę rolę zagrać. Toteż nie posiadałem się ze szczęścia. Wylewnie podziękowałem dyrektorowi obiecując, że dołożę wszelkich starań, aby wywiązać się należycie z powierzonego mi zadania.

Już miały zacząć się próby, kiedy dyrektor wezwał mnie ponownie. Wydawał się nieco zakłopotany.

– Zaszła pewna okoliczność. Zespół uważa, że powierzenie panu roli Hamleta jest faworyzowaniem jednostki.

– To znaczy, że Hamleta zagra ktoś inny?

– Nie, to byłoby także faworyzowanie jednostki. Ale znaleźliśmy wyjście. Hamleta zagra pan i jeszcze ośmiu innych aktorów. Więcej niż dziewięciu takich, którzy mogą mniej więcej wyglądać na Hamleta, na szczęście nie mam w zespole.

– Rozumiem, to znaczy ja i jeszcze ośmiu na zmianę.

– Nie, wszyscy jednocześnie.

– Jak to jednocześnie... Chyba nie w tym samym przedstawieniu...

– Tak, w tym samym, każdego wieczora.

– Przecież to niemożliwe! Dziewięciu Hamletów w jednym *Hamlecie*?

– Tak.

– Aha, to znaczy pierwszy wychodzi, drugi wchodzi, wychodzi, wchodzi trzeci i tak dalej.

– Nie, bo wtedy wyłania się problem kolejności i następuje pogwałcenie równouprawnienia.

Nikt nie powinien być pierwszy, ani drugi, ani dziewiąty. Pan zapomina, że wszyscy muszą mieć równe szanse.

– Więc jak?

– Chórem.

Opadłem na krzesło. Dyrektor wstał, wyszedł zza biurka i położył mi rękę na ramieniu.

– Głowa do góry! Społecznie będziemy w porządku, ale i artystycznie może być duże osiągnięcie. Mamy już reżysera, który się tego podejmie, bardzo interesujący eksperyment, awangardowy. Rozszczepienie Hamleta na dziewięć osobowości, pan rozumie.

– Rozumiem. Psychologia dna.

– Świetnie pan to ujął.

Potem nachylił się i dodał ściszym głosem:

– A między nami, nikt panu nie zabroni mówić głośniejsze niż inni.

Zaczęły się próby. Trochę ciasno było w garderobie i na scenie żeśmy się o siebie nawzajem potykali, ale za to powstał silny duch kolektywu.

Tak doszło do premiery. Pierwszy akt jakoś minął, ale kiedy doszło do sceny na cmentarzu, zabrakło dla mnie czaszki Yoricka, bo rekwizytor się pomylił i przygotował tylko osiem sztuk. Wobec tego chciałem odebrać czaszkę koledze z lewej strony, ale ten nie chciał oddać i razem wpadliśmy do grobu. Tymczasem ci na górze też zaczęli się bić, bo nasza czaszka tam została, więc czaszek w dalszym ciągu było osiem, ale ich teraz było siedmiu i każdy chciał mieć dwie.

Było dziewięć wypadków kontuzji ogólnej, pięć uszkodzeń twarzy i trzy wypadki ran kłutych. Kto powiedział, że *Hamlet* jest tragedią jednostki?

„Tygodnik Powszechny”, 33/1989

## DOŚWIADCZENIE

Kiedyś lubiłem siedzieć na balkonie i przypatrywać się życiu. Życie mnie ciekawiło.

Aż raz zobaczyłem przechodnia, co utykał na jedną nogę. Zdarza się.

Po godzinie zobaczyłem go znowu, kiedy wracał. Utykał w dalszym ciągu, ale tym razem na lewą, choć przedtem utykał na prawą. To zdarza się rzadziej.

Kiedy wkrótce zobaczyłem go po raz trzeci, gdy znów przechodził pod moim balkonem utykając ponownie na nogę prawą, zacząłem się dziwić.

Zaś kiedy znowu wracał utykając na nogę lewą, nie wytrzymałem. Wybiegłem na ulicę, dogoniłem go i grzecznie zapytałem:

– Przepraszam, że molestuję, ale obserwuję pana i nie rozumiem. Dlaczego pan utyka raz na prawą nogę, a raz na lewą?

– Ja? Niemożliwe.

– Przecież widziałem.

– Mnie pan widział?

– Przecież mam oczy.

– Kiedy mnie pan widział?

– Po raz ostatni jakieś pół godziny temu.

– I dokąd poszedłem?

– Tam...

...i wskazałem stronę, z której przyszedł.

– Mam go! – krzyknął i pokuśtykał w tę stronę z powrotem.

Postałem chwilę na ulicy rozmyślając nad zagadką życia. Już miałem wejść do bramy, gdy kulawiec ukazał się od strony, w której był zniknął utykając na nogę prawą. Tak, wyraźnie na prawą, już nie na lewą, znowu nie na lewą. I przeszedł koło mnie, jakby mnie nie widział, jakby mnie nie znał, jakbyśmy nie rozmawiali przed chwilą.

Tego mi było już za wiele. Dopadłem go i chwyciłem za ramię.

– O, nie! Teraz już mi się pan nie wymiga! Dlaczego pan znów na prawą i w ogóle co to wszystko znaczy!

– Proszę mnie puścić, bo zwołałam policję.

– Tak, niech pan zwoła! Jestem członkiem społeczeństwa, a społeczeństwo ma prawo do informacji! Ja pana zaskarżę do sądu! Jawność ma być i jeżeli się nie dowiem, co się właściwie dzieje, to zwariuję i pan będzie za to odpowiedzialny! Pan poniesie koszt leczenia! Pan odpowie przed społeczeństwem!

– Niech się pan uspokoi. Prawdopodobnie pan widział mojego brata bliźniaka. Jako bliźniacy jesteśmy nie do odróżnienia i mamy takie same charaktery. Pokłóciliśmy się dziś rano, on mnie kopnął i uszkodził mi prawą nogę, a ja go też kopnąłem i uszkodziłem mu lewą. Potem wróciłem do domu po siekiere – tu wyjął z zanadru zgrabny toporek, pokazał mi go i schował z powrotem – i szukam go teraz, bo mamy jeszcze do pomówienia. Ale nie mogę znaleźć, bo widocznie on też mnie szuka i tak się mijamy. Gdzie on poszedł?

– Tam skąd pan przyszedł.

– Uprzejmie dziękuję. I zawrócił.

A ja też zawróciłem, do domu. Ale już nie na balkon. Teraz siedzę w kuchni, bo niczym się już specjalnie nie interesuję. Życie jest proste, to tylko moja wyobraźnia niepotrzebnie je komplikuje.

„Tygodnik Powszechny”, 35/1989

## DRZEWO

Mieszkam niedaleko drogi. Koło tej drogi, przy zakręcie, rośnie drzewo.

Kiedy byłem dzieckiem, droga była jeszcze polna. To znaczy pylna w lecie, błotnista na wiosnę i jesienią, a w zimie zakryta śniegiem tak samo jak pola. Teraz jest asfaltowa o każdej porze roku.

Kiedy byłem młody, drogą przejeżdżały chłopskie wozy zaprzężone w woły, i tylko między wschodem i zachodem słońca. Znałem je wszystkie, bo były tutejsze. Rzadziej wozy konne. Teraz drogą przejeżdżają samochody nocą i dniem. Nie znam żadnego, ukazują się skądś i znikają dokądś.

Tylko drzewo pozostało takie same, zielone od wiosny do jesieni. Rośnie na moim gruncie.

Dostałem pismo od Władzy. „Jest niebezpieczeństwo” – pisało to pismo – „że samochód może wpaść na drzewo, bo drzewo stoi przy zakręcie. Wobec tego należy drzewo ścinać”.

Zafrasowałem się. Co racja, to racja. Drzewo istotnie stoi przy zakręcie, samochodów jeździ coraz więcej i jeżdżą coraz szybciej, nieostrożnie. Tylko patrzeć, jak któryś wpadnie na drzewo.

Wziąłem więc dubeltówkę, usiadłem pod drzewem i jak tylko pierwszy nadjechał, wypaliłem do niego. Ale nie trafiłem. Za to mnie aresztowali i postavili przed sądem.

Tłumaczyłem Wysokiemu Sądowi, że nie trafiłem tylko dlatego, że oczy mam już słabe, ale jakby mi dali okulary, to trafię na pewno. Nic nie pomogło.

Nie ma sprawiedliwości. To prawda, że jakiś samochód może wpaść na drzewo i je uszkodzić. Ale przecież, gdyby mi tylko dali okulary i służbową amunicję, tobym siedział i pilnował stale. Po co od razu ścinać drzewo, kiedy są inne sposoby, żeby je uchronić od wypadku.

I nic by to ich nie kosztowało poza amunicją. Czy to aż taki wydatek?

„Tygodnik Powszechny”, 34/1989

## ROZWÓJ

Życie jak życie. Aby się rozerwać, lubię obserwować karakony. Każdy z osobna nie jest interesujący, ale razem mają duży potencjał.

Wczoraj na przykład. Siedzę sobie w kuchni, palę, a one biegają. Biegają, biegają, aż w pewnym momencie ułożyły się w arcydzieło Leonarda da Vinci pod tytułem Mona Lisa. Przypadek? Nie, tylko nieuchronne prawo rozwoju, twórczy dynamizm grupy, ewolucja. Wystarczy, żeby społeczeństwo biegało, a wyniki są.

Kłopot w tym, że zaraz się rozbiegły. Leonardo nie trwał dłużej jak sekundę. Pomyślałem, wezmę truciznę w sprayu, poczekam, a kiedy znowu ułożą się w jakieś osiągnięcie, spryskam i zafiksuję. Łap za spray i czyham.

One znowu tędy i owędy. Mignęło coś jak Śniadanie na trawie Maneta. Przepuściłem. One widać w rozwoju posunęły się naprzód i już są jakby w impresjonizmie. Mógłbym zafiksować, ale czy mam prawo zatrzymywać rozwój? Impresjonizm to duże osiągnięcie, ale jeśli zatrzymam, to kto wie, do czego nie dojdą, a dojść by mogły.

Kubiści – przepuściłem.

Surrealiści – przepuściłem.

Palec na sprayu trzymam, ale nie naciskam jeszcze. Wiadomo, że po nowym musi przyjść nowsze, to znaczy po dobrym jeszcze lepsze. Więc to żadne zmartwienie, że Leonardo i że późniejsze się rozbiegły, przeciwnie, postęp.

Już my są we współczesności. Same cymesy. Warhol na przykład. Ale i on to już nieostatnie słowo, klasyk już zaledwie. Pobiegnijcie jeszcze dziatki, a wybiegacie coś, czego jeszcze nie było. Ja czekam na najteraźniejszą nowoczesność, czyli na to, co najlepsze.

Lecz co to, nic już nie widzę, tylko karakony biegające. Wyczerpały się? Dekadencja jakaś? Upadek sztuki? Oczy wytrzeszczam, ale nic poza karakonami.

Oj, ja głupi. Jakże coś zobaczyć mogę, kiedym się jeszcze nie rozwinął. One już pewnie w dwudziestym piątym wieku (bo po północy już było, a szybko biegały), a ja wciąż pod koniec dwudziestego. Percepcja mi nie nadażyła, ot co.

Odłożyłem spray i spać poszedłem. Wrócę do kuchni za pięćset lat.

„Tygodnik Powszechny”, 43/1988

## NASZE I INNE ZWIERZĘTA

Po zwycięskiej rewolucji, w ramach upowszechniania kultury, założono w naszym miasteczku ogród zoologiczny. Był tygrys, małpa i wąż.

Tygrys dostawał do jedzenia wołowinę, wąż króliki, a małpa banany.

Wołowina była na miejscu, króliki również, ale banany dostawaliśmy z miasta wojewódzkiego.

W ramach gospodarki planowej zapanowały w naszym kraju przejściowe trudności. Teraz wołowinę dostawaliśmy z miasta wojewódzkiego, króliki były jeszcze na miejscu, ale banany przyjeżdżały ze stolicy pod specjalną eskortą.

My, pracownicy ogrodu zoologicznego, mieliśmy żony i dzieci na utrzymaniu. Więc tygrys przeszedł na kaszankę, wąż na żaby, a małpie dawaliśmy kiszzone ogórki. Wołowina była na rosół w niedzielę, króliki na dzień powszedni, a za jedno kilo bananów można było kupić dwie pary bucików dla dziecka.

Tygrys się przyzwyczaił, chociaż wyłysiał, wężowi było wszystko jedno, ale małpa zdechła. Nie wiadomo dlaczego, bo kiszzone ogórki to też jarska potrawa, bądź co bądź.

– Panowie – powiedział nasz dyrektor. – Z tygrysem nie ma problemu. Zmieni się tylko tabliczkę przed klatką, zamiast „Tygrys Bengalski” damy: „Tygrys Głaca Bengalska Pospolita”. Ale z małpą niedobrze. Jak zgłosimy do Władzy, że zdechła – skończą się banany.

– Może przyślą nową?

– Też zdechnie.

Uradziliśmy, że zedrze się skórę z małpy i jeden z nas, przebrany za małpę będzie dyżurował w klatce. Wypadło na mnie, bo byłem najmłodszy.

Pierwszy dzień wypadł jako tako, choć męczyło mnie to wieczne wyłączenie na sztuczne drzewo i złączenie z niego z powrotem. Mógłbym się jednak przyzwyczaić, skoro tygrys mógł się przyzwyczaić do kaszanki. Ale ludzie, wiadomo, lubią drażnić zwierzęta, a szczególnie lubią drażnić małpy.

Więc kiedy jeden gruby śmiał się ze mnie i rzucał papierkami, nie wytrzymałem i odezwałem się głośno:

– Odpierdol się pan.

Zrobiła się sensacja, że małpa się odezwała ludzkim głosem. Dyrektor uratował jednak sytuację. Napisał do Stolicy, że potwierdziła się u nas teoria ewolucji, a przez to naukowy pogląd na świat w ogóle. Zasługę przypisał wyjątkowej dbałości personelu o zwierzęta i naukowym metodom nadzoru, które przyspieszyły rozwój małpy, i zażądał dla zaewoluowanej małpy podwójnego przydziału bananów.

Przyszła odpowiedź, że małpą zajmie się Akademia Nauk, a co do bananów, to w ramach oszczędzania celem ulepszania likwiduje się przydział wołowiny dla tygrysa, królików dla węża i bananów dla małpy. Odtąd tygrys ma jeść kaszankę, wąż żaby, a małpa coś jarskiego, najlepiej ogórki. Te ogórki, czy coś, mieliśmy dostawać z miasta wojewódzkiego, o żaby postarać się na miejscu, a kaszanka miała przyjeżdżać ze Stolicy pod specjalną eskortą.

To się nam nie opłacało i zgłosiliśmy oficjalnie, że małpa zdechła. Ostatecznie tygrys może jeść ogórki, małpa żaby, ale co wtedy zostanie dla węża? Niech już wąż zostanie przy żabach, a małpę zlikwidujemy.

O żaby też jest coraz trudniej i dla dwojga by nie wystarczyło.

„Tygodnik Powszechny”, 45/1989



## KORESPONDENT SPECJALNY

W pewnym odległym kraju zanosilo się na ważne wydarzenia. Należało czym prędzej wysłać tam specjalnego korespondenta, ale budżet naszej gazety na to nie pozwalał, ponieważ za mało mieliśmy czytelników, a zatem za mało pieniędzy. Mielibyśmy ich więcej, a zatem więcej pieniędzy, gdybyśmy mogli wysłać specjalnych korespondentów, a moglibyśmy, gdybyśmy mieli więcej pieniędzy, co z kolei było możliwe tylko wtedy, gdybyśmy mieli więcej czytelników.

– Spójrzmy na to trzeźwo – powiedział naczelny redaktor na zebraniu zespołu redakcyjnego.  
– Co się tam może stać? Tylko dwie rzeczy. Albo wzmoczenie represji, albo liberalizacja. Jeżeli zaryzykujemy, że albo jedno, albo że drugie, jest pięćdziesiąt procent szansy, że trafimy i nasz korespondent specjalny, którego nie mamy, ale będziemy udawali, że go mamy, będzie miał rację. A więc co wybieramy?

Postawiliśmy na liberalizację. Nazajutrz ukazała się w naszej gazecie wiadomość od naszego specjalnego korespondenta, że w owym dalekim kraju zaczęła się liberalizacja reżymu. Nasza gazeta była jedyną, która podała taką wiadomość. Wszystkie inne donosiły o represjach, których naoczniymi świadkami byli specjaliści korespondenci owych gazet.

Na zebraniu zespołu nastrój był ponury.

– I co teraz? Musimy dać sprostowanie.

– Nic podobnego! – sprzeciwił się naczelny. – Powtórzmy to samo, dodamy tylko szczegóły. Zelżenie cenzury, częściowa amnestia, otwarcie dla społeczeństwa i tak dalej.

– Ale to będzie znowu ta sama, nieprawdziwa wiadomość!

– Całą odpowiedzialność biorę na siebie.

Nazajutrz mieliśmy telefony od naszych czytelników, którzy gratulowali nam szybkości informacji. Wiadomość o represjach, którą wszystkie inne gazety zamieściły poprzedniego dnia, okazała się nieaktualna w świetle nowych faktów. W owym dalekim kraju po represjach nastąpiła liberalizacja.

– Skąd wiedziałeś? – zapytaliśmy naszego naczelnego redaktora.

– Nic nie wiedziałem, ale myślę dialektycznie. Na początku mogło być albo to, albo tamto, ale teraz pójdzie już samo.

– To znaczy powtarzamy!

– Całkiem przeciwnie. Jutro dajemy wiadomość o zaostrzeniu sytuacji. Czołgi na ulicach, starcia z policją, te rzeczy.

Okazało się, że słusznie przewidział. W owym dalekim kraju po liberalizacji nastąpiła represja. Zaczęliśmy pojmować dialektykę.

– Aha, to znaczy, jutro liberalizacja? Pojutrze represja, potem znowu liberalizacja i tak na przemian.

– Oczywiście. Mówiłem wam, że teraz już nie będzie problemu. Musimy tylko uważać, żeby nie pomylić kolejności.

Jako nasz specjalny korespondent pisaliśmy z coraz to większą wprawą, raz o liberalizacji, raz o represji. Zawsze mieliśmy rację i nakład wzrósł. Teraz już mogliśmy wysłać specjalnego korespondenta, stać nas było, ale po co. Wszystko więc szło dobrze, tylko że trochę monotennie.

Aż zawołał nas naczelny redaktor.

– Co idzie jutro? – zapytał. Sekretarz sprawdził w kalendarzyku.

– Represja.

– Wyrzucić.

– Ale liberalizacja była wczoraj!

– Wyrzucić. Ani represja, ani liberalizacja. Dajemy wiadomość o potrójnym mordzie seksualnym.

– Kto kogo zamordował, jak, gdzie, kiedy! – krzyknęliśmy chórem. – Sadomasochizm? Homoseksualizm? A może kazirodztwo? I dlaczego potrójny!?

– Panowie, potwierdziliście moje przypuszczenia. Jeżeli was samych znudziła światowa polityka, to co dopiero waszych czytelników. Staliśmy się dla nich nudni i nakład zaczyna spadać. Wobec tego zamykamy dział zagraniczny i przechodzimy na lokalny seks. Miał rację. Ale mimo wszystko żal nam było odwołać specjalnego korespondenta. Pisał ładnie i bądź co bądź przebywał w egzotycznym kraju.

„Tygodnik Powszechny”, 44/1989

## FOTOGRAFIA

Posiadam album rodzinnych fotografii mniej lub bardziej pożółkłych. Najbardziej pożółkła jest ta, która przedstawia moją rodzinę sprzed pół wieku co najmniej, podczas przyjęcia z okazji urodzin czy ślubu. Zebrani są tam ci, których jeszcze pamiętam, choć z trudem ich rozpoznaję, bo na fotografii są młodzi, inni, o których ledwie słyszałem, i jacyś, których już wcale nie znam.

To zróżnicowanie nie jest istotne wobec pewnej cechy im wszystkim wspólnej. Mianowicie oni wszyscy już nie żyją.

Czasami pokazuję tę fotografię osobom, którym z takich czy innych powodów chcę ją pokazać. Wtedy objaśniam: to jest wuj, to stryjeczny dziadek, a to prawdopodobnie jego trzecia małżonka.

Pewnego razu kuzyn zaprosił mnie na swoje wesele. Gości było sporo, jedzenia i picia w bród. Przepchałem się do bufetu, żeby napełnić kieliszek, potem z kieliszkiem w ręku zwróciłem się ku zgromadzeniu pod palmą koło okna, po przeciwnej stronie salonu.

– Kto to? – usłyszałem młody głos kobiety.

Nic w tym by nie było dziwnego, gwar był powszechny, gdyby nie to, że ktoś mówił tuż-tuż, o pół kroku przede mną, gdy od najbliższego zgromadzenia, tego pod palmą, dzieliło mnie jeszcze kilkanaście kroków, zaś między nim a mną nie było nikogo.

– Który? – zabrzmiał głos męski w tej samej, najbliższej odległości.

– Ten z wąsami.

– Przy bufecie?

Obejrzałem się, przy bufecie stał teść, istotnie z dużym wąsem.

– Nie, ten co stoi, z kieliszkiem.

Nie było wątpliwości, że mówili o mnie. Ale kto mówił?

– A ten! To cioteczny brat mojego ojca. Jakiego ojca? Mój kuzyn ożenił się dopiero dzisiaj i nie miał żadnych dzieci. Ktoś tu kłamał w żywe oczy. Ale kto?

– Zabawny typ.

To mi się nie podobało.

– Podobno był literatem, pisał jakieś opowiadania czy coś...

Tego mi było już za wiele.

– Nie coś, tylko nieśmiertelne dzieła, gówniarzu! – wykrzyknąłem, choć nie wiedziałem do kogo. Ten niewidoczny młodzieniec nie tylko podawał się za mojego bratanka, ale w dodatku wyrażał się o mnie lekceważąco.

– Potem gdzieś wyjechał... Tak mówią, nigdy go nie widziałem na oczy.

– Oczywiście, że nie, bo ciebie nie ma! – krzyknąłem.

– Dokąd?

– Do Meksyku, zdaje się...

– Donikąd nie wyjechałem i nie zamierzam! Jestem tutaj, między bufetem a palmą, na ślubie mojego kuzyna, słyszysz mnie?! Jestem tutaj, teraz i nigdzie gdzie indziej!

Rozległ się szelest, jakby kartki przewracanej w albumie, a potem ten sam głos dziewczęcy, lecz jakby już z oddali.

– A to?

– To jestem ja nad morzem.

Nad jakim morzem! I kto! Byłem już tak wzburzony, że postanowiłem się napić, czekając aż doniosę kieliszek do palmy. Wykonałem odpowiedni ruch... Odległość między moim kieliszkiem a mną nie zmieniła się ani trochę.

Czyżby mnie sparaliżowało? Wytężyłem wszystkie siły, ale ruchu żadnego nie było, choć próbowałem i próbowałem. Mój kieliszek wciąż był osobno... a moja gęba osobno.

I tak są do tej pory, mimo że wciąż próbuję.

## NA PIERWSZEGO WRZEŚNIA 1989

Pięćdziesiąt lat temu ciotka Nuśka biegła przez ogród wołając „Julek, Julek, wojna!” Nie widziałem jej, słyszałem tylko siedząc w drewnianej budce, wiejskim swojskim klozecie. Swojskim jak cała moja Polska aż do owego dnia i nigdy już potem. Pogoda była błękitna jak dzisiaj.

Z tamtej Polski-Atlantydy najbardziej stracone są zapachy. Potem pachniała broń i skóra Wehrmachtu (wtedy wiele było skóry w ekwipunku każdej armii), i ruskich na końcu. Pachniały jakże inaczej, ale obie obco. Co znaczyło także – podniecająco. Daleki świat, w którym jestem dzisiaj, zameldował się najpierw zapachem żołnierskich butów.

A wczoraj odwiedziły: młody Litwin z Wilna i młoda Czeszka, choć urodzona w Iowa. Nigdy bym nie rozpoznał w niej Amerykanki. Siedzieliśmy przy herbacie, i Wilno, którego nie widziałem i nie zobaczę, było obecne, jak również to coś, co jest na północny wschód od jezior mazurskich i co jest tak we mnie obecne jak wszyscy moi przodkowie, których nie znam, ale – trudno zaprzeczyć – piszą w tej chwili te słowa moją ręką.

W Meksyku ich nie było. Ale może jest tam jakaś góra, na szczycie której wszyscy się kiedyś spotkamy i może jeszcze jacyś inni tam przyjdą, jacyś, skądś (nie moi przodkowie, ale jacyś jedni), których istnienia nawet nie podejrzewam, a nawet ich udziału w spotkaniu na owej górze nie przewiduję.

Wtedy utraciłem niewinność, choć jeszcze o tym nie wiedziałem. I utraciłem ją wraz z całą Polską, która też nie wiedziała. Polska była ciężko ranna, ale z ran można się wyleczyć. Ale gdy leżała, jeszcze słaba, ale już wiadomo było, że wyżyje, zaraz dostała syfa. Syfilis może się trafić i hrabiemu, a jeżeli hrabia przy tym uzdolniony poetycko, może nawet ładne wiersze o syfie pisać, syfa, że tak powiem, sublimować, jak Baudelaire. Gdy jednak syf dostanie się prostemu człowiekowi, naiwnemu, o jasnoniebieskich oczach, raczej dziecinnych, w głowie i mowie niezbyt sprawnemu, wtedy cierpienie głuche jest i – jak by to powiedzieć – niezasłużone? Bo nasz konopny ani do wykwinnych burdeli nie chadzał, ani szampana nie pił jak Francuz, tylko kwaśne mleko z ziemniakami, a jednak syfa dostał. Niezwykły wypadek w medycynie. Nie drogą rozpusty, ani obłapki zwyczajnej nawet, tylko od zasyfionych, co drogą z wschodu na zachód szli, no i tak jakoś zawiąło. Z powietrza, czy co.

Dlatego później, gdy już niewinny nie był, ale zrozpaczony, krzyczał w knajpie po pijanemu, podpatrzony i podsłuchany przez Marka Nowakowskiego:

„Precz stąd, czerwone syfy!”

Krzyczy do dzisiaj.

„Kultura”, 11/1989

## KRÓTKIE SŁUCHOWISKO

GŁOS LUDU: Precz! Won! Po oczach go! W jaja! Skończyć ze Zbrodniarzem!

KOMUNIZM: Proszę mnie nie ruszać, bo ja się rozlatuję.

KAPITALIZM: A, to przepraszamy.

GŁOS LUDU: Słyszeliście, ludzie? Dobić skurwysyna!

KAPITALIZM: *Halt!* Stop!

GŁOS LUDU: Co? Do nas gada?

KAPITALIZM: *Zurück! En arrière! Don't dare to touch him!*

KOMUNIZM: No właśnie!

GŁOS LUDU: Cosik jakoś dziwnie.

DORADCY LUDU: Panowie mają rację, choć po cudzoziemsku. Nie widzisz, ludzie, że on się rozlatuje? Sam mówi.

GŁOS LUDU: No to mu dopomóż.

DORADCY LUDU: (*na stronie*) A cóż za prostactwo, (*głośno*) To nie jest takie proste, mój dobry ludzie.

KOMUNIZM: No właśnie.

KAPITALIZM: *Richtig und jawohl. (do Komunizmu)* Czym mogę służyć?

KOMUNIZM: Jakby jaką pożyczkę, to się lepiej rozleczę.

KAPITALIZM: Oj, to to! Słucham, ile trzeba?

KOMUNIZM: Dużo.

GŁOS LUDU: O! O! Dolary! I jakie zielone! (*śpiewa*) Zielony dolarek wypłaca się. – Zielony dolarek wypłaca się. – Rośnie nam handelek. – Rozwija się...

DORADCY LUDU: Widzisz, ludzie, jak się robi politykę? Patrz i ucz się. A ty byś chciał od razu po oczach i po tych... tego... Prymitywizm.

GŁOS LUDU: To może i nam coś kapnie?

KOMUNIZM: Glup.

WSZYSCY: Połknął!

KOMUNIZM: Poproszę o jeszcze.

KAPITALIZM: Może za chwilę?

KOMUNIZM: Nie, zaraz.

KAPITALIZM: Może jednak stopniowo?

KOMUNIZM: (*grożąc*) Bo się nie rozleczę!

GŁOS LUDU: Zżarł, nic nie kapło.

DORADCY LUDU: Wziąwszy pod uwagę tę szczególną wagę jaką ma waga żeby miał odwagę gdy ma niepowęgę bo to przeciwwaga gdy on niedomaga która nam pomaga – doradzamy: dać mu.

*Jeszcze nie koniec*

„Kultura”, 12/1989